

**William Golding**

**WIEŻA**

**/ tłumaczyła Jadwiga Olędzka/**

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

**Z uniesioną w górę brodą śmiał się trzęsąc głową. Na Jego twarzy, zalanej blaskiem wdzierającym się przez szybki witraż, migał wizerunek Boga Ojca, pojawiały się i znikwały wśród drgań śmiechu postacie Abrahama, Izaaka i znów Boga Ojca. Poprzez łzy wywołane śmiechem widział też jakieś koła, szprychy, tęcze. Uniesiona broda, w półprzymknięte powieki, w wyciągniętych rękach model wieży. Zachwył.**

**- Pół życia czekałem na ten dzień!**

**Naprzeciw niego, po drugiej stronie modelu katedry, umieszczonego na stojaku, stał kanclerz kapituły. Sędziwą bladość jego twarzy krył półmrok.**

**- Sam nie wiem, księżę dziekanie, sam nie wiem...**

**Przyglądał się z uwagą modelowi wieży, który Jocelin trzymał mocno w obu dłoniach. Głos jego, cienki jak pisk nietoperza, rozbrzmiewał nikle w ogromnej, wysokiej sali kapitulnej.**

**- Lecz jeśli się zważy, że ten niewielki kawałek drewna... Jakąż on ma długość?**

**- Osiemnaście cali, księżę kanclerzu.**

**- Osiemnaście cali. Tak... I wyobraża konstrukcję z drewna, kamienia i metalu...**

**- Wysoką na czterysta stóp.**

**Kanclerz z rękami złożonymi na piersi wynurzył się z cienia w słońce i rozejrzał się dokoła. Potem przeniósł wzrok na dach. Jocelin przyglądał mu się z boku z ciepłą życzliwością.**

**- Fundamenty. Wiem. Lecz Bóg zadba o to.**

**Kanclerz wiedział już, czego szukał w pamięci.**

**- Ach, prawda!**

**Ze starczą żywością przemknął po płytach posadzki ku drzwiom i zniknął za nimi rzucając w powietrze:**

**- Godzinki. Oczywiście!**

**Jocelin stał w milczeniu, śląc za nim strzałę miłości. "Moja katedra, mój dom, moi parafianie..." Wyjdzie z zakrystii na końcu procesji i skieruje się, jak zawsze, w lewo. Wtedy przypomni sobie... i zawróci prosto do kaplicy Mariackiej! Znowu się roześmiał, unosząc brodę, przepelniony świętą radością. "Znam ich wszystkich, wiem, co robią i co robić będą, wiem, co zrobili. Przez wszystkie te lata nie ustawałem w pracy, ta katedra była dla mnie płaszczem, w który się otulałem." Przestał się śmiać i otarł**

oczy. Wziął białą wieżę i stanowczym ruchem wetknął ją w kwadratowy otwór wycięty w starym modelu katedry.

- No!

Model przywodził na myśl leżącego na wznak człowieka. Nawa główna to były nogi ciasno do siebie przylegające, nawy boczne - rozkrzyżowane ręce. Prezbiterium tworzyło tułów, kaplica Mariacka, gdzie za chwilę miało się odprawiać nabożeństwo - głowę. A z samego środka budynku wystrzelała, wzbijała się, pięła się w górę jego majestatyczna korona - nowa wieża. "Oni nie wiedzą - myślał - nie mogą wiedzieć, póki nie opowiem im o mojej wizji." Zaśmiał się znowu z radości i wyszedł z kapitułarza na otwartą, zalaną słońcem przestrzeń krużganków. "I muszę pamiętać, że wieża to jeszcze nie wszystko. Muszę w miarę możliwości robić dokładnie to, co robiłem zawsze." Obszedł krużganki, podnosząc jedną kotarę po drugiej, aż dotarł do bocznych drzwi w zachodniej części kościoła. Nacisnął ostrożnie klamkę, by nie robić hałasu. Pochylił w drzwiach głowę i jak zawsze powiedział w duchu:

"Podnieście, o bramy, wierzchy wasze!" Lecz gdy wszedł do katedry, pojął, że jego ostrożność była zbyteczna

wobec zgiełku, jaki tu panował. Nikłe dźwięki godzinek, dobiegające z kaplicy Mariackiej w drugim końcu kościoła, za przepierzeniem z drewna i płótna, można by zamknąć w jednej dłoni. Za to bliżej rozlegał się odgłos świadczący, że ludzie drążą ziemię i kamień, choć te zmieszane przez echo dźwięki zdawały się zlewać w jedno. Rozmawiali, rzucali rozkazy, co jakiś czas pokrzykiwali, ciągnęli po posadzce deski, obracali i upuszczali ciężary, a potem ciskali je z łomotem na przeznaczone miejsce, cały zaś ten zgiełk byłby równie nieokreślony jak odgłosy targowego placu, gdyby odbijające go echo nie sprawiało, iż poszczególne dźwięki goniły się w kółko i zlewały z sobą oraz z przenikliwym śpiewem chóru, i rozbrzmiewały nieustannie na jednej nucie. Dźwięki te wydały się Jocelinowi tak nowe, że podążył spieszonym krokiem ku środkowi katedry, w cień dużych drzwi po stronie zachodniej, przyklęknął przed niewidocznym wielkim ołtarzem, a potem stanął i patrzył. Przez chwilę mrugał powiekami. I przedtem było tu słońce, ale nie tak silne. Nie rzucała się już w oczy w nawie barykada z drewna i płótna, przedzielająca na pół katedrę u stóp schodów w prezbiterium, ani dwie arkady, ani ołtarze i malowane

**płyty grobowców umieszczonych między nimi. Rzeczą najbardziej istotną było tu teraz światło. Biło ono w rząd okien nawy bocznej, tak że buchały wprost blaskiem, lało się ukośną, sprecyzowaną w kształcie strugą przed jego oczyma od prawej strony ku lewej, do stóp filarów w północnej części nawy. Delikatny, wiszący w powietrzu pyłek nadawał tym smugom i słupom światła określony kształt. Dziekan zamrugął znów powiekami, widząc z bliska, jak poszczególne drobinki kurzu obracają się wokół siebie albo się unoszą w górę i opadają w dół wszystkie naraz, niczym łątka miotana podmuchem wiatru. Patrzył, jak trochę dalej wzbijają się chmura, tworzą spiralę lub wiszą chwilę nieruchomo w powietrzu, a potem na najdalszych świetlnych smugach stają się już tylko plamami barwy miodu, rzuconymi na masyw katedry. W miejscu, gdzie blask bijący z witraża na wysokości stu pięćdziesięciu stóp w południowej nawie poprzecznej oświetlał skrzyżowanie naw, plama miodu gęstniała w filar, który się wznosił w górę prosto jak strzełił, niczym słup dymu z ofiary Abła, tam gdzie na posadzce pracowali mężczyźni z żelaznymi łomami w rękach.**

Potrząsnął głową w smutnym zdumieniu nad tym intensywnym słonecznym blaskiem. "Gdyby nie ten filar Abła - pomyślał - wziąłbym większą część świetlnej płaszczyzny za prawdziwą i uwierzył, że mój kamienny statek leży przewrócony na bok na mieliźnie". Uśmiechnął się lekko na myśl, że rozum oceniający wszystko wedle jakichś reguł daje się jednak zwieść równie łatwo jak dziecko. Patrząc na barykadę z drewna i płótna w drugim końcu nawy, teraz, gdy znikły świece z bocznych ołtarzy, można by pomyśleć, że to jakaś pogańska świątynia. A ci dwaj pośrodku, w słonecznym pyłe, z łomami w ręku (co za hałas, co za echo, jak w kamieniołomie, gdy podważają płytę, a potem ją upuszczają), to kapłani jakiegoś obcego obrządku. "Boże, przebacz im." "W tej świątyni tkaliśmy przez sto pięćdziesiąt lat wspaniałą tkaninę niezmiennej chwały Bożej. I nadal tkać ją będziemy; tylko tkanina stanie się piękniejsza, bogatsza, jej wzór osiągnie wreszcie kształt doskonały. Muszę iść się pomodlić". Naraz zdał sobie sprawę, że jeszcze nie pójdzie, choć to wielki, radosny dzień. I roześmiał się głośno, wiedząc, dlaczego nie pójdzie, znając od dawna codzienny, niezmienny porządek. Wiedział przecież, kto dzwoni, kto mówi kazanie, kto kogo

**zastępuje. Znał niezawodność kamiennego statku i jego załogi. Jakby ta wiedza była sygnałem do włączenia się w interludium, usłyszał szcęk klamki w północno-zachodnim rogu katedry i drzwi się otworzyły ze skrzypnięciem.**

**"Zobaczę ją, jak co dzień, moją córkę w Panu".**

**Tak niezawodnie, jakby jego pamięć przywołała ją tutaj, weszła szybko, a on stał i czekał, jak zawsze, żeby ją pobłogosławić. Lecz żona Pangalla skrzyła w lewo, osłaniając się ręką od kurzu. Zdążył dojrzeć w przelocie miły owal twarzy, nim weszła do nawy północnej, zamiast pójść prosto przed siebie. Swoje błogosławieństwo musiał wypowiedzieć w myśli, kiedy już się oddaliła. Patrzył za nią z miłością i lekkim rozczarowaniem, gdy mijała nie oświetlone ołtarze, dostrzegł, jak ściągnęła do tyłu kaptur, spod którego wyjrzała biała chusta, mignęła mu na moment zielona suknia, kiedy się rozchylił szary płaszcz.**

**"Prawdziwa kobieta" - pomyślał z czułością. Dowodem tego jej niemądra, dziecinna ciekawość. Ale to rzecz Pangalla lub ojca Anzelma. Jakby zdała sobie sprawę z własnego szaleństwa, okrążyła szybko nie zakryty otwór w posadzce i osłaniając się ręką przed kurzem, przeszła**

przez nawę i zatrzasnęła za sobą drzwi wiodące do królestwa Pangalla. Kiwnął statecznie głową.

- Sądzę, że w końcu nie jest to nam obojętne.

Gdy drzwi się zatrzasnęły, zaległa prawie cisza; po chwili rozległ się nowy cichy odgłos: stuk, stuk, stuk. Dziekan się odwrócił. Na cokole północnej arkady siedział niemowa w skórzanym fartuchu, trzymając między kolanami bryłę kamienia.

Stuk stuk, stuk.

- Myślę, że skłonił cię do tego, żebyś wybrał mnie, Gibercie, dlatego, że ja tak często stoję spokojnie,

Niemowa podniósł się szybko. Jocelin uśmiechnął się do niego.

- Ze wszystkich ludzi związanych ze sprawą katedry ja muszę się wydawać tym, co tu najmniej robi. Nie uważasz.

Niemowa uśmiechnął się z jakąś psią uległością. Z gardła wydobył mu się głuchy pomruk. Jocelin odpowiedział mu radosnym śmiechem i kiwnął głową, jakby mieli wspólną tajemnicę.

- Zapytaj te cztery filary na skrzyżowaniu naw, czy i one nic nie robią.

Niemowa kiwał ze śmiechem głową.

**- Zaraz idę się modlić. Możesz pójść ze mną, ale siedź cicho i pracuj. Zabierz z sobą płachtę na odłamki i pył, bo inaczej Pangall wymiecie cię jak liść z kaplicy. Nie trzeba drażnić Pangalla. Rozległ się jakiś nowy hałas. Jocelin zapomniał o niemowie i zaczął nasłuchiwać z odwróconą w bok głową.**

**"Nie - powiedział do siebie - nie mogli jeszcze tego skończyć. To niemożliwe." Ruszył spieszny krokiem do nawy południowej, skąd mógł dojrzeć poprzez katedrę nawę północną. Stał przy ołtarzu Poverella. Wyszeptał z radością zbyt głęboką, by ją okazywać:**

**- To prawda. Po tylu latach trudu i borykania. Bogu niech będzie chwała!**

**Bo zrobili coś niesłychanego. "Latami chodziłem tędy - myślał. - Było wewnątrz i część zewnętrzna, tak wyraźnie, ostatecznie, nieodwołalnie oddzielone jak wczoraj i dziś. Gładkie kamienne ściany wewnętrzne, ozdobione malowidłami, i szorstkie, omszałe zewnętrzne; wczoraj, jedną zdrowąskę temu, dzieliło je ćwierć mili. A teraz płynie na wylot prąd powietrza. Stykają się te strony. Mogę dojrzeć, jak przez wziernik, róg domu kanclerza, gdzie jest może Iwo. Odwagi! Bogu niech będzie chwała! To początek**

końca pozwolić mu wykopać ten dół na skrzyżowaniu naw, niczym grób dla jakiegoś dostojnika, to była jedna sprawa. A to jest druga, całkiem inna. Teraz dotykam ręką najistotniejszej części mego kościoła. Jak chirurg przykładam nóż do żołądka znieczulonego działaniem narkotyku. Bawił się chwilę myślą o tym narkotyku, przyrównując daleki śpiew godzinek do powolnego oddechu znieczulonego ciała.

Po drugiej stronie ołtarza rozległy się młode głosy.

- Mów, co chcesz. To pyszałek.

- Ignorant.

- Wiesz co? On myśli, że jest święty!

Dwaj diakoni, spostrzegłszy dziekana, który nagle wyrósł nad nimi, padli na kolana. Spojrzał na nich darząc ich ciepłym uczuciem w swym rozradowaniu.

- No, no, dzieci! A to co takiego? Obmawianie? Oczernianie? Plotki?

Milczeli ze schyłonymi głowami.

- Kto to jest ten biedak? Powinniście raczej się za niego pomodlić. No!

Schwycił ich dwiema garściami za włosy i szarpnął lekko, odwracając w górę najpierw jedną bladą twarz, a potem drugą.

- Poproście kanclerza o pokutę za to. I wyciągnijcie z niej właściwe wnioski, drogie dzieci. Sprawি wam to prawdziwą radość. Odwrócił się od nich, chcąc wejść do południowej nawy; lecz znów go coś zatrzymało. Przy prowizorycznych drzwiach, zrobionych w drewnianym przepierzeniu, a prowadzących z południowego krużganka do skrzyżowania

naw, stał Pangall. Ujrzawszy Jocelina, odprawił zamiataczki i pociągając z lekka lewą nogą pokuśtykał ku niemu, trzymając w rękach miotłę.

- Wielebny ojczy!

- Nie teraz, Pangall.

- Proszę...

Jocelin potrząsnął głową i chciał go wyminąć. Ale tamten wyciągnął szorstką rękę, jakby zamierzał zdobyć się na śmiałość i dotknąć sutanny dziekana. Jocelin przystanął, popatrzył na niego i powiedział szybko:

- Czego chcesz? Znów to samo?

- Oni...

**- Oni to nie twoja sprawa. Zrozum to raz na zawsze.**

**Lecz Pangall stał w miejscu, spoglądając w górę spod strzechy ciemnych włosów. Kurz pokrywał jego brunatną bluzę, krzywe nogi, zniszczone buty. Głos miał ochryply od kurzu i gniewu.**

**- Przedwczoraj zginął tu człowiek.**

**- Wiem. Posłuchaj, mój synu...**

**Pangall potrząsnął głową tak zdecydowanie i z taką powagą, że Jocelin umilkł ze spuszczonego wzrokiem i otwartymi ustami. Pangall oparł się całym ciężarem na miotle. Obrzucił spojrzeniem posadzkę, a potem przeniósł je na twarz dziekana.**

**- Któregoś dnia i mnie zabiją.**

**Przez chwilę stali w milczeniu pośród śpiewnego pogłosu, jaki echo niosło z miejsca budowy. Pyłki kurzu tańczyły w słońcu przed nimi. Wtem Jocelin przypomniał sobie, z czego się cieszył. Opuścił obie ręce na okryte skórzaną kurtką ramiona mężczyzny i uścisnął go mocno.**

**- Nie zabiją cię. Nikt cię nie zabije.**

**- No to mnie stąd wypędza.**

**- Żadna krzywda cię nie spotka. Ja ci to mówię.**

**Pangall zacisnął z całej siły ręce na miotle. Stał mocno na nogach, wykrzywił wargi.**

**- Dlaczegoście to zrobili, wielebny ojcze?**

**Jocelin opuścił z rezygnacją ręce i splótł je na brzuchu.**

**- Wiesz to równie dobrze jak ja, mój synu. Dlatego, by ten Dom Boży stał się wspanialszy niż dotąd.**

**Pangall obnażył zęby.**

**- I zawalił się?**

**- Zamilknij, nim za dużo powiesz.**

**Odpowiedź Pangalla brzmiała jak natarcie.**

**- Spędziliście tu kiedy noc, wielebny ojcze?**

**- Wiele nocy. Wiesz o tym tak samo jak ja, synu.**

**- Kiedy pada śnieg i ciężarem swym przytłacza miedziany dach... Kiedy liście zapychają rynny...**

**- Pangall!**

**- Mój prapradziadek pomagał budować ten kościół.**

**W skwar chodził po dachu tam nad sklepieniem, jak ja teraz. Dlaczego...**

**- Cicho, Pangall, cicho!**

**- Dlaczego? Dlaczego?**

**- No więc mów!**

**- Spostrzegł raz, że się tli jeden z dębowych stropów.**

**Szczeńciem był na tyle przezorny, że nosił przy sobie topór. Gdyby poszedł szukać wody, dach stanąłby w ogniu, a ołów popłynął rzeką, zanim on by wrócił. Rozwalił toporem tłące się głownie. Wyrąbał otwór, w którym można by ukryć dziecko. I wyniósł żar w rękach które wyglądały potem jak pieczona wieprzowina. Wiedzieliście, ojcze, o tym?**

**- Nie.**

**- Ale ja wiem. My wiemy. To wszystko... – uderzył miotłą w pokryty pyłem gzyms - ...to rozwalanie... kopanie... Pozwólcie, ojcze, na dach.**

**- Mam co innego do roboty i ty też.**

**- Muszę z wami pomówić.**

**- A co innego robisz teraz?**

**Pangall cofnął się o krok. Popatrzył na filary i na wysokie, lśniące okna, jakby one mogły podpowiedzieć mu właściwe słowa.**

**- Wielebny ojcze! Na dachu, w wieżycze od strony południowo-zachodniej, przy drzwiach ze schodów, jest topór, wyostrzony, nasmarowany, owinięty w szmaty, gotowy.**

**- To dobrze. Bardzo mądrze.**

**Pangall machnął wolną ręką.**

**- To nic. Po to przecież jesteśmy. To myśmy zamiatali, sprząkali, tynkowali, łupali kamień i cięli szkło. Nie mówiliśmy nic.**

**- Byliście wszyscy wiernymi sługami tego Domu. I ja się staram nim być.**

**- Mój ojciec i dziad... A ja tym bardziej, zem ostatni...**

**- To dobra kobieta i żona. Ufaj i bądź cierpliwy.**

**- Bawią się kosztem całego mojego życia. I więcej jeszcze. To właściwie nie to... Chodźcie, ojcze, i zobaczcie moją chałupę.**

**- Widziałem ją.**

**- Ale nie w ostatnich tygodniach. Chodźcie prędko... - Utykając, przyzywając go w pośpiechu jedną ręką, a w drugiej wlokąc miotłę, Pangall podążył pierwszy do południowej nawy. - Oto nasz dom. Co będzie z nami? Patrzcie! Wskazywał poprzez niewielkie drzwi dziedziniec rozciągający się między krużgankami a południową nawą.**

**Jocelin musiał pochylić w drzwiach okrytą piuską głowę,, Stał w nich z Pangallem, który sięgał mu do ramienia, i w zdumieniu spojrział na to, czego tu dokonano. Dziedziniec wypełniały stosy i zwały połupanego kamienia.**

Sięgały aż do okien pomiędzy przyporami. Wolną od kamieni przestrzeń wypełniały kłody drzewa. Pomiedzy nimi była tylko wąska ścieżka. Na lewo od wejścia stał pod południową ścianą przykryty matą warsztat. Pod matą widniał stos szkła i ołowianych listew. Pracowało tam wśród brzęku i zgrzytu dwóch robotników.

- Widzicie, ojcze? Do własnych drzwi trafić nie mogę. Jocelin posuwał się za nim pośród stosów drewna i kamieni.

- Tylko tyle mi zostawili. I jak to długo jeszcze, ojcze? Przed chatą pozostawiono przestrzeń nie większą, niż zajmuje ołtarz. Ściana narożna ochlapana była brudną wodą. Jocelin spojrział z ciekawością na dom, bo nigdy jeszcze nie widział go z tak bliska. Gdy przychodził tu przedtem, wystarczyło stojąc w drzwiach rzucić przyjazne spojrzenie na dziedziniec. Bo, krótko mówiąc, własność kościelna czy nie, dziedziniec i chata stanowiły królestwo Pangalla. Cień tej chaty kładł się codziennie na okno po stronie południowo-wschodniej - niby pomnik wzniesiony wbrew zamysłom architekta. Miał tuż przed oczyma ową chatę, jeszcze jedno spotkanie z czymś, co wydawało się dalekie.

Uwieszona w rogu dziedzińca i przyczepiona do muru katedry, tkwiła niby narośl pod okapem starego domu, gdzie całe pokolenia wróbli i jaskółek zostawiały swoje ślady i szczątki gniazd. Był to budynek tajemniczy i dyskretny, a równocześnie rzucający się w oczy. Wzniesiony bez pozwolenia, lecz tolerowany w milczeniu, bo zamieszkująca go rodzina była niezastąpiona. Zasłaniał jedną przyporę i część okna. Kawałek ściany zbudowano z szarego kamienia, takiego samego jak mury katedry i prawie równie starego jak one. Dziwaczny okapnik nie osłaniał żadnego okna. Dalszą część ściany tworzyła stara belka i plecionka z łozy obrzucona tynkiem oraz cienkie jak opłatki cegły, starsze od chaty i od katedry, złupione chyba w jakimś wymarłym porcie, którego przed tysiącem lat nie odkryli Rzymianie. Kawałek dachu pokrywała cenna ołowiana blacha, drugą jego część łupkowa dachówka, taka sama jak ta, którą kryty był dach kuchni kanoników z chóru. Dalej była strzecha, lecz tak zniszczona, że pozostała z niej tylko wyliniała, zachwaszczona falista warstwa. Oknu na mansardzie nadano rozmyślnie taki kształt, aby objęło coś w rodzaju prostokątnego witraża; drugie okno było mniejsze i

zakrywała je rogowa błona. Ta fragmentaryczna budowa nadawała chacie zaledwie po stu pięćdziesięciu latach starożytny i sfatygowany wygląd. Całość chyliła się ku ziemi, jak strzecha, jakby przypadkowe jej części równocześnie się osunęły w stan ostatecznego spoczynku. Jocelin przyjrzał się chacie, a potem zerknął w bok na stosy materiału budowlanego spiętrzone wokoło: jedno zuchwalstwo atakowało drugie.

- Pojmuję.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, z wnętrza chaty rozległ się melodyjny śpiew. Na próg wyszła Goody, spostrzegła go, przestała śpiewać, uśmiechnęła się i wylała pod ścianę drewniany kubek. Potem wróciła do domu i znów usłyszał jej śpiew.

- No, Pangall! Powiedziałeś mi dużo. Starzy z nas przyjaciele, choć każdy czym innym się zajmuje. Bądźmy rozsądni. Budowy się nie przerwie. Powiedz, o co ci właściwie chodzi. Pangall rzucił szybkie spojrzenie na mężczyzn, którzy pogwizdując łamali szkło. Jocelin pochylił się ku niemu.

- Czy masz na myśli twoją zasnę żonę? Może za blisko niej pracują?

**- Nie, to nie to.**

**Jocelin zastanawiał się przez chwilę, kiwając ze zrozumieniem głową. Potem powiedział cicho:**

**- Czy odnoszą się do niej tak, jak niektórzy mężczyźni zwykli się odnosić do kobiet z ulicy? Zaczepiają ją? Wyrażają się sprośnie?**

**- Nie.**

**- Co zatem?**

**Gniew zniknął z twarzy Pangalla. Był na niej teraz wyraz zakłopotania i prośby.**

**- Chodzi o to, że dlaczego ja? Czy nie ma nikogo innego? Dlaczego muszą ze mnie robić durnia?**

**- Trzeba być cierpliwym.**

**- I to przez cały czas. Cokolwiek robię. Szydzą i wyśmiewają. Jeżeli się obejrzę...**

**- Jesteś zbyt drażliwy, człowieku. Musisz się z tym pogodzić.**

**Twarz Pangalla przybrała zacięty wyraz.**

**- Jak długo to jeszcze potrwa?**

**- To próba cierpliwości dla nas wszystkich. Przyznaję.**

**Dwa lata.**

**Pangall przymknął oczy i jęknął.**

**- Dwa lata!**

**Jocelin poklepał go po ramieniu.**

**- Pomyśl, synu. Kamienne i drewniane części wieży będą się wznosić coraz wyżej. Twarz twoją nie zawsze będą ranić odłamki szkła. W końcu wieża stanie i nasz Dom Boży będzie jeszcze wspanialszy.**

**- Ja tego nie zobaczę, wielebny ojciec.**

**- Dlaczego, na miłość...**

**Urwał uświadomiwszy sobie swą nagłą irytację. Gdy spojrzął w oczy stojącego przed nim człowieka, irytacja przeszła w głębokie poruszenie, bo zobaczył nagle jakby wypisane na czole Pangalla słowa: "Dlatego że nie ma fundamentów i Szaleństwo Jocelina obróci się w gruzy, zanim umieszczą krzyż na wierzchołku wieży". Zacisnął zęby.**

**- Jesteś taki sam jak oni wszyscy. Nie jak ten starzec z toporem. Nie ma w tobie wiary.**

**Pangall spuścił oczy. Podpełzł w cień Jocelina. Jego zakurzona czupryna koloru brunatnego łajna znajdowała się sześć cali poniżej twarzy dziekana; pochyliła się, przywarła do jego sutanny. W swoim wzburzeniu Jocelin dosłyszał ochryply szept:**

**- Jak mogę to znosić? Biją mnie, gdy jestem sam.**

**Upokarzają przed ludźmi, przed moją własną żoną. To się ciągle potęguje i każdy dzień, każda godzina...**

**Jocelin poczuł uderzenie w but, a kiedy spojrzał w dół, zobaczył na nim mokrą gwiaździstą plamę i drobne kuleczki wody ściekające w błoto z nasyconej tłuszczem skóry. Zniecierpliwiony westchnął i rozejrzał się wokoło, szukając w myśli słów. Ale wzrok jego przyciągnęło słońce zalewające kamienną ścianę i pustą przestrzeń ponad skrzyżowaniem naw, gdzie blanki przysadzistej wieży oczekiwały na majstra i jego ludzi. Przypomniawszy sobie robotników rozbijających posadzkę pod tym skrzyżowaniem i jego irytacja ustąpiła miejsca podnieceniu.**

**- Bądź cierpliwy. Obiecuję ci, że pomówię z majstrem.**

**Poklepał raz jeszcze przyodziane w skórę ramię i szybkim krokiem odszedł, przemykając się pośród stosów kamieni i belek. Robotnicy pracujący przy warsztacie stali odwróceniem tyłem. Schyliwszy głowę, dziekan wszedł w małe drzwiczki prowadzące do nawy południowej i stał tam chwilę, mrugając w nasyconym kurzem blasku. Ujrzał ułożone w stos z boku kamienne płyty i dwóch kopaczy,**

których nogi od kostek w dół ginęły pod rozwaloną posadzką. Za nimi przez spory otwór w ścianie północnej widać było osłonięte słomianym daszkiem miejsce pośród grobów, gdzie leżały przygotowane kłody. Gdy stał z uniesioną głową, spostrzegł kapelana Adama, który biegł ku niemu przez kościół z listem w ręku. Machnął ręką, nakazując mu tym ruchem, by się usunął.

- Później, mój drogi. Jak skończę się modlić.

Szedł szybko, z uśmiechem, radośnie jak na skrzydłach, przez południowy krużganek pomiędzy prezbiterium a zakrystią. Nabożeństwo się skończyło i nie było tam już nikogo oprócz dwóch kanoników, którzy stali przy drzwiach rozmawiając. Na środku kaplicy Mariackiej przygotowany był dla niego klęcznik. Osunął się nań, pochyliwszy się uprzednio przed ołtarzem. Usłyszał, że gdzieś blisko niemowa zaczął znów stukać i skrobać delikatnie kamień. Prawie nie musiał odsuwać od siebie tych nikłych dźwięków, bo pogrążył się w modlitwie, która była samą radością i najbliższą potrzebą serca. "Cóż innego czynić mogę niż składać dzięki w tym dniu, jedynym spośród wszystkich dni, gdy na koniec wizja moja poczyna się przyoblekać w kamienny kształt? Przeto z aniołami i

archaniołami..." Radość padła na słowa jak słoneczny promień. Rozgorzały płomieniem. Czas mierzył zmęczeniem kolan. Wiedział, w jakim będą stanie po takim czy innym okresie, spędzonym na klęczkach. Teraz, kiedy po tęym bólu nie czuł już nic, wiedział, że minęła godzina. Oprzytomniał. Przed zamkniętymi oczami przepływało z wolna światło, a on czuł znów ból w kolanach, goleniach i udach. "Moja modlitwa nie była nigdy jeszcze tak prosta. Dlatego trwała tak długo". Nagle poczuł, że nie jest sam. Nie ujrzał ani nie usłyszał nikogo. Poczuł tylko czyjąś obecność, niby ciepło ognia na plecach, silne i łagodne zarazem. I tak bliską, jakby przeniknęła do samego rdzenia jego kręgosłupa. Pochylił w przerażeniu głowę, zaledwie śmiać oddychać. Pozwolił, by ten ktoś robił, co zechce. "Jestem tutaj - zdawał się mówić - ty nie rób nic, jesteśmy tu i pracujemy pożytecznie wszyscy razem". Odważył się wtedy znowu pomyśleć, czując wciąż owo ciepło w plecach.

"To mój anioł stróż. Pracuję dla Ciebie, a Tyś mi zesłał na pociechę Twego wysłańca. Jak niegdyś na pustyni. Zakrył skrzydłami twarz i stopy i przyleciał."

Radość, zapał, radość.

"Dzięki Ci, Boże, żeś pozwolił mi zachować pokorę".

**I znów okna zlewały się w jedno. Wymalowane na nich święte postacie płonęły czerwienią, zielenią, błękitem. Lecz po chwili słoneczny blask się rozproszył. I anioł go opuścił. Stuk, stuk, stuk. I skrobanie. "Opromieniasz życie tych, których wybrałeś, jak słońce opromienia okno". Uniósł się ciężko z klęcznika, starając się zmniejszyć drętwotę kolan. Zrobił chwiejnie parę kroków, zanim zdołał stanąć i iść prosto. Wyglądził sutannę i w tej chwili przypomniał sobie stukanie i skrobanie i spojrzał w kierunku północnej ściany, gdzie siedział z otwartymi ustami niemowa. Na podłodze u jego stóp leżała ścierka. Ociosywał starannie kawałek kamienia. Wstał szybko, gdy tylko padł na niego cień Jocelina. Był to silny młody mężczyzna; trzymał z łatwością w rękach rzeźbę opierając ją na brzuchu. Radość, pociecha i spokój, których udzielił mu anioł, spłynęły życzliwością na twarz młodzieńca, tak jak i na cały świat. Jocelin poczuł, że uśmiech wygląda bruzdy jego własnej twarzy, gdy patrzył na tamtego. Młody mężczyzna był wysoki, mógł spoglądać dziekanowi prosto w oczy. Jocelin z uśmiechem ogarnął go spojrzeniem, przepelniony anielską radością. Czuł, że go kocha, kocha tę ogorzałą twarz i szyję, i piersi osłonięte zesnurowaną z przodu skórzaną kurtką,**

która się rozchyłała ukazując gęstwinę czarnych włosów, kocha kędzierzawą głowę i czarne oczy w cieniu ciemnych brwi, i brunatne ramiona pocące się poprzez kurtkę pod pachami, i skrzyżowane nogi w grubych, białych od kurzu butach.

- Myślę, że masz mnie już na dziś dość.

Młody mężczyzna potrząsnął gwałtownie głową i wy-dobył z gardła jakiś pomruk. Dziekan patrzył wciąż z uśmiechem w pełne psiego oddania, wierne oczy. "Poszedłby za mną wszędzie. Szkoda, że to nie on jest majstrem! Może kiedyś..."

- Pokaż mi to, synu.

Niemowa wsunął rękę pod kamień i przytrzymał go na piersi, ukazując z profilu. Jocelin uniósł jego głowę i roześmiał się.

- O, nie, nie! Nie mam takiego haczykowatego nosa.

Profil przyciągnął znów jego uwagę, więc zamilkł. Nos jak dziób orła. Otwarte szeroko usta, pobrużdzone, wpadnięte policzki, oczy osadzone głęboko w oczodołach. Podniósł rękę do kącika swych warg i szarpnął równoległe bruzdy skóry i mięśni. Otworzył usta, by poczuć, jak się rozciągają, i kłapnął równocześnie trzy razy zębami.

- Nie, mój synu. Nie mam też takich bujnych włosów.

Młodzian wyrzucił wolne ramię w bok i wykonał dłonią w powietrzu ruch naśladowujący lot jaskółki.

- Ptak? Jaki ptak? Może orzeł? Myślisz o Duchu Świętym?

Znowu szeroki ruch ręki.

- A, rozumiem! Chcesz wywołać wrażenie pędu.

Młody mężczyzna roześmiał się całą twarzą; prawie upuścił kamień, lecz zdążył go schwycić. Poczuli się złączeni nad nim jakąś duchową więzią, radośni... Zapadło milczenie. Patrzyli obaj na kamień. Wraz z aniołami lecący w dal w bezkresnym pędzie, który jest bezruchem, z rozwianym włosiem, prosty jak struna, z otwartymi ustami, z których nie popłynie woda deszczowa, lecz okrzyki "hosanna" i "alleluja".

Jocelin podniósł głowę i uśmiechnął się smutnie.

- Czy nie sądzisz, że osłabiasz moją pokorę robiąc ze mnie anioła?

Gardłowy pomruk, przeczący ruch głową, psie, wierne spojrzenie.

- A więc taki zostanę w kamieniu: dwieście stóp nad ziemią, po obu stronach wieży, z otwartymi ustami, głoszący

**dzień i noc chwałę Bożą aż po dzień Sądu? Pozwól, niech się przyjrzę twarzy. Młody stanął posłusznie, całym sobą zwrócony ku niemu. Przez długą chwilę milczeli obaj. Jocelin patrzył na wymizerowane policzki o wystających kościach, na otwarte usta i nozdrza rozciągnięte szeroko, jakby dźwigały do góry dziób, na szeroko otwarte, niewidzące oczy.**

**To prawda. W momencie wizji oczy nie widzą nic.**

**\_ Skąd wiesz tak wiele?**

**Lecz chłopak wydawał się znów obojętny jak kamień. Jocelin zaśmiał się i pogłaskał ogorzały policzek, a potem go uszczypnął.**

**- Może twoje ręce wiedzą, synu. Jest w nich jakaś mądrość. Dlatego Wszechmocny związał ci język.**

**Gardłowy pomruk.**

**- Idź już. Możesz znów popracować nade mną jutro.**

**Jocelin odwrócił się i zatrzymał nagle w miejscu.**

**- Ojciec Adamie!**

**Ruszył spiesznie przez kaplicę Mariacką do miejsca, gdzie ojciec Adam stał w cieniu południowych okien.**

**- Czekał ojciec przez cały czas?**

**Mały człowieczek stał cierpliwie, trzymając list w rękach jak na tacy. Jego bezbarwny głos zaskrzypiał w powietrzu.**

- Obowiązuje mnie posłuszeństwo, księżę dziekanie.**
- Czuję się winny, ojcze.**

**Wypowiedział te słowa, lecz co innego niż skrucha zajmowało jego myśli. Odwrócił się i podążył w kierunku północnego krużganka, słysząc za sobą stukot podbitych gwoździami sandałów.**

**- Ojcie Adamie! Czy ojciec spostrzegł coś za mną, gdy tam klęczałem?**

- Nie, wielbny ojcie - zapiszczał mysi głosik.**
- Gdyby tak było, winien bym nakazać milczenie w tym względzie.**

**Wyszedł w krużganek. Nad jego głową słońce tworzyło strzały i smugi, lecz ściana pomiędzy prezbiterium a otaczającym go szerokim obejściem rzucała na posadzkę, gdzie stali, cień. Słyszał stuk rozbijanych kamieni na skrzyżowaniu naw, przyglądał się drobinkom kurzu tańczącym w powietrzu nawet tu, poza przepierzeniem, choć nieco wolniej. Te wirujące pyłki przyciągnęły jego**

wzrok ku wysokiemu sklepieniu; cofnął się trochę, by lepiej mu się przyjrzeć.

**- Ojcie Adamie!**

**Lecz mały człowieczek nic nie mówił i nic nie robił.**

**Stał trzymając ciągle list, a wyraz jego twarzy pozostał nie zmieniony. "Może dlatego, że on w ogóle nie ma twarzy - pomyślał Jocelin. - Jest cały krągły jak kołek". Rozśmieszyła go łysina, na którą patrzył z góry, i kosmyk włosów nieokreślonej barwy.**

**- Wybaczcie, ojcie Adamie - powiedział. – Tak łatwo się zapomina o waszej obecności. - I dodał, śmiejąc się głośno, pełen rozradowania i ciepłych uczuć: - Będę was nazywał ojciec Anonim.**

**Kapelan milczał nadal.**

**- No, a teraz ten głupi list.**

**W drugim końcu kościoła zgromadził się chór na następne nabożeństwo. Usłyszał, że zaczynają pieśń procesyjną. Najpierw słychać było wyraźniej głosy dziecięce, które cichły z wolna, by ustąpić miejsca niskim głosom księży z chóru kapitulnego. Po chwili i te umilkły. Z kaplicy Mariackiej dobiegał już tylko pojedynczy głos**

wyśpiewujący "Aaaaaaa", goniący sam siebie wśród ech wokół sklepienia.

- Powiedzcie, ojcze! Wszyscy wiedzą, tak to na świecie bywa, że ona jest moją ciotką?

- Tak, księżu dziekanie.

- Trzeba być miłosiernym... zawsze... nawet dla takich jak ona jest... lub była.

Znów milczenie.

"Skrzydłami zakrył stopy. Twój anioł to moja rękojmia. Wszystko teraz znieść mogę".

- Co mówią?

- Takie tam gadanie, wielebny ojcze.

- Powiedzcie.

- Mówią, że gdyby nie jej majątek, nie wybudowalibyście nigdy wieży.

- To prawda. Co jeszcze?

- Mówią, że gdyby nawet grzechy wasze były nie wiem jak ohydne, pieniądze zdołają kupić wam grobowiec przy wielkim ołtarzu.

- Tak mówią?

List leżał wciąż jak biała taca. Przesycający go mdły zapach unosił się w powietrzu i wdzierał do nosa;

**krużganek, pogrążony w dole pod północnymi oknami w mroku, wydawał się wypełniony oddechem sztucznej wiosny. Mimo że zaczął wszystko od nowa, mimo anioła, poczuł znów jakieś zniecierpliwienie.**

**- To śmierdzi!**

**Solo dobiegające z kaplicy ucichło.**

**- Przeczytajcie!**

**\_ "Do mego siostrzeńca i..."**

**- Głośniej!**

**(Z kaplicy płynął pojedynczy głos, zagłuszając echo:**

**"Wierzę w Boga...")**

**\_ "...ojca w Panu, Jocelina, dziekana kościoła katedralnego Panny Maryi".**

**(W kaplicy młode i stare głosy śpiewały teraz razem:**

**"...nieba i ziemi...")**

**- "List ten pisze w moim imieniu mistrz Godfrey, gdyż mniemam, iż pośród kościelnych zajęć i prac związanych z budową zlekceważyłeś tamte listy, które pisał za mnie w ciągu ubiegłych trzech lat. Drogi mój siostrzeńcze! Oto poruszam znowu starą sprawę. Czy nie możesz się zdobyć na słowo odpowiedzi? Zupełnie inną i szybszą dałeś mi wtedy, gdy rzecz szła o pieniądze. Bądźmy szczerzy. Ja**

wiem i świat wie, i Ty wiesz również, jakie było moje życie. Ale wszystko skończyło się z jego śmiercią - skończyło się to, co nazwałabym mordem i męczeństwem. Reszta jest pokutą wobec Stwórcy, który, jak ufam, zechce łaskawie uzyczyc swej niegodnej służebnicy wielu jeszcze lat życia w śmierci, by mogła się przed Nim kajać..."

("Umęczon pod Ponckim Piłatem...")

- "Wiem, że milczysz, bo potępiasz moje konszachty z królem ziemskim. Czyż jednak nie jest powiedziane: Oddajcie, co cesarskiego, cesarzowi? To przynajmniej uczyniłam w miarę najlepszych sił moich. Miałam leżeć w Winchester, pośród królów, obiecał mi to solennie, ale odmówiono mi tego,, choć nadejdzie niebawem czas, że jedynym właściwym dla mnie towarzystwem będą zmarli królowie..."

("Sądzić żywych i umarłych...")

- "Mistrz Godfrey chce wymazać to ostatnie zdanie, ale nie pozwalał mu na to. Czy wszystkie kości w Twoim kościele są tak bardzo uświęcone? Powiesz może, że słabe są moje szansę na niebo, ja jednak nie przestaję ufać. Istnieje miejsce, a raczej istniało, zanim Ty tam nastależ, w południowej części prezbiterium, gdzie pada słońce, między

grobem jakiegoś starego biskupa a ołtarzem prepozyta. Sądzę, że wielki ołtarz mógłby mnie tam znieść i zwracać może mniej uwagi niż Ty na te błędy, za które ciągle jeszcze trudno mi szczerze żałować..." ("Grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie...")

- "O co chodzi? O więcej pieniędzy? Chcesz mieć dwie wieże zamiast jednej? Dowiedz się zatem, że zamierzam podzielić mój majątek - on się okazał i tu, jak we wszystkim, hojny - pomiędzy Ciebie i biednych, odłożywszy konieczną sumę na mój grobowiec, mszę żałobną, dar dla katedry w imieniu Twojej nieżyjącej matki – żyłyśmy z nią kiedyś w bliskiej przyjaźni..."

Wyciągnął rękę i złożył list w rękach kapelana.

- Nie sądzicie, że poradzimy sobie bez kobiet, ojcze Anonimie?

- Powiadają, że są niebezpieczne i niepojęte, księżę dziekanie.

("Amen.")

- A jaką damy odpowiedź?

Lecz Jocelin przywołał znów na myśl nowo zaczęte dzieło, anioła i niewidoczne jeszcze zarysy wieży, które dla

**wtajemniczonych rysowały się na słonecznym niebie nad skrzyżowaniem naw.**

**- Odpowiedź? - powtórzył ze śmiechem. - Po cóż mamy zmieniać decyzję. Nie odpowiemy wcale.**

## ROZDZIAŁ DRUGI

Wyszedł z krużganka przez prowizoryczne drewniane drzwi i stał chwilę mrugając w niespodziewanym blasku na skrzyżowaniu naw. Otwór w ścianie północnej nawy poprzecznej był już tak duży, że zmieściłby się w nim wóz. Część załogi majstra zajęta była wyrównywaniem krawędzi. Kurz, większy niż kiedykolwiek, kłębił się jak żółty dym. Dziekan zakaszłał, a oczy nabiegły mu łzami. Dwaj robotnicy kruszący posadzkę pracowali zanurzeni pod nią po uda, a pył był tu tak gęsty, że mu się wydawało, iż twarze ich są w potworny sposób zniekształcone, póki nie spostrzegł, że zakryli sobie usta szmatami: szmaty te pokrywała gruba skorupa kurzu i potu. Nad otworem stał wyczekująco pomocnik murarski, a gdy nappełnił swój kubek, odszedł środkiem nawy, ustępując miejsca innemu. Wydostawszy się z kłębow kurzu, z kubelkiem na ramieniu, zaczął śpiewać dobywając z trudem głos z piersi. Jocelin usłyszał pierwsze słowa piosenki i zakrył rakami uszy, a potem otworzył usta, by skarcić śpiewającego, który nie zwrócił na to uwagi i wyszedł otwór w murze, nie przestając śpiewać. Jocelin wbiegł do nawy i rozejrzał się po niej.

Szedł wyciągając szyję i zaglądając za filary, ale nie znalazł tam nikogo. Umyślnie przeszedł przez nawę południową. Uderzył w duże drzwi wiodące na krużganek, szarpnął zakrywającą je kotarę. Ale w scriptorium nie było tego, kogo szukał. Tylko jakiś diakon porównywał dwa rękopisy, z nosem o trzy cale od karty papieru.

- Gdzie jest zakrystian?

Młodziak skoczył na równe nogi, chwytając w locie spadającą księgę.

- Przeszedł tędy, księżo dziękuję...

Jocelin szarpnął następną kotarę. Ale i w sali szkolnej nie było nikogo. Ławki stały w nieładzie, jedna była przewrócona. Podeszedł do arkady krużganka, oparł się rękami o parapet, w miejscu gdzie w kamieniu wydrapana była szachownica i leżały kościane pionki, i wytknął głowę na zewnątrz. Zakrystian siedział na ławce wyniesionej z sali szkolnej, w słońcu, oparty plecami o filar arkady, z rękami złożonymi na kolanach.

- Ojcie Anzelmie!

Jakaś pierwsza wiosenna mucha połaskotała ojca Anzelma po nosie i odleciała. Otworzył oczy nie widząc i zamknął je znowu.

**- Księżę zakrystianie!**

**Jocelin podniósł następną kotarę, wybiegł na plac i stanął obok ojca Anzelma; opanował gniew i przemówił normalnym głosem:**

**- W nawie nie ma nikogo. Nikt tam nie pilnuje.**

**Ojciec Anzelm drżał lekko, choć wydawało się, że śpi. Otworzył oczy, lecz patrzył gdzieś w bok.**

**- Taki kurz, księżę dziekanie. Ojciec wie, w jakim stanie są moje biedne płuca.**

**- Nie ma potrzeby, żeby ojciec sam tam siedział. Wystarczy wydać rozkaz.**

**Anzelm zakaszłał cicho.**

**\_- Jak mogę żądać od innych tego, czego sam zrobić nie mogę? Za dzień, dwa kurzu będzie mniej. Tak powiedział majster.**

**- A tymczasem mogą tam śpiewać sprośne śpiewki?**

**Mimo że Jocelin starał się opanować, głos jego wzniósł się wyżej, a prawa pięść zacisnęła się w kułak. Rozwarł ją z premedytacją, a potem zgiął palce, jakby to był gest bez znaczenia. Lecz zakrystian dojrzał go, choć patrzył teraz na wysoki cedr. Drżał jeszcze, ale głos miał spokojny.**

- Kiedy się weźmie pod uwagę, księżę dziekanie, do jakiego stopnia musimy się pogodzić z zakłóceniem naszego normalnego życia, to piosenka - proszę mi darować - choćby i bardzo świecka, wydaje się przewinieniem, które można wybaczyć. Ostatecznie mamy dwa-  
naście ołtarzy w nawach bocznych. A z powodu tej budowy nie palą się tam żadne świece. I - proszę mi znów wybaczyć - skoro ci dziwni osobnicy ze wszystkich krańców świata wydają się skłonni do tego, żeby odpowiadać siłą na najłżejszą prowokację, może mądrzej byłoby pozwolić im śpiewać. Jocelin otworzył usta i zamknął je nie wyrzekłszy słowa. Przez mgnienie ujrzał w myśli obraz poważnych narad w kapitularku. Zakrystian tymczasem odwrócił wzrok od cedru i patrzył teraz prosto na niego, z przechyloną na bok głową.

- Tak, księżę dziekanie. Niech sobie śpiewają przez dzień czy dwa, przynajmniej póki nie opadnie ten kurz.

Jocelin odzyskał oddech.

- Na zebraniu kapituły zapadły przecież postanowienia...

- Pozostawiono mi pewną swobodę.

- Oni bezczeszczą kościół.

**Zakrystian był równie nieruchomy jak kamienie, o które się opierał. Nie drżał już.**

**- Przynajmniej go nie niszczą.**

**- Co ojciec ma na myśli?! - wykrzyknął Jocelin.**

**Ręce zakrystiana spoczywały nieruchomo, jakby zapomniał, że nimi poruszał.**

**- Ja, księżę dziekanie? Tylko to, co powiedziałem.**

**Bardzo ostrożnie splótł dłonie na kolanach. – Proszę mnie źle nie rozumieć. Możliwe, że ci ciemni ludzie kalają powietrze swoimi słowami, tak jak wypełniają je kurzem i brudem. Ale go nie niszczą. Nie niszczą budynku, który je otacza.**

**- A ja go niszcę!?**

**Lecz zakrystian miał się na baczności.**

**- Kto mówił o księdzu dziekanie?**

**- Zawsze, od kiedy głosował ojciec w kapitule przeciwko wzniesieniu wieży...**

**Gniew dusił go w gardle, urwał. Anzelm uśmiechnął się lekko.**

**- Godny ubolewania brak wiary, księżę dziekanie. Zostałem przegłosowany i teraz musimy wszyscy wyteńczyć siły.**

**Zabrzmiało to trochę jak cytat. Rozdrażnienie Jocelina przeszło w złość.**

**- Istotnie godny ubolewania brak wiary!**

**Uśmiech zakrystiana wyrażał nie tylko spokój, ale i życzliwość.**

**- Nie wszyscy czujemy się tymi wybranymi, księżę dziekanie.**

**- Czy ojciec myśli, iż ja nie rozumiem, że to oskarżenie? Choć ostrożnie sformułowane.**

**- Powiedziałem, co miałem do powiedzenia.**

**- Nie wstając z miejsca.**

**Różne dziwne powody sprawiły, że w Jocelinie krew zawrzała. Gdy odezwał się znowu, głos jego drżał.**

**- Sądzę, że nakazy założyciela naszego zgromadzenia obowiązują nadal.**

**Zakrystian siedział bez ruchu. Na jego delikatnej twarzy pojawił się jakby cień rumieńca. Cofnął stopy i wolno wstał.**

**- Słucham, księżę dziekanie.**

**- Na skrzyżowaniu naw ciągle brak dozoru.**

**Zakrystian nie odpowiedział. Złożył ręce, ulegle pochylił głowę i odwrócił się w kierunku drzwi wiodących na krużganek. Jocelin wyciągnął nagle rękę.**

**- Anzelmie!**

**Zakrystian się zatrzymał, odwrócił i czekał.**

**- Anzelmie, ja nie chciałem... Jesteś moim jedynym przyjacielem z dawnych czasów... Do czego to prowadzi?**

**Milczenie.**

**- I wiesz, nie to miałem na myśli, żebyś odchodził w ten sposób... Przebacz mi.**

**Oczu w różowej twarzy nie rozjaśnił uśmiech.**

**- Oczywiście.**

**- Jest mnóstwo ludzi, których mógłbyś do tego wyznaczyć. Tego chłopca ze scriptorium, na przykład. Chryzostom może chyba poczekać? Pomyśl, jak długo już czeka.**

**Ale zakrystian był znów spokojny. Potrząsnął głową.**

**- Nie chciałbym prosić o to dzisiaj nikogo. Z powodu tego kurzu.**

**Zamilkli obaj.**

**"Co mam zrobić? Mała przykrość, która minie. Ale mam nauczkę."**

**- Rozkaz księdza dziekana pozostaje nie zmieniony?**

**Jocelin obrócił się na pięcie i spojrzał w górę. Zobaczył arkadę krużganka i blanki, zatrzymał spojrzenie na skarpach nad nimi i wysokich oknach południowej ściany. Wzrok jego szedł dalej w górę wzdłuż kąta, jaki tworzyła ściana z nawą poprzeczną, aż do miejsca, gdzie skrzyżowanie naw ściśle przykrywał kwadratowy dach. Słońce nasycalo swym blaskiem kamień nie ogrzewając go. A ponad kamienną ścianą jaśniało czyste niebo splukane nocnym deszczem. Nie było na nim chmur, tylko zapowiedź wiatru. Dziekan sycił wzrok niewidocznymi geometrycznymi liniami tam w górze, nad blankami, gdzie krążył ptak, aż dotarł do punktu czterysta stóp nad ziemią. "Niech tak będzie. Niech nie wiem, ile kosztuje".**

**Popatrzył znów na zakrystiana i zdumiał się wyrazem jego twarzy: malowała się na niej życzliwość i pełna politowania satysfakcja. "Jestem twoim przyjacielem - mówił uśmiech - twoim spowiednikiem, ale przede wszystkim przyjacielem". Mówił też coś, na co w żaden sposób nie można było odpowiedzieć: "Ta niewidoczna rzecz tam w górze to Szaleństwo Jocelina, które runie na ziemię, a padając pogrzebie i zniszczy kościół".**

**- Więc jak, księżu dziekanie?**

**Starając się nie podnieść głosu Jocelin powiedział:**

**- Tak. Proszę tam iść.**

**Zakrystian złożył ręce i pochylił głowę. Był to całkowity akt posłuszeństwa, ale i coś więcej; naderwała się nić, która ich łączyła. Zatrzymał się na chwilę przy drzwiach prowadzących do nawy poprzecznej, a Jocelin nawet w delikatnym podniesieniu klamki i starannym zamknięciu drzwi, które zgrzytnęły, usłyszał jakąś nieokreśloną naganę, stanowiącą swego rodzaju zuchwalstwo, tak że naderwana nić pękła. "No - pomyślał – to koniec." A potem przypomniał sobie, jak mocna była więź łącząca ich serca, i na myśl o tym poczuł ból. Wiedział, że gdy ochłonie z gniewu, będzie się trapił, wspominając klasztor nad morzem, piaszczysty brzeg, połyskującą w słońcu wodę. To groziło już od dłuższego czasu. Nie wiedziałem, ile będziesz kosztować, ty, tam w górze, czterysta stóp nad ziemią. Myślałem, że to będą tylko pieniądze. Ale, mimo wszystko, kosztuj, ile chcesz."**

**Wrócił do katedry i na chwilę, gdy stał w nawie południowej, wyrzucił z myśli Anzelma. Bo kurzu w powietrzu było mniej, a tam gdzie jeszcze się unosił,**

zmniejszał się widocznie. Kopacze nie pracowali już z zasłoniętymi ustami i nie stał nad nimi słup pyłu. Widać było tylko ich głowy i wyrzucane do góry łopaty. Kiedy łopaty opadały w dół, nie dźwięczały uderzając o kamień, lecz cięły ziemię z cichym chrzęstem. Murarczyk wynosił kubły pełne czarnej ziemi. Jocelina nie interesował jednak murarczyk ani kopacze, tylko Roger Mason, który stał po drugiej stronie wykopanego dołu, ze spojrzeniem utkwionym w jego głąb. Podniósł na chwilę wzrok na filary, popatrzył na Jocelina nie widząc go i znów skierował oczy w dół. Nie było to nic nowego, bo majster często wpatrywał się w różne rzeczy nie widząc ich wcale, to znów patrzył na coś tak, jakby nie potrafił dojrzeć nic innego ani nic innego słyszeć i czuć. Wzrok jego zdawał się wtedy obejmować i kształtować rzecz, której się przyglądał, lub też akceptować ją w pełni. Ale teraz nie patrzył w ten sposób. Wpatrywał się nieruchomo w dół, a na jego ogorzalej twarzy malowało się wyraźne zdumienie i niedowierzanie. Granatowy kaptur, odrzucony na plecy, otaczał fałdami grubą szyję; majster przesunął ręką po krągłej ostrzyżonej głowie, jakby chciał się upewnić, że znajduje się ona na swoim miejscu.

**Jocelin stanął na skraju dołu i spytał:**

**- No, Roger? Zadowolony jesteś?**

**Majster nie odpowiedział i nie spojrzał nawet na niego.**

**Z rękami wspartymi na biodrach stał na grubych szeroko rozstawionych nogach, pochylając lekko do przodu muskularny, przyodziany w brązową bluzę tors. Powiedział w głąb dołu:**

**- Popróbujcie szpikulcem.**

**Jeden z kopaczy przeciągnął się i otarł ręką spoconą twarz. Drugi zniknął w głębi dołu i zaczął tam chrząkać. Majster ukląkł szybko i z rękami wspartymi o brzeg kamiennej płyty pochylił się jeszcze bardziej do przodu.**

**- Jest coś?**

**- Nic, panie majstrze. No, ho-op!**

**Ukazała się głowa mężczyzny i ręce. Trzymał w nich żelazny pręt, zaznaczając jednym kciukiem odległość, a drugi opierając o świecący znak. Majster obejrzał wolno pręt od jednego palca do drugiego. Popatrzył, jakby nie widział Jocelina i ułożył wargi jak do gwizdu, ale nie wydał z nich dźwięku. Dziekan zrozumiał, że jest ignorowany, i odwrócił się, by się przyjrzeć dokładnie nawie. Dojrzał siwą szlachetną głowę Anzelma, który siedział o dwieście jardów**

**z boku przy drzwiach po stronie zachodniej, wykonując ściśle jego polecenie, lecz poza zasięgiem słuchu i nieomal wzroku. Jocelin poczuł nagły nawrót bólu, że człowiek ten mógł mu się wydawać kimś innym, niż wynika z jego zachowania, a także cień zdziwienia i niedowierzania. "Jeśli chce zachowywać się jak dziecko, niech sobie siedzi, aż przyrośnie do kamienia. Nie powiem nic."**

**Odwrócił się znów do majstra i tym razem wiedział, że ten go zauważył.**

**- No co, mój synu?**

**Majster wyprostował się, strzepnął kurz z kolan, a potem z rąk. Kopacze powrócili do swej pracy, rozległ się chrzęst i zgrzyt.**

**- Pojęliście, coście widzieli, wielbny ojcze?**

**- Tylko tyle, że legendy stają się prawdą. Ale legendy są zawsze prawdziwe.**

**- Wy, księża, przebieracie i wybieracie. "Wy, księża. ...Muszę uważać, żeby go nie rozgniewać - pomyślał. - Póki robi, co ja chcę, niech sobie gada, co mu się podoba."**

**- Przyznaj, synu, że mówiłem ci, iż ten budynek to cud, a tyś nie chciał wierzyć. Teraz ujrzałeś na własne oczy.**

**- Co ujrzałem?**

**- Cud. Ujrzałeś fundamenty. Lub raczej, że ich nie ma. Majster roześmiał się, a w śmiechu jego brzmiała ironia i pogarda.**

**- Fundamenty są. Są mniej więcej wystarczające na budowlę o tym ciężarze. Proszę spojrzeć! Zobaczy ksiądz dziekan, co zrobiono. Proszę się przyjrzeć bocznej ścianie tego dołu. Gruz do tego miejsca i jeszcze dotąd. A potem już nic - prócz błota. Jakby tratwa z gałązek umocniona po wierzchu. I to nawet nie jest pewne. Możliwe, że jest tu gdzieś pod spodem żwir, który musi wydobyć się na wierzch. Musi, albo ja nie znam się na swojej robocie. Może był tu kiedyś brzeg rzeki i to jest żwir zostawiony przez nią. A to błoto tam w dole to może nic innego jak złożone mułu. Jocelin roześmiał się radośnie. Uniósł w górę brodę.**

**- Przy całych twoich fachowych wiadomościach nie możesz znaleźć nic pewnego, synu. Mówisz, że zbudowali tratwę. A dlaczego nie uwierzyć, że budynek na niej się unosi. Prościej jest wierzyć w cud. Majster przyglądał mu się w milczeniu, póki dziekan nie przestał się śmiać.**

**- Proszę podejść tu, gdzie możemy porozmawiać. Dajmy na to, że budynek jest zawieszony w powietrzu. To się tak mówi. Możliwe, że...**

**- Tak jest, Rogerze. Zawsze wiedzieliśmy o tym. Może następnym razem uwierzysz mi. To kopanie było całkiem niepotrzebne.**

**- Kopyę ze względu na moich robotników.**

**- Twojej armii? Myślałem, że jesteś jej generałem!**

**-- Niekiedy przewodzi armia.**

**- Niewiele wart taki generał, Rogerze.**

**- Niech ksiądz dziekan zechce posłuchać. Fundamenty, tratwa, jeśli tak to nazwiemy, są akurat wystarczające na ten budynek. Ale na nic więcej. Lub prawie na nic. A ci kopacze wiedzą o tym. Choć starał się przybrać ton uroczysty, w głosie Jocelina brzmiało dobrotliwe ubawienie.**

**- A czy ten dół nie został też wykopany dla mnie, Rogerze? Wilczy dół dla złapania dziekana?**

**\_ Ale Roger Mason nie uśmiechnął się. Patrzył przed siebie spod gęstych brwi, jak byk.**

**- Co ksiądz chce przez to powiedzieć?**

**- Pokażmy dziekanowi, że wieża jest rzeczą niemożliwą. Tego lata nie ma roboty w Winchester ani w Chichester, ani w Lalock, ani w Christchurch; nie buduje się żadnych opactw ani klasztorów; nowy król nie jest**

**budowniczym zamków. "Tutaj - pomyślałeś -  
przebiedujemy jakoś lato, pokażemy dziekanowi  
Jocelinowi, jaki z niego szaleniec." W ten sposób możesz  
utrzymać razem swoją armię, aż trafi się jakaś robota, bez  
tej armii jesteś niczym. Majster uśmiechnął się.**

**- Jeśli niebawem natrafię na żwir, wielebny ojcze,  
będziemy mogli się zastanowić. W przeciwnym razie...**

**- W przeciwnym razie zgodzisz się na budowanie  
niskiej szerokiej wieży i będziesz to robił ostrożnie, lękliwie,  
zerkając z ukosa, czy budynek się nie wali? I myślisz, że  
jesteś bardzo mądry. Wieżę można przestać wznosić na  
każdej wysokości, prawda, Roger? A twoja armia może  
zimować tu i mordować jeszcze więcej ludzi.**

**- To ja straciłem w tej walce mego najlepszego  
kamieniarza.**

**- A wszystko dla niskiej, szerokiej wieży. Nie, Rogerze!**

**- Szukam żwiru. Żwir to prawdziwy fundament.**

**Jocelin kiwał głową i uśmiechał się do niego.**

**- Zobaczysz, jak pchnę cię w górę moją wolą. Ta  
sprawa to wola Boska.**

**Majster przestał się uśmiechać. Powiedział z gniewem:**

- Gdyby zamierzali zbudować strzelistą wieżę, położyliby fundamenty pod nią.

- Zamierzali ją zbudować.

Tym razem obudził pełne zainteresowanie Rogera.

- A plany?

- Jakie plany?

- Plany budynku. Widział je ksiądz dziekan? Ma je ksiądz w archiwum?

Jocelin potrząsnął głową.

- Nie ma żadnych planów, mój synu. Tacy ludzie jak tamci nie potrzebowali rysunków na pergaminie czy kartonie. Ale ja wiem, co zamierzali. Majster podrapał się w głowę, a potem skinął ręką.

- Pozwólcie ze mną, wielbny ojcie. Obejrzymy filary.

- Znam je dobrze. Pamiętaj, że to mój dom pod opieką Boga.

- Ale spójrzcie na nie tak, jak ja patrzę.

W czterech rogach na skrzyżowaniu naw wznosiły się filary. Strzelały w górę, każdy jak pęd łądyg rozgałęziających się dla podtrzymania dachu. Pod dachem panował półmrok, tak że z dołu, z odległości stu dwudziestu stóp, oko nie mogło dojrzeć wzoru na drewnianej pokrywie

zasłaniającej otwór pośrodku. Majster podszedł do filara w południowo-zachodnim rogu i uderzył dłonią w jedną z kolumnienek. Kamień był tak gładki, że kurz się na nim nie trzymał. W miejscu, gdzie Roger dotknął powierzchni słupa, wystąpił jednak ślad wykoślawionej ręki.

- Czy wydają się wam, ojcze, grube i mocne?

- Potężne.

\_ Ale spójrzcie, proszę, jak cienkie są w stosunku do swej wysokości.

- To całe ich piękno.

- Podtrzymują jedynie dach. Nigdy nie były obliczone na to, by dźwigać coś więcej poza własnym ciężarem. Jocelin uniósł brodę.

- Mimo to muszą być wystarczająco mocne.

Uśmiech majstra był równie dwuznaczny jak przedtem uśmiech zakrystiana.

- Jak zabrałibyście się do budowy jednego z tych filarów, wielbny ojcze?

Jocelin podszedł do filara i przyjrzał mu się z bliska.

Każda kolumnienka była grubsza od ciała mężczyzny. Przesunął palcami po powierzchni jednej z nich.

- O tu. Widzisz? Te poziome pęknięcia, spojenia. Jak wy to nazywacie? Legary? Musieli ciąć kawałki i układać jeden na drugim, jak układają pionki dzieci grające w warcaby.

W uśmiechu majstra pojawiła się zaciętość.

- Mówicie, ojczy, że to byli zacni ludzie. A może byli też uczciwi. Ale są jeszcze inne sposobny Kulejąc szedł przez nawę Pangall. Za nim posuwał się, naśladowując go w milczeniu, pomocnik murarski. Szedł takim samym chwiejnym, słaniającym się krokiem, tak samo trzymał głowę, miał to samo gniewne spojrzenie. Pangall nagle się odwrócił i murarczyk stanął wybuchając śmiechem. Pangall mamrocząc pod nosem przeszedł na teren swego królestwa.

- No, Roger, pomówmy teraz o czym innym. Ten człowiek...

- Pangall?

- To bardzo wierny sługa. Powiedz swoim ludziom,, żeby go zostawili w spokoju.

Milczenie.

**- Roger?**

**- To głupiec. Nie zna się na żartach.**

**- To bardzo kiepskie żarty.**

**Majster wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w drzwi prowadzące do królestwa Pangalla. Milczał.**

**- Roger! Dlaczego nie dają mu spokoju?**

**Majster rzucił szybkie spojrzenie na Jocelina. Nagle nastąpiło jakieś duchowe zbliżenie między nimi, jakby koło wtoczyło się w koleinę. Dziekanowi cisnęło się na wargi wiele słów, które mógłby wypowiedzieć, gdyby nie te wpatrzone w niego ciemne oczy. Czuł się tak, jakby stał na jakiejś krawędzi.**

**- Roger?**

**Grupka wiernych wracających z kaplicy Mariackiej posuwała się wzdłuż północnego krużganka, prowadzona przez Rachelę. Cichły pełne emocji rozmowy.**

**- Dlaczego oni to robią?**

**Roger Mason odwrócił się do kopanego dołu.**

**- To taki nasz sposób odganiania nieszczęścia.**

**W tej chwili Rachelę oderwała się od grupy i szła szybko ku nim, mówiąc coś i gestykulując, zanim jeszcze znalazła się w takiej odległości, by można ją było usłyszeć.**

- Nie spodziewali się, że skończą kopanie pod fundamenty przed dniem Sądu Ostatecznego. Dlaczego mieliby kończyć wcześniej, mają przecież jakąś umowę, tak jak i mój mąż... - Mówiła, kiwała głową, wymachiwała gwałtownie rękami, nie unosząc spódnicy, lecz podpierając ją tak, że widać było grubą kostkę i stopę. - ...Spodziewałeś się znaleźć drzewo brzoźowe pod tym gruzem, prawda, Roger? On zawsze wie, księżę dziekanie... - "«Księżę dziekanie, jakby nie była kobietą, lecz kanonikiem z decydującym głosem w kapitule". Całe jej ciało brało niejako udział w tym, co mówiła, czarne oczy wyskakiwały nieomal z orbit. "Nie zachowuje się jak skromna, powściągliwa angielska kobieta (na przykład milcząca Goody Pangall, moja droga córka w Panu), lecz udaje, że się zna na rzeczy, tworzy teorię, sprzecza się nawet z mężczyzną! Ciemnowłosa, ciemnooka, energiczna Rachela, stale pełna werwy, najsilniejszy pod słońcem argument gdyby go ktoś szukał - przemawiający za celibatem..." -Niech ksiądz dziekan wybaczy moje słowa, ale znam się trochę na tym. Pamiętam, co powiedział stary majster Rogera. "Dziecko - mówił do mnie - dziecko, bo Roger był wtedy jego pomocnikiem - dziecko, wieża

sięga w tak głęboko, jak wysoko wystrzelała ponad nią; lub wznosi się w górę tak wysoko, jak głęboko wchodzi pod ziemię." Chciał powiedzieć przez to, że – przechyliła głowę na bok, uśmiechając się tajemniczo i celując wysuniętym palcem w twarz Jocelina - że ciężar nad budynkiem musi być taki sam jak ciężar pod nim. Więc jeżeli buduje się coś na czterysta stóp nad ziemią, to trzeba wejść i pod ziemię na czterysta stóp. Czy nie tak, Roger? Roger? - Mówiła i mówiła, wyzwolona z obowiązku przymusowego milczenia, które musiała zachowywać w czasie nabożeństwa; ciało jej i śniada twarz dygotały, gdy wyrzucała z ust słowa, jak rura wstrząsana wypływającą z niej wodą. Ciekawe było to stadło Masonów. Nie tylko nierozłączni, ale i z wyglądu do siebie podobni, przypominali raczej brata i siostrę niż męża i żonę, tak samo ciemni, silni, o czerwonych wargach. Żyli jak na wyspie, ich życie było swoim własnym wzorem. Roger nigdy nie bił żony, a ich częste kłótnie były jak rakiety ulatujące z wiatrem i nie pozostawiające po sobie żadnych śladów. Kręcili się wokół siebie w sposób dla ludzi niepojęty. Niepodobna było zrozumieć, jak się nawzajem tolerowali; choć dawało się zaobserwować pewne metody ułatwiające im współżycie. Na przykład Roger miał własny

**sposób postępowania z Rachela, która często - jak właśnie w tej chwili - stwarzała sytuacje farsowe. Ignorował ją wtedy zupełnie, podnosząc jedynie głos, tak by można go usłyszeć i zrozumieć. Nigdy go to na pozór nie irytowało, ale oczywiście irytowało osobę trzecią, zwłaszcza kiedy był nią wysoki dostojnik kościelny.**

**- ...to rzecz o wiele bardziej skomplikowana, niż się księdzu dziekanowi wydaje.**

**Twarz Racheli zatrzęsała się znowu w potoku wymowy, tak że słów majstra nie było słychać. Jocelin podniósł głos, godząc się na tę farsę, choć gniewny z jej przyczyny.**

**- Mówiliśmy o Pangallu.**

**--Taka miła kobieta! Jaka szkoda, że nie ma dzieci!**

**- Ale i ja ich nie mam, księżu dziekanie, trzeba dźwigać ten krzyż.**

**- ...będę budował do takiej wysokości, do jakiej będę mógł.**

**- ...do takiej, na jaką się odważysz!**

**Nagle Jocelin usłyszał wyraźnie własny głos, nie potrzebował już nic przekrzykiwać. Rachela odwróciła się, a potok jej słów utonął w otworze pod ziemią, w którym zniknęła.**

- Po co ważyć się na małe rzeczy, Roger? Ja mam wielkie zamierzenia.

- Jakie?

- Czterysta stóp w górę.

- Nie przekonałem więc księdza dziekana.

Jocelin uśmiechnął się i znacząco kiwnął głową.

- Zaczynj budować. To wszystko, o co proszę.

Popatrzyli na siebie, obaj zdeterminowani; nie rozmawiali więcej, lecz zdawali sobie sprawę, że nic nie zostało załatwione, że to tylko chwilowy rozejm. "Będę go przekonywał kamień po kamieniu - myślał Jocelin. – On nie ma wyobraźni. Jest ślepy. Niech sobie myśli, że może przerwać budowę na takiej wysokości, na jakiej zechce..." Wtem Rachela wynurzyła się z dołu i usłyszeli, jak tam ciemno i jak zmęczeni są ludzie. Powinni skończyć już tę robotę; uległego konia można popędzać do pewnych tylko granic. Jocelin odwrócił się, wściekły na siebie, na głupią babę i na mężczyznę, któremu łatwiej było ignorować ją niż ukrócić. Ujrzał ze zdumieniem, że słońce wdziera się teraz przez okna od zachodu. Na ten widok poczuł, że jest głodny. I to też wprawiło go w złość; złagodniał nieco usłyszawszy za sobą, że majster wymyśla Racheli.

**- Jak możesz być tak głupia!?**

**Wiedział jednak, że ten krzyk nic nie znaczy, że to nawet nie nagana, lecz raczej coś, co ma zażegnać nieszczęście, i że za pięć minut będą już kręcić się koło siebie ze śmiechem lub przechadzać przytuleni w gorszący sposób, lub prowadzić szeptem jakąś rozmowę, obchodzącą tylko ich samych. W obecnym stanie rzeczy była ona jednak przyzwoitą kobietą. Spośród różnych skandalicznych plotek, jakie krążyły na temat tego, co się dzieje na ulicy Nowej, gdzie rozbili swój obóz robotnicy budowlani, żadna nie dotyczyła ani Racheli, ani jej męża. Jocelin popatrzył raz jeszcze na nawę w słońcu i stwierdził, że znów ogarnia go gniew. "Dzień zaczął się od radości - pomyślał. - Wydarzyły się wielkie rzeczy: dobry początek i mój anioł. A równocześnie radość zgasła, jakby ten anioł został zesłany nie tylko po to, by mnie pocieszyć i dodać sił, ale i po to, by ranie ostrzec' Ujrzał w oddali ojca Anzelma siedzącego godnie przy drzwiach. Nieruchoma postać starca w koronie siwych włosów zasmuciła go i rozdrażniła równocześnie. Uniósł brodą i powiedział do kazujących z ambony patriarchów na witrażach w oknach nawy głównej:**

**- Niech się dąsa, jeśli ma ochotę!**

**Usłyszał za sobą śmiech dobiegający z nawy północnej przez otwór zrobiony świeżo w murze. To Rachela wyszła tamtędy. Odwrócił się i zobaczył, że majster mówi coś do swoich ludzi stojąc nad dołem. Przez chwilę się zastanawiał, czy ma wrócić i dalej go przekonywać. "Nie powinienem był podchodzić do niego - pomyślał. - Trzeba było przywołać go i wyłajać za tę bójkę przy bramie. Nie powiedziałem nawet połowy tego, co chciałem powiedzieć. To przez tę kobietę z jej gadaniną i zuchwałą, ruchliwą twarzą. Bywają kobiety mocniejsze niż bramy i kraty przez samo swoje nieuctwo. Powinienem był skarcić ją za arogancję, nauczyć, gdzie jest jej miejsce. Kiedy zobaczę ją następnym razem samą, pomówię z nią spokojnie i wytłumaczę, jak powinna się zachowywać." Usłyszał stukot podbitych gwoździami sandałów i wiedział, że to nadchodzi człowiek przypominający z wyglądu kołek. Odwrócił się, by spojrzeć. Ojciec Adam szedł swoim zwykłym krokiem - ani szybkim, ani wolnym, ale tak, jakby nigdy nie robił nic innego, tylko chodził tak dzień za dniem, oczekując na polecenia i odbierając je - bezosobowo, beznamiętnie, bez narzekania. Stał teraz przed swoim przełożonym, ze**

**złożonymi rękami, jak lalka namalowana przez dziecko, lecz z twarzą o wyrazie zbyt zagadkowym jak na pracę dziecka, z ramionami i włosami jakby domalowanymi później. Stał między Jocelinem a jego mocno spóźnionym posiłkiem, trzymając w ręku następną sprawę do załatwienia.**

**- Nie mogliście zaczekać z tym, ojcze Adamie?**

**"Ojciec Anonimie."**

**Ojciec Anonim wyskrzeczwał odpowiedź swoim usługowym głosem.**

**- Sądziłem, że zechcecie przeczytać to od razu, księżę dziekanie.**

**Jocelin westchnął i znużony, poirytowany i dziwnie wyzuty z radości powiedział:**

**- No więc pokażcie.**

**Odwrócił się ku wschodowi, podnosząc list w rękach tak, by padało nań słońce. W miarę jak czytał, twarz mu się rozjaśniała; malujący się na niej gniew przeszedł w zadowolenie, a potem w radość.**

**- Dobrzeście zrobili pokazując mi to.**

**Padł na kolana, przeżegnał się i złożył Bogu dzięki. Ale fala radości zmusiła go do powstania i podążenia tam, gdzie**

**majster rozmawiał ze swym pomocnikiem Jehanem. Gdy dziekan podszedł, Roger odwrócił wzrok od Jehana i powiedział:**

**- Nie natrafili jeszcze na żwir. A jeśli woda nadal będzie się podnosić, możemy czekać całe tygodnie, zanim się da kopać głębiej. Może i miesiące.**

**Jocelin uderzył ręką w list.**

**- Tu jest odpowiedź na to, co mówisz, synu.**

**- To?**

**- Ksiądz biskup przypomniał sobie o nas. Nawet gdy klęczy przed Ojcem Świętym w Rzymie, pamięta o swoich owieczkach.**

**- Ksiądz dziekan nigdy nie rozumie tego, co mówię - odrzekł ze zniecierpliwieniem majster. - Powiedziałem, że pieniądze nie mogą zbudować tej wieży. Zbudowana ze złota opadnie w ziemię jeszcze głębiej.**

**Jocelin ze śmiechem potrząsnął głową.**

**- Powiem ci, o co idzie, a będziesz spał spokojnie. On nie przysyła pieniędzy. Bo cóż ostatecznie znaczą pieniądze? Przysyła coś nieskończenie bardziej cennego... -**

**Fala wzruszenia ogarnęła dziekana, a wraz z nią głos jego wzniósł się wyżej. Objął majstra ramieniem i przytulił.**

**- Umieścimy to w kamieniu na samym szczycie wieży, gdzie pozostanie do skończenia świata. Ksiądz biskup przysłała nam Święty Gwóźdź. Zdjął rękę z majstra, którego twarz miała wyraz nie-przenikniony, i popatrzył w głąb zalanej słońcem nawy. Zobaczył siwą głowę ojca Anzelma i poczuł nagle, że życie bez balsamu pociechy jest nie do zniesienia. Ruszył prawie biegiem przez nawę ku starcowi wymachując trzymanym w ręku listem.**

**- Ojcie Anzelmie!**

**Tym razem ojciec Anzelm podniósł się i wstał. Zrobił to wolno, jakby z trudem znosił swoje męczeństwo. I dla dopełnienia tego pięknego obrazu zakaszłał cichutko, ledwo dosłyszalnie trzy razy. Twarz jego była chłodna i obojętna.**

**- Ojcie Anzelmie! Przyjaźń to cenna rzecz.**

**Nadal obojętność. Unoszony rozpierającą go radością, Jocelin spróbował raz jeszcze:**

**- Czymżeśmy na nią zasłużyli?**

**- Czy to prawdziwe, czy retoryczne pytanie?**

**Jocelin ogarnął go czułym spojrzeniem.**

**- Chciałbyś przeczytać ten list?**

**- Czy to rozkaz księdza dziekana?**

**Jocelin roześmiał się głośno.**

**- Anzelmie! Anzelmie!**

**Starzec z uporem opierał się jego miłości, odwracał wzrok ku ścianie z drewna i płótna. I pokaszliwał cichutko - lecz tak, że można to było wyraźnie słyszeć: eh, eh!**

**- Jeśli to sprawa dotycząca kapituły, księże dziekanie, z pewnością usłyszymy o tym wszyscy we właściwym czasie.**

**- Anzelmie! Mam podarunek dla ciebie. Zwalniam cię z wyznaczonego obowiązku. Powinienem był zrozumieć, że wobec ogólnego sprzeciwu i twego zdrowia... W końcu nikogo tak jak mnie nie pochłania ta sprawa. Wezmę ją sam w ręce. Wiesz przecież o tym - i wiesz dlaczego, ty jeden spośród wszystkich, mój spowiednik, kierownik mojej duszy.**

**- Proszę pozwolić mi zrozumieć rzecz jasno, księże dziekanie. Nie będę już dozorcą ani organizatorem nadzoru?**

**- To właśnie powiedziałem.**

**Anzelm nie zmienił wyrazu twarzy. Jego szlachetny profil pod koroną siwych włosów zwrócony był nadal ku wschodowi. Stał majestatyczny, spokojny, jak rzymski senator.**

**- Czy otrzymam to na piśmie?**

Słowa padły. Nie były to klejnoty ani perły, co by licowało z tą świątobliwą twarzą. To były kamienie. W słowach tych nie zawierało się nic obraźliwego, nic, co można by wziąć za złe. Bo choć brzmiała w nich nuta zuchwalstwa, były poprawne i zgodne z regułą.

- "Gdy w nakazie, który zostaje wydany w jakiejś sprawie, chodzi o dwóch spośród czterech najwyższych rangą w zakonie, nakaz winien być wydany na piśmie." -

Anzelm zakończył sprawę cytując ustęp z reguły, jakby zawieszona była ona pomiędzy nimi w powietrzu. - "Jeśli w tym, co napisano, następuje zmiana, i ona winna być umieszczona na piśmie. A pod nią przyłożona pieczęć w obecności tych dwóch najwyższych rangą."

- Wiem o tym.

Anzelm przestał kaszleć. Zapytał jeszcze spokojnie i chłodno:

- Czy to wszystko, księże dziekanie?

- Tak, wszystko.

Usłyszał kroki zakrystiana oddalające się wzdłuż nawy i stał patrząc za siebie ponad lewym ramieniem. "Muszę wymazać go z pamięci - myślał. - Zawiodłem się na nim. Z tej swojej szlachetnej głowy ciska tylko kamienie."

**Spuścił oczy na list biskupa. "To jak dwie szale wagi na targu - myślał. - Radość unosi mnie na jednej, a Anzelm opuszcza na drugiej. Jest Gwóźdź i mój anioł. Ale także kanclerz i majster z żoną." Nagle pojął, w jaki sposób obcięte zostały skrzydła jego radości, i znów ogarnął go płomień gniewu. Niech opadną, przepadną, byle praca szła dalej! Przechodząc pod oknem w ścianie zachodniej i przyciskając list do piersi, mruknął zawzięcie znad uniesionej brody:**

**- Muszę zmienić spowiednika!**

**Tej nocy, gdy ukląkł przy łóżku, by się pomodlić przed zaśnięciem, jego anioł powrócił i w gorącym obłoku stał za nim, aby podnieść go nieco na duchu.**

## ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy obudził się o świcie następnego ranka, usłyszał, że pada deszcz, i przypomniał sobie, co powiedział majster. Więc modląc się prosił też gorąco o pogodę. Ale deszcz nie ustał przez trzy dni, a potem przez pół dnia chmury wisiały jeszcze nisko i powietrze przesycone było wilgocią. Gospodynie porozwieszały upraną bieliznę przed dymiącym ogniem, który bardziej ją brudził niż suszył. A potem znów przez tydzień wiał wiatr i padał deszcz. Gdy Jocelin wyszedł ze swego domu w płaszczu, by przebiec szybko do katedry, ujrzał niskie chmury na poziomie dachu; nawet wieńczące go blanki były spoza nich słabo widoczne. A cała budowla, Biblia w kamieniu, zdawała się zapadać w ziemię, oślizła od wody spływającej po porowatych, opleśniałych i pokrytych mchem kamieniach. Kiedy mżył deszcz, i czas był jak mżawka: włókł się wolno, trudny do przetrwania. A gdy deszcz chlustał potokami z góry, niezliczone gargulce też chlustały wodą, ludzie zaś myśleli, jak to ich przodkowie gniją w grobowcach na terenie katedry i na parafialnych cmentarzach. Wyrzucały ze swych paszcz wodę, jakby to była jeszcze jedna kara

wiecznego potępienia. Woda ta łączyła się ze strumyczkami ściekającymi po szkle i ołowianych listwach okien, po szczytnicach pinaklach, po frontonie kościoła i jego czworokątnych występach, by wreszcie z pluskiem i bulgotem spłynąć do ścieku u stóp ściany. Zerwał się wiatr, lecz nie rozjaśnił nieba, tylko rozdawał kuksańce w powietrzu w prawo i lewo, chlustając przy tym kubłami wody, tak że nawet dziekan, pchnięty od tyłu, zachwiał się na nogach. Pochylając się w podmuchu wichury, który był jak cios, spostrzegł, że płaszcz poderwał mu się w górę niby skrzydła. Kiedy wiatr opadł, opadły też jeszcze niżej chmury, i dziekan nie mógł już dojrzeć górnej części katedry. A z powodu mżącego wciąż deszczu zatracił poczucie jej wielkości. Oko z bardzo bliska dostrzegało takie na przykład szczegóły, jak róg mokrego kamienia, ogromny w tej odległości i pełen defektów, niby widziana ze zbyt bliska skóra. Wklęśte załomy muru po stronie północnej - choć nie widać było właściwie dobrze, która jest północna, a która południowa - cuchnęły uryną. Woda wystąpiła z rzeki, rozlała się po grobli i nie zważając na strażników przy bramie miejskiej wtargnęła na śliskie od deszczu ulice. Mężczyźni, kobiety i dzieci kulili się przy

ogniu, jaki zdołali utrzymać, a dym z mokrych kłód i torfu tworzył szarą zasłonę pod każdym dachem. Jedynie piwiarnie cieszyły się powodzeniem.

Na skrzyżowaniu naw w katedrze przerwano kopanie. pewnego dnia, gdy Jocelin stanął obok majstra Rogera, spostrzegł, że ten spuszcza na sznurze świecę, i dojrzał połyskującą na dnie wykopu. Poczł też wydobywający się z niego fetor i wzdrygnął się. Lecz majster nie zwracał na to uwagi. Stał w miejscu, wpatrzony posepnie w świecę. Zaniepokojony dziekan chwycił go natarczywie za ramię.

- Co zrobisz teraz, synu?

Roger Mason chrząknął.

- Jest mnóstwo do roboty.

Wsunął się ostrożnie w czeluść kręconych schodów i zniknął z oczu. Po chwili Jocelin posłyszał, że stąpa uważnie pod sklepieniem na wysokości stu dwudziestu stóp. Wydobywający się z dołu zapach wydał się Jocelinowi jakiś nie znany. Spostrzegł teraz, że w całej katedrze woń zwietrzałego kadzidla i spalonego wosku przeniknięta jest tamtym niemiłym zapachem. Bo woda jakby ukradkiem zalała groby wielkich ludzi po obu stronach prezbiterium i przestrzeń pomiędzy arkadami w nawie. Nie on jeden

**zresztą to zauważył. Ci, którzy z racji swojej profesji głosili pogardę dla życia, uznali to przypomnienie za zbyt natarczywe i odprawiali nabożeństwa z wyrazem nieprzystojnego obrzydzenia na twarzach. Idąc z kaplicy Mariackiej przez skrzyżowanie naw - gdzie było teraz ciemno - dziekan powtarzał sobie wytrwale: "Tu, w tym miejscu, gdzie cuchnie ten dół, otrzymałem przed laty to, com otrzymał, i tu padłem na twarz. Muszę o tym zawsze pamiętać".**

**W tym czasie majster i część jego ludzi pracowali na dachu nad skrzyżowaniem naw. Rozebrali częściowo sklepienie, tak że gdy było trochę światła w dole i podniosło się wzrok, można było dojrzeć krokwie. Pracowało tam paru robotników: znikali na kręconych schodach, które dziurawiły ściany budynku, by ukazać się za chwilę na triforium, gdzie wydawali się nie więksi od much. Inni wznosili rusztowania wokół filara po stronie południowo--zachodniej na skrzyżowaniu naw. Układali poziomo drabiny, budując pajęczą konstrukcję. Gdy ją ukończyli, filar przypominał jodłę z obciętymi gałęziami. Ta nowa robota była z pewnym pożytkiem dla nabożeństw, bo robotników mniej się słyszało, kiedy znajdowali się na**

dachu. Prawie nic nie przerywało nasyconego cuchnącą wonią spokoju, jaki panował w nawie, z wyjątkiem sporadycznych uderzeń drewnianego młota na wysokości dachu. Niebawem z przedziurawionego sklepienia zaczęły zwisać liny i wisiały tak nieruchomo, jakby budynek, pocący się od wilgoci zarówno od środka, jak i od zewnątrz, zaczął wypuszczać z siebie jakieś gigantyczne porosty. Liny czekały na belki, które miały być stopniowo wciągane przez, otwór w ścianie północnej. Wyglądały jednak jak porosty i pasowały do wypełniającego katedrę fetoru. Pośród: tej ciemności i wilgoci nawet Jocelin potrzebował całej siły woli, by pamiętać, że dokonuje się coś ważnego. Gdy z otworu nad skrzyżowaniem naw spadł na dół robotnik z krzykiem, który przeniknął powietrze tak gęste, że zdawało się go nieomal zatrzymywać, dziekan się nie zdziwił, że żaden cud nie stanął pomiędzy ciałem a kamienną płytą, o którą się rozbiło. Ojciec Anzelm nie odezwał się słowem w sali kapitulnej. Lecz z oburzonego spojrzenia zakrystiana Jocelin wyczytał, że śmierć ta została dodana do rachunku, który kiedyś będzie mu przedstawiony. Ciemna noc nie zstąpiła jeszcze na katedrę, lecz bezsłoneczne i dlatego w jakiś bluźnierczy sposób

beznadziejne południe. Śmiech ministrantów brzmiał histerycznie, gdy kanclerz, wyszedłszy za nimi chwiejnym krokiem z zakrystii, skręcał w lewo, jak robił przez pół życia, zamiast w prawo, do kaplicy Mariackiej. Mimo tego chichotania nabożeństwa odprawiały się normalnie i wszystko się odbywało jak zawsze, ale jakby pod przytłaczającym ciężarem czegoś, co groziło każdej chwili. Członkowie kapituły byli podirytowani, w szkółce śpiewu, gdzie wszyscy kaszlali, panował nastrój nudy i rozdrażnienia; chłopcy kłócili się, sami nie wiedząc, dlaczego; mali płakali bez żadnego powodu, starsi mieli wzrok chmurny po nocnych zmorach, w których ukazywali im się beznosi mężczyźni unoszący się nad chodnikami i przyciskający płaskie twarze do ich ociężałych powiek. Nic więc dziwnego, że chłopaki skłonne były do wyśmiewania się z kanclerza. Pewnego dnia skręcił w lewo i szedł dalej przez siebie, aż wreszcie dwóch kanoników poszło za nim. Odnaleźli go w półmroku czepiającego się rękami drewnianego przepierzenia na skrzyżowaniu naw. Gdy wyprowadzili go na światło, spostrzegli, że trzęsie mu się bardzo prawa ręka, a twarz jest jakby martwa. Kanclerza odprowadzono do mieszkania, na starszych zaś ludzi padł

**dodatkowy strach przed starością. Dniem i nocą w cuchnącym półmroku, gdzie płonące świece oświetlały jedynie obłoczki gęstej pary, odprawiały się modły. Głosy wzbijały się w górę w lęku przed starością i śmiercią, przed przytłaczającym ciężarem i ogromem, przed ciemnością i światem pozbawionym nadziei.**

**- A wołanie nasze niech do Ciebie przyjdzie.**

**Nagle rozeszła się wieść, że w mieście wybuchła zaraza. Ilość twarzy, napiętych, milczących twarzy o błyszczących oczach, wpatrzonych żarliwie w płomyk świadczący o obecności Świętej Hostii, wzrosła, był ich już tłum. Jocelin nigdy się nie znajdował wśród nich, bo anioł zjawiał się co jakiś czas, by go pocieszać, zagrzewać i podtrzymywać na duchu. Lecz jako dobry generał, dziekan widział, że ci ludzie bardzo potrzebują pociechy. Choć oni właśnie - jego narzędzia, z których pomocy miał korzystać - wydawali mu się nie ludźmi, ale małpami, gdy wdrapywali się na budynek. By dodać im odwagi, kazał przynieść na skrzyżowanie naw model katedry wraz z wieżą i ustawić go pod filarem od strony północno-zachodniej. Model stał na specjalnym koźle i wydawał się jedyną czystą rzeczą w całej katedrze, choć gdy się go dotknęło, palec był mokry. W ten**

sposób minęło Boże Narodzenie. "Niech się niebo raduje i ziemia cieszy w obliczu Pana, który na nią zstąpił." Zstąpił podobno, lecz chmury wciąż wisiały nad blankami. A jeżeli deszcz przestał mżyć na chwilę, ludzie podnosili oczy w górę, dotykali policzków i uważali, że coś jest nie tak, jak trzeba. Raz, gdy naprawdę przestał padać, a czeluść nawy była szczególnie cuchnąca, Jocelin przystanął koło modelu katedry, by też podnieść się na duchu. Wyjął wieżę z trudem, bo drewno rozmiękło, i trzymał ją w ręku nabożnie jak relikwię. Gładził ją lekko, kołysząc w ramionach i przyglądając się jej ze wszystkich stron, jak matka dziecku. Osiemnastocalowa katedra, czworograniasta do połowy wysokości, z wąskimi oknami, wystrzelała w górę lasem smukłych pinakli, spośród których wzbijała się cienka, strzelista wieżyca, bez żadnych ozdób, z małym krzyżykiem na wierzchołku, mniejszym od tego, który on nosił na szyi. Jocelin stał pod filarem, kołysząc w ramionach wieżę i mówiąc sobie, że teraz woda podziemna na pewno już zaczęła opadać. Bo od tygodnia nie było deszczu, choć marzec okazał się nie wietrzny, lecz chmurny. Mimo wszystko można było wierzyć, że pijak-słońce próbuje się przedostać do zaskórnych wód. Pogładził wieżę i w tej

chwili usłyszał, że Jehan mówi coś do siebie stojąc w otworze przebitym w nawie północnej. Zamknął oczy i pomyślał: "Przetrwaliśmy. Niech to będzie punkt zwrotny na lepsze!" Wydawało mu się, że za przymkniętymi oczami widzi suche dni nabierające rozpędu, ruszające ku światłu. Usłyszał dobiegające z dachu uderzenia młota i nagle poczuł podniecenie patrząc na to, co trzymał w rękach. Przypomniawszy sobie rysujące się w powietrzu nad katedrą linie i wzruszenie ścisnęło go za gardło. Poczował w sobie nową energię. Uniósł głowę, otworzył oczy i chciał już otworzyć usta w modlitwie dziękczynnej. Ale zamarł w milczeniu. Z królestwa Pangella wyłoniła się Goody. Zrobiła trzy szybkie kroki, zatrzymała się i cofnęła już wolniej o krok. Potem ruszyła przed siebie w kierunku skrzyżowania naw, lecz nie patrzyła na nie, tylko w bok. Jedną ręką zaciskała płaszcz pod szyją, w drugiej niosła koszyk. Patrzyła w bok, jakby przechodziła obok ogiera lub byka. Nogi uniosły ją poza granice wytyczonej drogi, ramię nieomal ocierało się o ścianę. Czuło się, że jej stopy nie mają siły posuwać się naprzód. Oczy wyglądały jak dwie czarne plamy w kredowobiałej twarzy, dolna warga opadła ukazując półrozchylone usta; można by wziąć tę kobietę za

osobę niespełna rozumu, gdyby tak miłe stworzenie można o obłąd posądzić i gdyby nie jawny strach malujący się na jej obliczu. Ten wyraz strachu przyciągnął uwagę Jocelina, który spojrzał w kierunku, gdzie patrzyła Goody. Czas był teraz odruchami lub też nie był wcale czasem. Nic dziwnego, że stwierdził, iż wie, na co ona patrzy, zanim jeszcze zobaczył majstra, kierownika budowy. Roger Mason stał z nogą opartą o dolny szczebel najniższej drabiny rusztowania otaczającego filar po stronie południowo-wschodniej. Zszedł z drabiny wpatrując się w Goody. Skręcił. Szedł teraz po posadzce, a ona pełzła coraz to wolniej pod ścianą. Kulila się, kurczyła, odwracała wzrok. Była tam jak przygwożdżona do muru; Roger spoglądał w dół i mówił coś z przejęciem, a ona wciąż patrzyła przed siebie, z otwartymi ustami, potrząsając głową. Dziwna pewność ogarnęła Jocelina. Widział, wiedział, jak sprawa wygląda. Widział, że to jeden z pojedynków. Widział ból i smutek. Widział - jak w modlitewnym jasnowidzeniu - że otacza ich jakaś niezwykła atmosfera. Widział, że znajdują się jakby w namiocie, który odgradza ich od reszty ludzi, i widział, że oboje lękają się tego namiotu, lecz są bezsilni. Rozmawiali

teraz poważnie, spokojnie. I choć Goody nadal potrząsała z uporem głową, nie odchodziła, nie mogła odejść, bo niewidzialny namiot zamykał ich w swym wnętrzu. W rękach trzymała koszyk, ubrana była tak, jakby wybierała się na targ, nie miała powodu rozmawiać z jakimkolwiek mężczyzną, a tym bardziej z majstrem. Wystarczyło potrząsnąć głową i odejść. Mogła łatwo zignorować tego tęgiego człowieka w skórzanych spodniach i brązowej kurtce z granatowym kapturem, nie musiała się zatrzymywać na jego widok. Można było minąć go z odwróconą głową: jego ręka nie dotykała jej ręki. Ale ona stała patrząc na niego z ukosa, choć jej ciemne, nieruchome oczy i wargi mówiły: "Nie". Nagle rzuciła się naprzód, jakby chciała zerwać jakieś więzy. Ale i to na nic się nie zdało, bo niewidoczny namiot, tworzący z nich parę, rozciągał się nadal nad nią. Znajdowała się w jego wnętrzu, pozostanie w nim zawsze, tak jak teraz, choć szła szybko nawą boczną, a policzki jej nie były już kredowobiałe, lecz czerwone. Roger Mason stał patrząc za nią, jakby nikt i nie na całym świecie nie miało dla niego znaczenia, jakby nic nie mógł na to poradzić i czuł się tym udręczony. Odwrócił się tyłem do Jocelina, a gdy drzwi w północno-zachodnim

rogu katedry zatrzasnęły się za Goody, podszedł do drabiny jak lunatyk.

Z jakiejś czeluści wnętrza Jocelina buchnął gniew. Migła mu w pamięci twarz, która się pochylała przed nim co dzień po błogosławieństwo, słyszał jej spokojny śpiew w królestwie Pangalla. Uniósł brodę i z jakichś mrocznych głębi wypełnionych oburzeniem i bólem padło słowo: "Nie". Wydało mu się nagle, że odnawiające się życie świata to rzecz plugawa, wzbierająca fala brudu, i aż mu tchu zabrakło. Dojrzał otwór w ścianie nawy północnej i pospieszył tam, by się przezeń wydostać na światło dzienne. Słyszał z daleka kpiące uwagi robotników i w swojej wzmożonej wrażliwości odgadł, na jakie się wydał pośmiewisko wyłaniając się nagle z katedry z przedmiotem swego szaleństwa w dłoniach. Zawrócił i wpadł z powrotem do kościoła. Z nawy północnej wynurzył się właśnie mały orszak. Szła w nim Rachelą Mason z małym tobołkiem na rękach. Złożył machinalnie życzenia i udzielił błogosławieństwa, a tymczasem żona strażnika porwała od niej dziecko i poniosła je do kaplicy do chrztu. Pozostał więc z Rachelą, która musiała się zatrzymać. I choć przed oczami miał ciągle jeszcze Rogera i Goody, zaczął słuchać

wyjaśnień Racheli. Nie mógł pojąć, jak kobieta, nawet zadraśnięta (oczy wychodziły jej z orbit, czarne warkocze opadły na policzki), może mówić w ten sposób. Zdruzgotała go nie tyle jej gwałtowność, ile treść jej słów. Bo Rachel, z twarzą dygocącą jak szyba podczas burzy, wyjaśniała mu, dlaczego nie ma dziecka, chociaż się modli, by je mieć. Kiedy byli razem z Rogerem, ona w najbardziej niewłaściwym momencie zaczynała się śmiać, nie mogła się powstrzymać od śmiechu - nie jest bezpłodna, jak można by myśleć i jak ludzie mówią, nie, na Boga! Ale nie może powstrzymać się od śmiechu, a z kolei i on zmuszony jest się roześmiać... Dziekan stał zakłopotany, pełen niedowierzania, póki kobieta nie odeszła w krużganek, by zdążyć na chrzest. Stał u stóp rusztowania i czuł, że płonie w nim jakaś część natury kobiecej. Kobiety były na ogół oględne w słowach, nawet jeżeli mówiły za dużo - dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć razy. Ale za dziesięcioletnim razem opowiadały rzeczy rażąco niewłaściwe, odsłaniały to, co winno być trzymane w tajemnicy, jakby pełne wściekłości łono obdarzone zostało językiem. I ze wszystkich kobiet na świecie właśnie ona...niemożliwe, niewiarygodne, ale właśnie Rachel to

**zrobiła. Nie, musiała zrobić pod wpływem swej gwałtownej natury, w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie, zwracając się do niewłaściwej osoby. Obnażyła życie, w którym królowała farsa i okropność: pstry kłown w czerwono-żółtym stroju wymachujący w izbie tortur świńskim pęcherzem na kiju. Powiedział zjadliwie do trzymanego w rękach modelu:**

**- Niezgłębione kobiece zuchwalstwo!**

**Kłown uderzył go świńskim -pęcherzem w pachwinę, a on zatrzęsł się ze śmiechu, który przeszedł w dygot.**

**Krzyknął głośno:**

**- Brud! Plugastwo!**

**Otworzył oczy i usłyszał własne słowa rozbrzmiewające na skrzyżowaniu naw. Stał tam przy prowizorycznych drzwiach wiodących na krużganek Pangall; wyglądał na przestraszonego. W na pół świadomym wysiłku, by słowa jego miały jakiś sens i by ukryć ich prawdziwe źródło, Jocelin zakrzyknął znowu:**

**- Ohydnie tu brudno! Brud wszędzie!**

**Ale przez kościół szli teraz ludzie: starzy kamieniarze Mel i Jehan, wybrany na pomocnika przez Rogera. Jehan**

śmiał się, gdy mijali Jocelina, nie zwracając wcale na niego uwagi.

- Nazywa ją żoną? To jego kochanica!

Jocelin, któremu jeszcze krew pulsowała w skroniach, spróbował się odezwać w sposób naturalny do Pangalla i stwierdził, że brak mu tchu, jakby przebiegł wzdłuż całą katedrę.

- A jak tam teraz u ciebie, synu?

Lecz Pangall pod wpływem jakiejś osobistej troski czy kłopotu patrzył przed siebie wojowniczo.

- A jak ma być?

Jocelin ciągnął dalej prawie normalnym głosem:

- Mówiłem z majstrem. Czy zawarliście zgodę?

- Ja? Nigdy. Wyrzekliście prawdziwe słowa, wielbny ojcze. Oni plugawią wszystko.

- Czy zostawiają cię w spokoju?

- Nigdy nie dadzą mi spokoju - odrzekł Pangall. -

Wybrali mnie sobie na durnia.

"Żeby zażegnać nieszczęście." Usta dziekana powtórzyły usłyszane słowa, a nogi miał} już podjąć zwykły szlak.

**- Pracujemy takimi siłami, jakie mamy. Musimy ich wszyscy znieść.**

**Pangall, który się już oddalał, odwrócił się.**

**- To dlaczego nie użyjecie do pracy nas, ojczy? Mnie i moich ludzi...**

**- Nie potrafilibyście tego zrobić.**

**Pangall otworzył usta, by coś odpowiedzieć, i zamknął je. Stał w miejscu, spoglądając z wściekłością na Jocelina. Kącik ust miał wykrzywiony, co u kogoś mniej oddanego i wiernego byłoby grymasem szyderstwa. W powietrzu między nimi zawisły nie wypowiedziane słowa: "Ani oni nie mogą tego zrobić, ani nikt. Z powodu Wota i wód podziemnych, i tratwy, i wysokości, i cienkich filarów. To niemożliwe".**

**- Są utrapieniem dla nas wszystkich, synu. Przyznaje. Musimy być cierpliwi. Czy nie powiedziałaś kiedyś, że to twój dom? Była w tych słowach grzeszna pycha, ale także wierność i oddanie. Nigdy nie myśl, żeś nie zrozumiany i nie doceniony. Oni sobie niedługo pójdą. Bóg da, będziesz miał synów... Szyderczy grymas znikł z ust Pangalla.**

**- ...Dom Boży, którego oni strzec będą, o ileż wspanialszy będzie od tego. Pomyśl! Pośrodku niego stanie**

to... - gwałtownym ruchem wyciągnął wieżę - i oni z kolei powiedzą swoim dzieciom: "Tę wieżę zbudowano za życia naszego ojca".

Pangall skulił się. Trzymał chwiejącą się miotłę na ukos. Oczy miał wytrzeszczone, ściągnięta skóra obnażała lśniące zęby. Przez chwilę stał tak wpatrując się w wyciągniętą ku niemu wieżę. Potem spojrzął spod zsuniętych brwi.

- I wy też robicie durnia ze mnie, ojcze?

Odwrócił się i pokuśtykał szybko do bocznej nawy, a po katedrze rozeszło się echo zatrzaśniętych drzwi.

Na dachu stukał młot: buch, buch, buch! Naraz odgłos zatrzaskiwanych drzwi, łoskot młota, zapachy, wspomnienia, fala nie wypowiedzianych uczuć, wszystko to przytłoczyło Jocelina tak, że tchu mu zabrakło. Wiedział, gdzie może zaczerpnąć powietrza, i nogi tam go poniosły. Szedł potykając się, aż upadł na kolana przed płonącym spokojnie na ołtarzu płomykiem. Wpatrzył się weń tęsknie z rozchylonymi wargami.

- Nie wiedziałem...

Czyste światełko poza zasięgiem ręki wydawało się małymi drzwiczkami w jakiejś niezmierzonej dali. Klęczał

tam miotany falą uczuć i myśli i sam nie wiedział, w jaki sposób spostrzegł nagle, że wpatruje się w płyty posadzki, na których widnieją heraldyczne zwierzęta. A jeszcze wyraźniej niż posadzkę widział przed sobą czworo ludzi - wzdrygnął się znowu - Rogera i Rachelę oraz Pangalla i Goody, niby cztery filary na skrzyżowaniu naw. Dygocąc podniósł głowę i wpatrywał się w przyćmione barwy witraży, a światełko na ołtarzu podzieliło się i widział teraz po jednym płomyku każdym okiem. Wyszeptał:

- Zesłałeś anioła swego, by mi sił dodał!

Ale anioł się nie zjawił. Przeplływały tylko przez niego fale uczuć, wirowały w nim, kłuły, piekły - przejmował go dreszcz grozy przed kielkującym złem, grożącym człowiekowi od urodzenia po starość, przed jego straszną, tajemniczą siłą.

- Ty! Ty!

W jakiejś niezmierzonej dali światełka się spotkały, a on wzdychał tęsknie u drzwi. Czworo ludzi tańczyło i krzyczało za jego plecami, tam, gdzie przedtem stał anioł, i światełka znów się rozdzieliły. Po chwili było już ich tylko dwoje, on i ona w namiocie, więc przytłoczony oburzeniem i

smutkiem przymknął oczy i jęknął z żalu nad swą drogą córką.

- Dodaj jej sił, o Boże, ulituj się, obdarz ją pokojem!

Nagle, jak coś żywego, wtargnęła do jego mózgu myśl. Utkwiła tam mocno jak wbita włócznia. Przez moment nie otwierał oczu, a serce jego topniało i unosiło się na fali smutku. W następnej chwili nie było już w nim żadnych uczuć, nic prócz myśli, która tkwiła w mózgu tak mocno, jakby się tam znajdowała od stworzenia świata. Nie czuł nic prócz niej, dolegliwości cielesne stały się także wyczuwalne. Przytłaczał go jakiś ciężar, bolały ręce i prawy policzek. Otworzył oczy i spostrzegł, że przyciska mocno do siebie wieżę, której ostry kant uwiera go w twarz. Zobaczył znów płyty posadzki, a na każdej z nich dwie heraldyczne bestie, ich opatrzone pazurami łapy, uniesione do walki, i splecione zmijowate szyje. Gdzieś dalej na tych płytach, czy może tam, gdzie przedtem stał anioł, czy może w nieskończonych wymiarach jego mózgu, ukazywała się scena jak malowidło: Roger Mason, na pół odwrócony od drabiny, ciągnięty niewidzialnymi linami ku kobiecie skulonej pod ścianą. To była Goody, zwrócona bokiem, wpatrzona w niego nieruchomo, czująca

napięte liny, potrząsająca głową. Goody przerażona i wyczekująca, Goody i Roger w namiocie, który będzie nad nimi rozpięty, gdziekolwiek się ruszą. Myśl ta była tak jasna, jakby wypisano ją na malowidle. To tak straszna, że wykraczała poza strefę wszelkich uczuć, więc zgłębiał ją zupełnie obojętnie, a kant wieży wpijał mu się ciągle w twarz. Ta okropna wizja tłumiła w nim wszelkie inne doznania. Musiał dać temu upust w słowach, wpatrując się równocześnie uważnie w stwory splecione na posadzce:

- Ona go tu zatrzyma.

Potem wstał nie patrząc na płomyk lampki, i wśród przytłaczającej ciszy ruszył wolno na skrzyżowanie naw. Podeszedł do stojaka, na którym stał model katedry, i zatknął wieżę w kwadratowy otwór. A potem przeszedł przez nawę do swego mieszkania. Co jakiś czas oglądał z ciekawością własne ręce i kiwał z powagą głową. Dopiero późno w nocy odzyskał jakieś czucie. A kiedy to nastąpiło, ukląkł znowu i łzy popłynęły mu z oczu. Wtedy wreszcie zjawił się anioł i dodał mu ducha; doznał niejakiej pociechy i mógł znieść obraz, który miał przed oczyma, i myśl o nim. Anioł pozostał przy nim, a dziekan, nim usnął, wyszeptał.

**- Potrzebuję cię. Do dziś nie wiedziałem właściwie, dlaczego. Przebacz.**

**A anioł stał nad nim krzepiąc go. By jednak nie wzbił się w pychę, szatan został doń dopuszczony i dręczył go przez noc beznadziejnym i bezsensownym snem. Jocelinowi wydawało się, że leży na plecach w łóżku, a potem tak samo w błocie, ukrzyżowany: ręce jego były jakby nawami poprzecznymi, a do lewego boku dotykał dom Pangalla. Ludzie podchodzili, szydzili z niego i dręczyli go. Była wśród nich Rachela, był Roger i Pangall, i wszyscy wiedzieli, że kościół nie ma żadnej wieży i mieć jej nie może. Tylko szatan, który przyleciał z zachodu, okryty płaszczem płonących włosów, stał nad jego nawą i budował coś, męcząc go tak, że wił się w błocie i krzyczał głośno. Obudził się w ciemności, pełen obrzydzenia. Wziął dyscyplinę i za to, że dumny był ze swego anioła, wysmagał się mocno siedem razy po plecach. A potem zasnął ciężko, bez snów.**

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Odtąd Jocelin był stale bardzo zajęty. W kamaszach na nogach, rozpryskując błoto na wszystkie strony, jeździł po okolicznych podległych mu kościołach, przeprowadzał inspekcje u swoich wikariuszy i wygłaszał kazania do ich biednych, wynędzniałych parafian. Kazał też często w kościołach miejskich, gdzie pełnił funkcję archidiakona. Gdy w kościele Świętego Tomasza przemawiał z wysokiej ambony na triforium do ludzi stojących półkolem poniżej i wpatrujących się w niego, spostrzegł, że z żarliwością mówi o wieży, uderzając lekko zaciśniętą pięścią w kamienną balustradę. Ludzie wzdychali i bili się w piersi nie dlatego, że rozumieli jego słowa, ale dlatego, że tak gorąco przemawiał. A także dlatego, że była to pora deszczów, głodu, powodzi i śmierci. Owego ranka, kiedy wrócił do katedry, wiatr przegnał chmury i dziekan ujrzał wreszcie cały budynek. Była to teraz rzecz realna, wymierna, na tyle a tyle stóp wysoka, szeroka i długa, bez cienia wspaniałości i majestatu. Popatrzył w chłodne niebo, ale było zamknięte. Poszedł więc do swego mieszkania w rezydencji dziekańskiej i

spojrzał na katedrę przez małe okienko. Jego ograniczone rozmiary sprawiały, że nieraz to, na co patrzył stamtąd, nabierało dodatkowego wyrazu, jak obraz ujęty w ramę. Ale katedra wyglądała i stąd jak stodoła. Choć wiedział, że to złudzenie, wydawało mu się, że osiadła trochę. Pod rynną u stóp muru napęczniała wodą ziemia wypchnęła szorstką trawę, tak że kamień zdawał się w nią wrzynać, a wrażeniem przemożnym nie była już teraz chwała Boża, lecz ciężar budowli wzniesionej przez człowieka. Jego wizja wieży wydawała się daleka jak zapamiętany z dzieciństwa sen. Gdy pomyślał o Anzelmie, bo był on przecież częścią dzieciennych lat, przyszła mu na myśl sprawa spowiedzi. Lecz otrząsnął się niecierpliwie i wyrzekł przez zaciśnięte zęby:

- Troszczę się o sprawę Ojca mego.

W tym też czasie pominął milczeniem następny list lady Alison. Tymczasem wiatr przyniósł zmianę. Przegnał chmury i wywiał przez otwarte drzwi niemiły fetor z katedry. Wylana rzeka zaczęła opadać, odsłaniając wszędzie zgniliznę i zniszczenie, z wyjątkiem ścieżek, po których można było przejść, i brukowanych dróg, gdzie mógł przejechać wóz. Idąc w kierunku fasady zachodniej

**zauważył, że rynny przestały działać i czekały nieruchomo z wyciągniętymi paszczami na to, co dalej nastąpi. Przystawał zastanawiając się, z jaką dokładnością i w jakim natchnieniu ci f dawni giganci budowali katedrę, bo gargulce wyglądały jak odlane z kamienia, wypryskiwały z niego niczym wrzody, oczyszczające ciało z choroby, własnym unicestwieniem zapewniające zdrowie całego organizmu. Teraz, gdy deszcz ustał, mógł dojrzeć oraz zielone i czarne porosty, tak że niektóre chimery wyglądały jak schorzałe, rzucając na wiatr bezdźwięczne szyderstwa i bluźnierstwa i nie czyniąc przy więcej hałasu niż na innym terenie śmierć. Święci męczennicy, bohaterowie i wyznawcy wiary schli spokojnie po deszczu na zachodniej ścianie; zniósłszy obojętnie zimę, równie obojętnie czekali teraz na słoneczny skwar. Czuł, że wraca mu trochę energii. Kiedy myślał o człowieku, który był jego narzędziem, czyli o Rogerze Masonie i kręcącej się koło niego kobiecie, potrafił powiedzieć sobie w duchu: "To poczciwa niewiasta!" - i już sama wiara w to wystarczała. Bo wszystko szło ku lepszemu. Na zebraniach kapituły słychać było mniej kaszłania, a umarł tylko jeden człowiek: stary kanclerz, który chwiejnym krokiem przekroczył swój ostatni próg.**

Ponieważ była to śmierć powolna, normalna i towarzyszył jej stosowny ceremoniał, należało raczej cieszyć się niż smucić. Nowy kanclerz był młody i trochę nieśmiały. Zdawało się, że w mgnieniu oka nadeszła chwila, gdy zdjęto kotary w krużgankach; mali ministranci hasali teraz po dworze i próbowali się wdrapywać na wysoki cedr. Pewnego ranka, gdy wszedł w drzwi od strony zachodniej, zobaczył, że katedra znów tętni życiem. Ludzie przychodzili i oglądali otwór w posadzce na skrzyżowaniu naw i dziurę w sklepieniu. Teraz, gdy rzeka opadła, a niebo prześwitywało pośród chmur błękitem, wsiąkła też woda w dole wykopanym pod posadzką i kiedy Roger zniżył nad nim świecę, blask jej nie odbił się w tafli wodnej. Gromada robotników poweselała; pogwizdywali wspinając się po drabinach pośród rusztowań otaczających filar po stronie południowo-wschodniej, pogwizdywali wchodząc na kręcone schody wiodące na triforium. Wracając z pustymi rękami, cebrem lub koszykiem, wyłaniali się z tym śpiewem lub gwizdem, przypominając kamienne rzeźby na grobowcach w surowej atmosferze

"Wielkiego Postu. Hałasowali też ciągle, choć Jocelin skarżył się na to Rogerowi. Z szopy za nawą północną

dochodził nieustanny odgłos ciesielskiego młota, a z dachu ponad

sklepieniem nie milknący huk i łoskot. Wielki Post był dla Jocelina okresem przygotowawczym, wiedział bowiem, że niebawem będzie musiał walczyć. W tym wszystkim był wobec tej wesołej gromady równie bezsilny jak dziewczyna pasąca zbyt duże stado gęsi. Bezradnie słuchał śpiewania; bezradnie patrzył, jak małpowano Pangalla idącego przez kościół; bezradnie spoglądał na Rogera i Goody w ich namiocie. Ale ciągle powtarzał sobie: "Troszczę się o sprawę Ojca mego". Aż jednego dnia, gdy wszedł do katedry ("Podnieście, o bramy, wierzchy wasze!") i stanął nad otworem, z którego nie unosiła się już niemiła woń, usłyszał, że od strony sklepienia dobiegają jakieś inne odgłosy. Przechylił głowę do tyłu i wzrok jego uderzył skrawek nieba, nagły jak wymierzony policzek zapierający dech, niewiarygodny, cudowny, błękitny. Podobnie jak ramy małego okienka dawały mu niekiedy wrażenie głębi i intensywności, kiedy patrzył przez nie na coś, tak i dach, otaczający nieduży otwór, ukazywał klejnot. Wysoko w górze odwijano ołowianą blachę, rolując ją na krokwiach. Błękitna plama rozszerzała się i wydłużała, łączyła ziemię z

niebem tam, gdzie wkrótce geometryczne linie wystrzelą w nieskończoność. Stał z zadartą głową i otwartymi ustami, mrużąc załzawione oczy. Widział sylwetki krzątających się ludzi, którzy robili, co im zlecono, ale nie wiedzieli, co robią. Dojrzał biały skrawek zachodzący na błękit i przepływający dalej. Usłyszał paplanie Racheli, lecz nie zwrócił uwagi, o czym mówiła. Stał, nie zważając na ból karku, rozradowany jak dziecko biegnące wśród kwiatów, aż rozszerzająca się plama znikła i zmieniła się w iskrzącą kaskadę. Wreszcie rozluźnił mięśnie szyi i znalazł się znów w chaosie blasku, miodowych smug płynących z okien i złudnych ogników migających przed oczami, starając się zatrzymać wyślizgujący mu się już z mózgu obraz nieba. Od tej pory, ilekroć robotnicy pracowali na dachu, niebo spoglądało prosto w otwarty wyczekująco otwór. Później przesłoniła je sieć krokwi, które znikły kolejno. Robotnicy wciągnęli na podnośnikach duże brezentowe płótno, nad którym zwisały ze sklepienia liny. Potem liny poszły znów w górę, dźwigając brezent; niektóre poskrzypywały. Gdy to zrobiono, płachta zasłaniała niebo, choć nieraz bębnił po niej deszcz, krótki i gęsty jak kroki ministrantów, lub szumiała ulewa. Kiedy się wypogadzało, robotnicy wracali i

znów odsłaniali niebo. Majster codziennie oglądał wykopany dół. Raz zszedł w głąb, ale wyszedł z mokrymi nogami, potrząsając głową. Nie powiedział nic. Nie miało to jednak znaczenia, bo Rachela opowiadała o tym każdemu, kto tylko chciał słuchać, A nawet niektórym nie okazującym żadnego zainteresowania. Z końcem Wielkiego Postu zbliżała się Wielkanoc i słyszało się skargi, że hałas z dachu dociera do kaplicy Mariackiej, więc Jocelin zrozumiał, że nadszedł czas, by dziekan osobiście wszedł na górę i przekonał się, jak sprawy wyglądają. Wszedł się mozolnie i ostrożnie po kręconych schodach, aż dotarł do sklepienia, skąd otwór w posadzce o sto dwadzieścia stóp w dole wydawał się ciemną kropką. Dziekan stał na szerokim czworokącie otoczonym blankami. Było tu jasno i świeżo. Przeszedł stąpając ostrożnie pośród tajemniczych desek i kamieni wychylił się, by spojrzeć w dół. Widniał tam czworobok krużganków, a pośrodku ciemna plama cedru. Ministranci gonili się po trawie lub grali w warcaby pochyleni nad parapetem arkady. Jocelinowi wydało się nagle, że kocha ich wszystkich, że przychodzi mu to bez trudu i sprawia radość. Czuł podniecenie. Kiedy cofnął głowę, bo prawie otarł się o niego kruk - dojrzał powód do

jeszcze większego podniecenia. Spostrzegł, że stoi na świeżej cienkiej kamiennej warstwie otaczającej czworobok. Murarz pokrywał ją zaprawą cieniutką jak białko jajka. Jocelin klasnął w dłonie, podniósł głowę i objął chłopców, niemowę, Rogera Masona i Goody jednym wielkim okrzykiem: "Radujcie się, córki jerozolimskie!" I tak nadeszła Wielkanoc. W kaplicy Mariackiej front ołtarza przesłoniło szare płótno. W lichtarzach pojawiły się żółte woskowe świece, usunięto wiernych, a grób czekał na anioła, który oznajmi Zmartwychwstanie. Na skrzyżowaniu naw natomiast, gdzie światło walczyło jedynie z szarym odbłaskiem monochromii, Wielkanoc objawiała się inaczej: hałaśliwie i słonecznie. Nowe kamienne warstwy rosły teraz szybko, a Jocelin patrząc ze swego okna, widział już białe mury górujące nad blankami. Następnie budujący się czworokąt wznosił własne rusztowanie z jedną drabiną, a potem z dwiema. Belki z lasu Iwa wciągano do katedry przez otwór w nawie północno-zachodniej. Spuszczono liny i ciągnięto je w górę sztorcem, niby strzały, a ludzie usuwali im się z drogi. Jocelin chciał zobaczyć, co się z nimi dalej dzieje, ale majster odsunął go. Wdrapawszy się znów na górę

zobaczył, że belki lwa - lub raczej jego ojca - tworzą czworokątną ramę podłogi w miejscu, gdzie przedtem był dach. Pośrodku niej widniał kwadratowy otwór, przez który wpadał potok błękitu. Kamienna ściana zaczęła rosnać po czterech stronach w sposób nieregularny. Powstawały w niej otwory, i Jocelin zrozumiał, że doszli już w robocie do okien, które miały oświetlać wieżę na wysokości pięćdziesięciu stóp. W kaplicy Mariackiej stały kwiaty, wypełniały ją blade twarze, a dziecinne wargi głośiły śpiewem chwałę Bożą. Wszedł Iwo, przyodziany w szaty kanonika, którym miał zostać. W obecności trzech najwyższych godnością w zakonie odczytał z dużej Biblii lub wyrecytował "Ojcze nasz" i "Zdrowaś". Trudno było poznać, czy czytał, czy mówił z pamięci te dwie tak znane modlitwy. Nowy kanclerz oznajmił, że Iwo umie już nieźle czytać. Ceremonia objęcia urzędu odbyła się w przyćmionym blasku, jaki rzucały witraże ze scenami z życia świętego Aldhelma. Jocelin siedział w swojej stali uprzytamniając sobie, że wieża rośnie. Czekał na lwa, który dość godnie odprawiał nabożeństwo. Wreszcie dziekan przywitał go ceremonialnie i ujął jego gorącą dłoń. Nastąpiły pytania, przyjęcie, prowadzenie za rękę,

chwilowe zatrzymanie się w stalli, a wreszcie wśród zapalonych świec pocałunek pokoju. Potem Iwo wrócił do swych obowiązków dzwonnika.

Tymczasem schło powietrze i wysychała ziemia. Potem pojawił się kurz. Starannie układane plany, jak się z nim uporać, zostały bez słów odłożone na bok, bo zamiataczki i Pangall stracili do tego serce. Błoto, które pozostało w nawie głównej i w nawach bocznych, wyschło i rozwiało się. Coraz więcej kurzu opadało z kwadratowego otworu nad skrzyżowaniem naw. Leżał wszędzie tworząc niewielkie wyspy i wzgórki. Przesycał słoneczne strzały, pokrywał cienką warstwą pomniki. Krzyżowcy, spoczywający w uroczystym milczeniu na płytach pomiędzy filarami nawy, nie trwali już w świetnej okazałości, lecz w brudnych kolczugach i przyszarzałych zbrojach, jakby nagle pokonani w ciżbie. Po tej stronie drewnianego przepierzenia masyw kościoła wyglądał jak zwykłe ściany stajni lub pustej stodoły. Cel budynku zdawał się koncentrować w owym leju nad skrzyżowaniem naw. Wewnątrz pięło się rusztowanie, tak że spoglądając w tym miejscu w górę, patrzyło się jakby w komin, w którym pracowały jakieś bardzo systematyczne ptaki. Zwisiały

stamtąd liny, drewniane pomosty zmniejszały kwadrat nieba, elementy pionowe konstrukcji zdawały się zlewać razem, drabiny biegły ukośnie. Wśród tego wszystkiego nieustannie roili się robotnicy. Hałaśliwa wiosenna wesołość przygasła, zastąpiło ją spokojne skupienie. W kościele zachowywali się głośno i obojętnie. Teraz, znajdując się blisko dwieście stóp nad ziemią, pochłonięci byli własnymi tajemnymi sprawami, a dobiegające z góry odgłosy ograniczały się przeważnie do przybijania, strugania, skrobania i tarcia. Czasami, idąc na nabożeństwo lub rozmyślanie do kaplicy, Jocelin przystawał i patrzył w górę, by przyjrzeć się robotnikowi, który szedł z trudem po chwiejącej się desce ułożonej na ukos na zawrotnej wysokości. Niekiedy śledził pojedynczy kamień z królestwa Pangalla, obserwował, jak wędrował w kuble z pomostu na pomost lub kołysząc się sunął w górę wciągany na linie. Patrzył, jak majster wspina się ciężko, ostrożnie, z rusztowania na rusztowanie, z przykładnicą pod pachą i ołowianym pionem uwieszonym u pasa. Miał też przyrząd pomiarowy: metalowy pręt z małą wydrążoną w nim dziurką. Co godzinę mierzył ściany wzdłuż albo od rogu do rogu. Ilekroć posługiwał się

przykładnicą czy przyrządem pomiarowym, powtarzał tę czynność w kierunku odwrotnym, a potem brał w rękę pion, tak że najmniej dwóch robotników stało beczynnie. Jocelin zirytowany tym patrzył wstrzymując oddech, póki jakaś konieczność związana z jego stanowiskiem, na przykład wiadomość doręczona przez ojca Anonima, nie odwołała go znów do normalnego życia. Ale gdy tylko mógł, wracał na skrzyżowanie naw i stał spoglądając ukradkiem w górę i pokrzykując, tak że młody niemowa, który wykonał już trzy czwarte rzeźby głowy dziekana Jocelina, miał niemało trudności. Pewnego dnia, gdy przystanął, ujrzał na samym szczycie grupę kłócących się mężczyzn. Spostrzegł, że Roger łagodził sprzeczkę przymilając się, irytując na nich lub odwołując się do ich rozsądku, aż wreszcie, po kilku godzinach, praca ruszyła dalej. Majster zszedł potem z Jehanem na dół i pracował na posadzce. Odsunął gniewnie na bok Jocelina. Ustawił naczynia z wodą, zatkał je drewnianymi kołkami i zmierzył poziom wody. Na każdym z czterech kamiennych filarów na skrzyżowaniu naw zrobił znak kredą. Odtąd najmniej dwa razy dziennie zajęty był tymi znakami. Stawał na przykład przy drzwiach w nawie południowej i oglądał kolejno

wszystkie znaki, a potem ich odbicia w wodzie. Gdy kreda starła się z filara, zrobił znak powtórnie. Jocelin, przechodząc tamtędy, śmiał się i kiwał głową do Rogera. Niekiedy wołał:

- No co? Ciągle nie wierzysz, mój synu?

Majster nigdy nie reagował, raz tylko bliski już był odpowiedzi. Anioł pocieszył właśnie dziekana, który czuł, że mógłby podźwignąć cały budynek na własnych ramionach. Wracając do nawy (Goody biegła właśnie tamtędy) poczuł potrzebę podzielenia się swoim triumfem i krzyknął do Rogera stojącego obok naczynia z wodą:

- Widzisz, synu! Mówiłem ci - nie osiadają!

Roger otworzył usta, ale nic nie powiedział, bo zobaczył właśnie Goody spieszącą przez nawę północną. Dla Jocelina stało się oczywiste, że majster ujrzawszy ją zapomniał o nim. Dziekan poszedł więc dalej, a jego uczucie triumfu nieco przygasło. Drugim niekorzystnym zjawiskiem była w tym czasie Rachela. Stawała obok Jocelina, gdy patrzył w górę, i nie spoglądała z nim razem, lecz niezmiennie zaczynała gadać, trajkotać i przeszkadzać mu tak, że znów jedynym sposobem obrony było ignorowanie tej kobiety. To nie na Jej głowę takie

wysokości, mówiła, i bardzo ją martwi, że Roger tak często się naraża na niebezpieczeństwo pracując w powietrzu. Czekala, aż zejdzie na dół, a gdy już znajdował się na ziemi, zaczynali znów kręcić się koło siebie, nie dostrzegając reszty świata. Ile razy Jocelin to zobaczył, myślał, zzymając się, że przypominali-by raczej brata i siostrę niż męża i żonę, gdyby nie ta plugawa, idiotyczna rzecz, o której się dowiedział o nich. On ciemny, popędliwy, ociężały, lecz przebiegły; ona też popędliwa i ciemna, silna, pracowita. Pangall usuwał się pod ścianę albo stał ponury oparty na miotle, lub odchodził kulejąc od szydzących z niego robotników. Goody przechodziła przez skrzyżowanie naw - choć mogła dojść do domu inną drogą - nie podnosząc oczu, z przymusem pochylając głowę. Roger Mason mierzył swoje kredowe znaki. Czasami Jocelin dziwił się lub raczej dziwił się jakiś ciemny zakamarek jego mózgu, zmuszając usta do wymawiania słów, które nie miały sensu, lecz jakoś się wiązały z uczuciem triumfu lub niepokoju.

- Jeszcze wiele się zdarzy.

A potem jego logiczny umysł ustawiał rzecz we właściwych proporcjach i dziekan szedł do swego

mieszkania, i czekał na anioła, który darzył pociechą, lecz nie udzielał rad.

W czerwcu Jocelin wszedł do kościoła z bólem głowy. Ubiegłej nocy kontakt z aniołem był szczególnie długi i pokrzepiający i dziekan myślał najpierw nieśmiało, a potem z dumą i znów nieśmiało, w nieskończonych nawrotach, które go wyczerpywały, że może to dlatego, że dobrze zrobił forsując, minio wszelkich sprzeciwów, budowę wieży do wysokości jednego okna. A potem uświadomił sobie, że anioł pojawił się, aby go ostrzec; bo szatan został dopuszczony, by go napastować w wyjątkowo obrzydliwy sposób, tak że Jocelin obudził się rano ze świadomością, że ostatnią godzinę jego snu zohydziły niepokojące wizje. Przyszedł jak mógł najwcześniej do katedry, aby się pomodlić. Było już jasno, spodziewał się więc zastać robotników przy pracy. Ale pełna kurzu stodoła była cicha i pusta. Gdy doszedł do suchego dołu na skrzyżowaniu naw i spojrzał w górę z ognistym błyskiem w mózgu w nowym nawrocie bólu, zobaczył, że w gniazdach w kominie nie ma ptaków, a liny kołyszą się wolno w przeciągu; nic się tam nie poruszało z wyjątkiem różowej chmurki, która sunęła wolno nad

otworem u szczytu, aż zakryła ten kwadrat płomienną zasłoną. Spojrzał znów w dół i jakiś niewyraźny niepokój pogał go do królestwa Pangalla. Lecz i w jego chacie było cicho, a przy warsztacie szklarskim nie widać była nikogo. Wrócił do kościoła i podążył spieszonym krokiem przez rozbrzmiewające echem wnętrze do nawy północnej; chciał zobaczyć przez otwór w ścianie, czy robotnicy pracują na terenie przykościelnym. Spostrzegł ich wreszcie. Wypełniali szopę, w której przez całą zimę suszyły się belki. Przy wejściu stały kobiety, ciche i milczące. W głębi mężczyźni, na nie ruszonych jeszcze belkach. A najdalej stał Roger Mason; jego głowa i ramiona rysowały się ciemną plamą na tle otworu szopy. Mówił coś, ale nie na tyle głośno, by Jocelin mógł dosłyszeć jego słowa. Poza tym tłum mężczyzn roił się i hałasował. Patrząc przez otwór w murze Jocelin kiwał ze zrozumieniem i żalnością głową, która go ciągle jeszcze bolała.

- Domagają się znów pensa więcej za dniówkę.

Poszedł do kaplicy, gdzie wschodnie okna zaczynały grać życiem, i modlił się za armię roboczą. Jakby modlitwa ta przywołała ich, usłyszał, zanim jeszcze zdążył się należycie skupić, ich głosy na skrzyżowaniu naw i hałas

wznawianej pracy. Z dreszczem odrazy skierował myśl ku sprawom diabelskim, bolejąc nad sprawami chuci. Hałasy dobiegające z kościoła i wspomnienia niepokojących wizji nie dały się usunąć na bok. Spostrzegł że klęczy z brodą opartą na przegubie ręki i wpatruje się w pustkę, i myśli o pewnych sprawach, zamiast się modlić w ich intencji.

"To kryzys - pomyślał. – Muszę znaleźć siły, by go przetrwać".

W tym momencie coś nim targnęło i oprzytomniał. Obok niego stał niemowa bez skórczanego fartucha i bez ciosanego kamienia w dłoniach i mamrotał coś bez słów. Położył nawet rękę na ramieniu Jocelina, ciągnąc go. A potem odbiegł w kierunku skrzyżowania naw, gdzie słycać było jakiś tumult. "Muszę pójść do nich" - pomyślał dziekan, patrząc wśród błyskawic bólu, jak niemy znika mu z oczu.

**Powiedział głośno:**

**- Jem za mało. Post mnie wycieńcza. Kim jestem, żebym się ośmielał umartwiać ciało, które winno pracować?**

Usłyszał nagle krzyki dobiegające ze środka kościoła i poderwał się. Pobiegnął przez krużganek i stanął na

skrzyżowaniu naw, mrugając w słońcu. Czuł ból głowy, migwały mu przed oczyma świetliste koła, lecz gwałtownym wysiłkiem woli zmrużył powieki i koła znikły. Z początku nie wiedział, co się stało, bo Rachela kręciła się i paplała, i musiał zdobyć się na jeszcze jeden wysiłek woli, by ją uciszyć. Na skrzyżowaniu naw znajdowali się wszyscy robotnicy - cały tłum. Kobiety, z wyjątkiem Racheli, stały grupą w nawie północnej. W ciągu paru sekund ujrzał, że coraz więcej ludzi przyłączało się do tych, którzy już tam byli, szeptało chwilę, a potem zamierało w tym samym napiętym milczeniu, w jakim trwali tamci. Wyglądało to jak zebranie aktorów w czasie przerwy w przedstawieniu, stojących cicho i oczekujących na dzwonek. Byli tam Goody i Pangall ze swoją miotłą, Jehan, niemowa, Roger Mason. Przypominali figurki zegara zastygłe w bezruchu, oczekujące wybicia godziny. Tworzyli nierówny krąg, w którego środku znajdował się wykopany dół. Po jednej stronie - Jocelin, choć zdenerwowany i przygnębiony, uznał to za pomysłowe - umieszczono na stojaku metalową płytę, która skupiała promienie słoneczne i kierowała je w głąb wykopanego otworu. Po drugiej siedzieli w kucki majster i Jehan, patrząc w dół. Jocelin podszedł szybko z terkoczącą

mu nad uchem Rachela. W chwili gdy znalazł się nad otworem, majster podniósł głowę.

**- Odejść stąd wszyscy! Do bocznych naw!**

Dziekan otworzył usta chcąc coś powiedzieć, lecz majster warknął ze złością do Racheli:

**- Wynoś się stąd! Nie zasłaniaj! Wyjdź z kościoła!**

Rachela usłuchała. Roger przytknął znów głowę do krawędzi dołu. Jocelin ukląkł przy nim.

**- Co się stało, synu? Powiedz.**

Roger patrzył dalej w głąb dołu.

**- Proszę patrzeć na dno! Nie ruszać się i patrzeć!**

Jocelin pochylił się, wsparty na rękach, i omal nie krzyknął, bo doznał uczucia, jakby ciężki strumień gorącej wody przepłynął mu z karku w głąb głowy. Zacisnął powieki i czekał, aż minie ból i nudności. Obok siebie słyszał szept Rogera:

**- Proszę patrzeć na dno!**

Otworzył oczy, a odbijający się w dole odblask słońca, spokojny, odizolowany, przyniósł im ulgę. Dojrzał różne warstwy ziemi wzdłuż ściany wykopu. Najpierw sześciocalową warstwę kamienną, takie same płyty jak te, na których klęczeli. Potem łupane kamienie łączone

wapnem. Pod tym grubą na stopę lub dwie warstwę czegoś, co mogło być pokruszonymi i startymi kawałkami gałązek. Pod nią czarną ziemię nabitą gęsto kamykami. A samo dno było jeszcze ciemniejszą plamą z jeszcze większą ilością kamyków. Zdawało się, że niewiele jest tu do oglądania, lecz spokojne światło odbite od metalowej płyty było kojące. I nikt nie hałasował. Patrząc w wykop Jocelin zobaczył nagle spadający kamyk i dwie grudki ziemi, a natychmiast potem z bocznej ściany oderwał się kawałek o powierzchni mniej więcej

jarda i z głuchym stukiem upadł na dno. Kamyki, które spadły wraz z nim, leżały połyskując matowo w odbitym blasku i układając się na nowym miejscu. Gdy patrzył na nie i czekał, aż znieruchomieją, poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Bo kamyki nie znieruchomiały. Spozrzegł, że jeden poruszył się, jakby nagle zaniepokojony, a potem zobaczył, że wszystkie poruszają się szybciej lub wolniej, jak robaki. Ziemia pod nimi też się poruszała, popychając je w jedną lub w drugą stronę, jak kasza zaczynająca się gotować w garnku. A robaki-kamyki roily się na jej powierzchni niczym kurz na powierzchni bębna, w który się wali. Jocelin odruchowo wyciągnął w obronnym geście

rękę w kierunku dna dołu. Popatrzył na Rogera, który nie odrywał wzroku od ruszających się kamieni. Wargi miał zaciśnięte, żółta bladość przebijała przez skórę. Nie był to tylko odblask światła.

- Co to jest, Roger? Co to jest?

Jakaś forma życia. Ta, której nie powinno się oglądać ani dotykać. Ciemność pod ziemią, obracająca się, wrząca, kipiąca.

- Co to jest? Powiedz!

Ale majster z szeroko otwartymi oczami, w napięciu, patrzył wciąż w dół. Dzień sądu ostatecznego. Może sklepienie piekieł tam w dole. Może to poruszają się potężni. A może to żywa pogańska ziemia, nieskrępowana, budząca się, Dia Mater. Jocelin spostrzegł, że podnosi rękę do ust; i jak w paroksyzmie, zaczął powtarzać ten ruch. Od filara po stronie południowo-zachodniej zabrzmiał przeraźliwy krzyk. Stała tam Goody Pangall, a u jej stóp toczył się koszyk. Spod schodów prowadzących do drewnianego przepierzenia oddzielającego prezbiterium rozległ się nagły trzask. Jocelin zobaczył rozpryskujące się na wszystkie strony kawałki kamieni jak bryłki lodu ciskane na lodowisko.

**Trójkątny kawałek wielkości jego dłoni ześliznął się po krawędzi jamy i spadł do niej. A równocześnie stało się jeszcze coś innego: rozległ się wysoki dźwięk o niebywałym, nieznośnym natężeniu. Trudno było umiejscowić jego źródło, ale rozbrzmiewał jednakowo w środku katedry i na jej krańcach, świdrował w uszach. Następny kamień plasnął w dół, a jego odprysk uderzył z brzękiem w metalową płytę. Naraz podniosła się wrzawa głosów, krzyków, przekleństw. Powstało poruszenie gwałtowne i nie do opanowania. Ze skrzyżowania naw można było wyjść w różny sposób, lecz zdawało się, że nawet dwoje ludzi nie wpadło na ten sam pomysł, jak się stamtąd wydostać. Gdy Jocelin wstał i odsunął się spiesznie od dołu, ujrzał ręce i twarze, włosy i ubrania - ujrzał to wszystko w jednym mgnieniu, nie obejmując myślą. Metalowa płyta runęła z trzaskiem. Coś go rzuciło o filar i jakieś usta - ale czyje? - wrzasnęły nad nim:**

**- Ziemia się obsuwa!**

**Uniósł obronnym ruchem ręce. Gdzieś koło niego majster krzyknął:**

**- Cicho!!**

**W zdumiewający sposób hałas umilkł i nic już nie było słycać prócz wysokiego, napiętego, oszalałego dźwięku. Kiedy i on ucichł, Mason krzyknął znowu:**

**- Cicho! Cicho, powiedziałem! Brać kamienie, jakiegokolwiek kamienie, i zasypać dół!**

**Wybuchła znowu wrzawa, ale tym razem brzmiała jak hymn pochwalny.**

**- Zasypać dół! Zasypać dół!**

**Jocelin skulił się pod filarem, a tłum się roił i kłębił. "Wiem, co muszę teraz zrobić - myślał. - Po to jestem". Kiedy część tłumu wracała - dwie ręce niosące rzeźbioną głowę dziekana Jocelina cisnęły ją do dołu - przekradł się pod filarem na krużganek. Nie poszedł do kaplicy Mariackiej, lecz do prezbiterium, i ukląkł w stalli, starając się znaleźć pod samym zwornikiem łuku. Śpiew kamieni przeszywał mu mózg; walczył z nim zaciskając szczęki i pięści. Całą skoncentrowaną wolą skierował na cztery filary, wbijał ją w nie swoją bolącą głową, szyją, grzbietem, witając z nieokreślonym uczuciem błyski światła i pozwalając, by raniły jego otwarte oczy. Złożył ręce na pulpicie stalli, ale ich nie widział. Czuł w sobie jakąś rozterkę i bunt. To też jest rodzaj modlitwy. Klęczał więc**

sztywny, obolały, cierpliwy. A śpiew kamieni przez cały czas rozbrzmiewał mu w głowie. Na koniec, gdy już miał w niej zupełny chaos, poczuł cały ciężar budynku na barkach. Zastygły w bezruchu przekroczył punkt, gdzie nie miał już poczucia czasu i nie widział nic. Dopiero kiedy zdumiał go widok dwóch kształtów przed oczyma, zdał sobie sprawę, że wróciła mu świadomość; rozglądając się pośród świetlnych błysków - były teraz żywsze i przepływały raczej, niż migały - ujrzał, że te dwa kształty to jego pięści spoczywające ciągle na drewnianym pulpicie, gdzie je złożył. A potem uświadomił sobie, że czegoś mu brak, i z otwartymi w nagłym strachu ustami stwierdził, że kamienie już nie śpiewają. Może dlatego, że wykonały to, co, jak mu się zdawało, miały wykonać. Odwrócił oczy od swych rąk i zobaczył Rogera Masona, który stał uśmiechając się i czekał.

- Wielebny ojciec...

Jocelin wrócił nagle do realnego świata: ale jeszcze nie całkiem. Zbyt wiele się zmieniło. Zwilżył wargi, rozluźnił zaciśnięte pięści. Ale było w nim jeszcze coś, czego nie potrafił rozluźnić.

- No co, Roger?

**Roger Mason uśmiechnął się szeroko.**

**- Patrzyłem na księdza dziekana i czekałem. "A potrafisz dojrzeć, jak płonie moja twarda wola, ty uparciuchu? Walczyłem z nim. Nie wygrał."**

**- Jestem tu zawsze, kiedy mnie potrzebujesz.**

**- Wy, ojcze?**

**Majster założył ręce za głowę i kręcił nią, jakby ją od czegoś uwalniał. "O, właśnie - myślał Jocelin - ulżyło mu. Myśli, że się wyzwolił. Nie potrafi zrozumieć. Nie wie. Na razie poczuł ulgę". Majster opuścił ręce i skinął głową w zamyśleniu, jak- by się poddawał.**

**- Tak, ojcze. Nigdy nie przeczyłem, że okazujecie zainteresowanie, nawet entuzjazm. Nie mogliście, oczywiście, wiedzieć, ale sprawy same się rozwiązały, prawda?**

**Jestem z tego poniekąd zadowolony. Nie, nie poniekąd. Całkowicie. Rzecz doszła do momentu decydującego.**

**- Jak to?**

**Roger roześmiał się swobodnie stłumionym śmiechem jak człowiek, który osiągnął spokój.**

**- Chyba zrozumiało, że musimy przerwać budowę.**

**Jocelin uśmiechnął się. Widział Rogera jakby z daleka, bardzo małego. "No - pomyślał - zobaczymy."**

**- Wyjaśnij to bliżej.**

**Roger obejrzał dokładnie swoje dłonie i strzepnął z nich kurz.**

**- Wiecie równie dobrze jak ja, wielebny ojcie, że doszliśmy tak wysoko, jak było można. – Uśmiechnął się do Jocelina. - W końcu jedno okna, jedno oświetlenie macie ukończone. Można zbudować pinakle w rogach, a nad każdym oknem umieścić głowę dziekana Jocelina - każe się je wyrzeźbić na nowo. Pokryjemy dach ołowianą blachą i możecie nawet ustawić na środku wiatrowskaz. Jeśli zrobi się cośkolwiek więcej, ziemia znowu zacznie się obsuwać. Mielście rację. To niewiarygodne, ale kościół nie ma fundamentów. Żadnych. Tylko błoto. Ostrożnie, mając na względzie ciężar przytłaczający mu plecy i ewentualny powrót anioła, Jocelin usiadł wyprostowany w stalli i złożył ręce na kolanach.**

**- Co by cię zadowoliło, Rogerze? To znaczy, zgodnie z regułami twojej sztuki, w jaki sposób potrafiłbyś bezpiecznie zbudować wieżę?**

- Nie potrafiłbym. Lub raczej nie mogę zrobić nic. Gdyby było mnóstwo pieniędzy i czasu - nie mówmy o umiejętności i artyzmie - moglibyśmy rozebrać katedrę kamień po kamieniu i wykopać dół na sto jardów w kwadrat i, powiedzmy, na czterdzieści stóp głęboki.

Następnie można by go wypełnić gruzem. Ale naturalnie woda dostałaby się tam najpierw. Ilu trzeba by na to ludzi i ile wiader? I proszę wyobrazić sobie nawę, stojącą przez cały czas na skraju urwiska nad jamą błota.

Rozumiecie, ojcze?

Jocelin, czując płonący w głowie ogień, odwrócił na chwilę wzrok ku ołtarzowi. "Tak to jest - myślał - tak to jest, gdy człowiek się poświęci i ofiara jego zostanie przyjęta."

- Jesteś człowiekiem bardzo małej odwagi.

- Odważyłem się, na co mogłem.

- To jeszcze niezmiernie mało. A gdzie twoja wiara?

- Wiara nie wiara, ojcze, dotarliśmy do końca. To wszystko.

Oto jak wygląda ludzki upór związany z wolą bez miary i granic.

- Macie nową robotę, Roger? W Malmesbury?

**Majster popatrzył na niego obojętnie.**

**- Jeśli ojciec tak woli.**

**- Wiem o tym i ty wiesz również. Uważasz, że przezimujesz tam spokojnie i zatrudnisz swoich ludzi.**

**- Ludzie muszą żyć.**

**Od skrzyżowania naw dobiegł nagle gwar podnieconych głosów. Jocelin przymknął oczy i spytał gniewnie:**

**- Co to?**

**- To moi ludzie, którzy czekają.**

**- Na naszą decyzję?**

**- Ziemia zdecydowała za nas. Gorący oddech majstra owiał przymknięte oczy.**

**- Skończmy z tym, ojcze, teraz, póki jeszcze czas.**

**- Bo jest inna robota dla twoich ludzi!**

**Teraz z kolei głos majstra zabrzmiał gniewnie:**

**- Dobrze. Niech ojciec tak myśli.**

**Dziekan poczuł, że owiewający go oddech oddalił się, i wyciągnął szybko rękę.**

**- Zaczekaj chwilkę! Zaczekaj! Oparł złożone ręce na pulpicie i pochylił na nie czoło**

**-Zaraz całe moje ciało stanie w ogniu - pomyślał. - Puls będzie mi walił. Ale po to tu jestem."**

**- Roger! Jesteś?**

**- Słucham?**

**- Coś ci powiem. Co jest bliższe człowiekowi niż matka, dziecko czy brat? Co jest bliższe niż ręka czy usta?**

**Bliższe niż myśl umysłowi? Wizje, Rogerze. Nie spodziewam się, że rozumiesz...**

**- Ależ naturalnie, że rozumiem.**

**Jocełin podniósł głowę i nagle się uśmiechnął.**

**- Rozumiesz? Naprawdę?**

**- Przychodzi jednak moment, gdy wizja nie jest niczym więcej jak dzieciinną zabawą w udawanie.**

**- A!**

**Potrząsnął głową wolno, ostrożnie. Świetliste ogniki przepłynęły mu przed oczyma.**

**- Wobec tego nic nie rozumiesz. Nic.**

**Roger Mason przeszedł parę kroków po gładkich płytach i stanął ze spuszczonej oczyma.**

**- Wielebny ojczy, podziwiam was. Ale ziemia występuje przeciwko nam.**

**- Wizja jest mi bliższa niż ziemia stopie.**

**Roger wsparł się rękami na biodrach, jakby powziął decyzję. Powiedział głośniej:**

**Proszę posłuchać. Może ojciec mówić, co chce. Ja już za nas zdecydowałem.**

**- I zawiadamiasz mnie o tej decyzji.**

**, - Rozumiem w pewnym sensie, jakie to ma dla ojca znaczenie, i gotów jestem do wyjaśnień. Widzi ojciec, są jeszcze inne sprawy, które mnie tu osaczają.**

**- Namiot.**

**- Jaki namiot?**

**- Mniejsza o to.**

**- Mogłem tu zostać usidlony... ale teraz dalsza budowa jest niemożliwa. Mogę odejść. Pójdę, zapomnę, choćby mnie to nie wiem ile kosztowało...**

**- Zerwij sieć.**

**- To tylko pajęczyna.**

**Ostrożnie, ze wzrokiem utkwionym w otwartą pułapkę, Jocelin skinął w kierunku osaczonego zwierzęcia.**

**- Tak, tylko pajęczyna.**

**- I jeszcze jedno. Wiecie przecie, ojcze, czym jest kapłaństwo dla księdza. A to tu nazwać by można honorem budowniczego.**

- ...który będzie miał więcej roboty dla swoich ludzi w Malmesbury.

- Próbuję ojcu wytłumaczyć.

- Zachowaj zatem honor swój i robotników. Pewne rzeczy nie są takie proste. Kosztują więcej, Rogerze.

- Proszę mi wybaczyć.

Goody Pangall i Rachela zaczęły wirować w ogniu, który płonął mu w mózgu. I wszystkie twarze z kapitulacza. "Miałem wizję... Broniłbym jej, gdybym mógł... Broniłbym wszystkich... Ale jesteśmy odpowiedzialni za własne zbawienie."

- Nikt poza tobą nie potrafi zbudować wieży. Tak mi powiedziano. Sławny Roger Mason.

- Nikt w ogóle.

Ze środka kościoła zabrzmiał gniewny okrzyk, a potem śmiech.

- Kto wie, Rogerze? Może ktoś odważniejszy...

Uparte milczenie.

- Prosisz mnie, bym cię zwolnił z podpisanej umowy. Nie mogę tego zrobić.

- Dobrze - mruknął Roger. - Cokolwiek się stanie, ja się wypowiedziałem.

**Ucieczka z pajęczyny, ucieczka od tchórzostwa i małych zamierzeń.**

**- Nie spiesz się, mój synu.**

**Usłyszał głośniejsze krzyki ze skrzyżowania naw. Kroki majstra zaczęły się oddalać. Powtórnie wyciągnął rękę.**

**- Zaczekaj!**

**Usłyszał, że tamten zatrzymał się i zawrócił. "Dokąd ja doszedłem? - myślał w oszołomieniu. - Co ja chcę zrobić? Ale co innego mogę zrobić?"**

**- Słucham, ojczy?**

**Jocelin powiedział nerwowo, zakrywając oczy rękami:**

**- Zaczekaj chwilę! Zaczekaj!**

**Nie potrzebował czasu, bo decyzja powstała sama. Czuł jakąś dręczącą obawę. Nie dlatego, że wieża była zagrożona, ale dlatego że nie była w niebezpieczeństwie: nigdy jeszcze nie czuł równie mocno nieuchronnej konieczności jej budowy. I dlatego wiedział, co musi zrobić. Zaczął drzeć cały, tak jak musiały drzeć kamienie, kiedy zaczęły swój śpiew. A potem, tak jak ten śpiew, minęło drzenie. Był teraz spokojny i opanowany.**

- Napisałem do Malmesbury, Roger. Do opata. Wiedziałem, co zamierza. Powiadomiłem go, jak długo jeszcze będziesz nam tu potrzebny. Poszuka gdzie indziej. Usłyszał szybkie zbliżające się ku niemu kroki.

- Ojcie!...

Uniósł głowę i ostrożnie otworzył oczy. Resztki światła, które pozostały w prezbiterium, tworzyły oślepiające kręgi wokół wszystkich przedmiotów. Otaczały też majstra, który obiema rękami uchwycił brzeg pulpitu. Zacisnął je kurczowo i szarpał nim, jakby go chciał rozerwać. Jocelin zamrugnął w rażącym go blasku i powiedział spokojnie, nie chcąc słyszeć echa własnych słów:

- Mój synu! Kiedy się czuje nakaz takiej pracy, to tkwi on w mózgu człowieka. Straszna to rzecz. Przekonuję się dopiero teraz, jak straszna. To ogień frysзера.

Wie się może coś o samym celu, ale nie wie się nic o tym, jaka będzie cena. Dlaczego oni nie mogą być tam cicho? Dlaczego nie stoją spokojnie i nie czekają? Tak. Ty i ja zostaliśmy wybrani, by dokonać tego razem. To wielki zaszczyt. Widzę teraz, że nas to zniszczy, lecz kim my w końcu jesteśmy? Powiadam ci, Rogerze, całą mocą mojej duszy: wieża może być zbudowana i będzie zbudowana

wbrew wszystkiemu. Ty ją zbudujesz, bo nikt inny tego nie potrafi. Zdaje się, że śmieją się ze mnie. Będą się i z Ciebie śmiali. Niech się śmieją. To wieża dla nich i dla ich dzieci. Ale tylko ty i ja, mój synu, mój przyjacielu, kiedy dokonamy dzieła, dręcząc się sami i dręcząc siebie nawzajem, będziemy wiedzieli, ile kamieni i belek, ile łożowiu i wapna zostało do tego zużyte.

- Rozumiesz?

Majster wpatrywał się w niego. Nie szamotał się już z drewnianym pulpitem, ale trzymał się go tak, jakby to była deska na wzburzonym morzu.

- Ojczy, ojczy... Na litość Boską, pozwólcie mi odejść!

"Robię to, co muszę zrobić. On nigdy już nie będzie ten sam, w każdym razie nie ze mną. Nigdy nie będzie już tym samym człowiekiem. Jest mój, jest moim niewolnikiem, musi wykonać to zadanie. Za chwilę pułapka zatrzaśnie się nad nim."

Szept:

- Pozwólcie mi odejść!

Trzask.

Cisza, długa cisza.

**Majster puścił drewniany pulpit i odchodził wolno pośród świetlnych kół i burzliwej wrzawy za przepierzeniem. Rzucił ochryplym głosem:**

**- Nie wiecie, co się stanie, jeśli będziemy budować dalej.**

**Cofał się z szeroko otwartymi oczami. Zatrzymał się w drzwiach.**

**- Po prostu nie wiecie!**

**Odszedł. Ze skrzyżowania naw nie dobiegał żaden głos. "To nie kamienie śpiewają - myślał. - To coś w mojej głowie." Nagle ciszę przerwał dziki krzyk Rogera. "Muszę iść - myślał. - Muszę iść, ale nie do niego. Muszę iść się położyć. Jeśli dojdę." Schwycił się stali i stanął. "To jego sprawa, nie moja - myślał. - Niech on to załatwia, on, niewolnik pracy." Przeszedł ostrożnie przez prezbiterium i wy dostał się na krużganek. Na schodach zatrzymał się i oparł o kamień, z głową odrzuconą do tyłu, z zamkniętymi oczami, starając się zebrać siły. "Muszę przejść koło nich - myślał - choćby nie wiem jak krzyczeli." Chwiejąc się na nogach zszedł ze schodów. Uderzył w niego wybuch śmiechu. Ale nie z niego się śmiano Głosy mieszały się jak ogniki wirujące mu w głowie. Kościół wypełniała masa**

brunatnych i granatowych bluz, skórzanych kurtek i sakiew, płóciennych spodni, bród i zębów. Masa ta poruszała się i wirowała a hałas, jaki czyniła, kłócił święte powietrze. Spojrzał na szeroki otwór w posadzce. Zobaczył, że me jest on jeszcze całkowicie zasypany. Wiedział, że to jakiś koszmar. Wszystko, co się działo, migało mu przed oczyma jak pośród błyskawic. Widział mężczyzn, którzy dręczyli Pangalla osłaniającego się miotłą. W jakimś apokaliptycznym błysku mignął mu jeden z nich zmierzający tanecznym krokiem ku staremu stróżowi z modelem wieży sprośnie sterczącym spomiędzy ud. Wir, hałas i te zwierzęce ciała cisnęły Jocelina na kamienną posadzkę, tak że już nic nie widział. Słyszał tylko, że Pangall wyrwał się... Słyszał przeciągłe wycie, gdy mężczyzna uciekał wzdłuż południowej nawy. Słyszał wzmagający się tumult gromady ruszającej w pogoń za nim. Pojął bez tchu prawie, że niemowa klęczy nad nim, a ciężka masa brunatnych ciał wali się, przewraca, napiera na mego z tyłu. I gdy leżał czekając, aż dygocące ramiona nie wytrzymają naporu, a ciężar napierający z tyłu zmiażdży je, wiedział, że coś innego, co zobaczył, wyryje mu się na zawsze w pamięci. Ilekroć znajdzie się w

ciemnościach i nie będzie mógł zebrać myśli, ten obraz powróci. To była jest.. i będzie Goody Pangall oparta o kamienny wysoki filar, gdzie zepchnęła ją ludzka fala. Nie osłonięte niczym włosy spływały z jednego boku na pierś okrytą czerwonymi strzępami, a z drugiego w spletanym warkoczu z rozwiązana zieloną wstążką. Ręce jej zaciskały się z tyłu na filarze, na wysokości bioder, brzuch w okolicy pępka przeświecał przez rozerwaną suknię. Głowę miała odwróconą w bok. Zawsze, do końca życia będzie wiedział, na co patrzyła. Od momentu, gdy zamknął się nad nią namiot, na nic innego patrzeć nie mogła, nigdzie indziej nie mogłaby zwrócić tych bladych wykrzywionych ust, tylko ku Rogerowi stojącemu po przeciwnej stronie dołu, z rękami rozkrzyżowanymi w błaganiu i udęce, w uznaniu swej zgody i klęski. I w tej chwili, nie wytrzymując naporu, opadły ramiona niemowy.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy oprzytomniał w swoim pokoju, wysoki śpiewny dźwięk rozległ się znowu, choć on zapomniał już, skąd pochodzi. Niepokój, jaki to w nim budziło, skłaniał go do odwracania głowy to w jedną stronę, to w drugą, tym bardziej że czuł się w niej uwięziony ze strzępkami myśli czy wrażeń, które układały się bez końca, lecz ciągle trwały w chaosie. Zlewały się razem jakieś szczegóły, a on wiedział tylko, że łączyło się to ze spotkaniem, które miał gdzieś, może w prezbiterium, z Rogerem Masonem. Sploty rudych włosów na tle kamiennego filara opadały na zieloną suknię. Dręczyło go to nieustannie, Bo choć starał się, jak mógł, nie potrafił odtworzyć sobie za tymi włosami kobiety, która spokojnym krokiem wchodziła z uśmiechem do katedry i przystawała, by się przeżegnać, pod jego błogosławiącą ręką. Jakby rude włosy, które tak nieoczekiwanie wysunęły się spod chusty osłaniającej skromnie głowę, omotały ten czas miniony, starły go lub z upływem dni zmieniły. Próbował wskrzesić w pamięci i kobietę, i tamten spokojny okres, a miast tego spostrzegał, że znów się wpatruje w rude sploty. Przez cały zaś czas

**przeszywający dźwięk nie milkł ani na chwilę i wszystko inne jak najściślej się z nim wiązało.**

**Ojciec Anzelm, sztywny i obojętny, przyszedł go wypowiadać. Ale on pamiętał tylko, że zamierzał zmienić spowiednika, więc ojciec Anzelm odszedł. A potem Jocelin zaczął słać naglące polecenia w przekonaniu, że robotnicy przestali pracować. Lecz ojciec Anonim przyniósł zupełnie nieoczekiwaną wiadomość.**

**- Pracują spokojnie i dobrze. Nie ma żadnych kłopotów.**

**Wtedy Jocelin zrozumiał, że praca ta nadal spoczywa nie w ludzkich rękach. Zapytał o Rogera.**

**- Wałęsa się tu i tam. Mówią, że czegoś szuka. Ale nikt nie wie, czego.**

**- A kobieta?**

**- Jak zawsze przy nim.**

**- Mam na myśli tę drugą, rudowłosą. Żonę Pangalla.**

**- Rzadko się ją widuje.**

**"Wstydzi się - pomyślał Jocelin. - Bo cóż innego?"**

**Wyrwała się z namiotu i mężczyźni zobaczyli ją półnagą, z rozpuszczonymi włosami."**

**Ojciec Anonim mówił dalej:**

**- A jej mąż, Pangall, uciekł.**

**A potem dziekan wygłosił w myśli do ojca Anonima przemowę o kosztach materiałów budowlanych. Przemowa ta była o tyle niezwykła, że nawracała wciąż do początku, choćby nie wiem jak daleko od niego odbiegła. W pewnej chwili zapadł w głęboki, krzepiący sen. A gdy się obudził, wiedział już, gdzie jest i co się z nim dzieło. Ponadto we śnie zyskał jakieś nowe siły i niezłomną pewność, że postępuje słusznie; pewność, wobec której dawny jego upór był uporem zgoła dziecięcym. "Muszę wstać" - pomyślał i już wstał i szedł, chwiejąc się trochę na nogach, ze śmiechem. Spotkawszy ojca Anonima, który spieszył ku niemu, poklepał małego człowieczka po ramionach.**

**- Nie, ojcze Anonimie! Muszę iść. Robota czeka!**

**Słowa te musiały się zakończyć dwiema nutkami cienkiego śmiechu. Zszedł ze schodów w słońce wrześnie i posuwał się z wysiłkiem, kołysząc się lekko z boku na bok, jakby się przedzierał przez wysokie zboże. Zatrzymał się bez tchu prawie przy drzwiach zachodnich, by przyjść nieco do siebie, a potem wszedł do katedry, przepelniony bolesną szczęśliwością, jaką dawała mu nowa olśniewająca pewność. Wzrok jego padł natychmiast na filary na**

skrzyżowaniu naw; przypomniał sobie, że wie, skąd się wydobywa śpiewny dźwięk. Gdy to sobie uświadomił, dźwięk ucichł, a i w jego głowie zaległa cisza. Stał chwilę, ciesząc się tą ciszą i odzyskując pomалу świadomość swego człowieczeństwa. Zrozumiał, że wszystkie drobne sprawy, jak codzienne obowiązki, modlitwę, spowiedź, odsunąć trzeba na drugi plan, a najważniejszy jest teraz związek: Jocelin - wieża. Zobaczył, że majster rozmawia przy rusztowaniu z jednym z robotników, ruszył więc ku nim z wysiłkiem, dysząc trochę. Z przyjemnością usiadł na cokole kolumny po stronie północno-zachodniej i oparł się o niego plecami. Robotnik odszedł i wspiął się zwinnie w górę wieży, ku światłu. Jocelin zawołał do majstra:

- Widzisz, Roger, wróciłem!

I znowu każde słowo wywoływało jakiś ucisk, który musiał znaleźć ujście w cienkim chichocie. Wiedział, że się śmieje i że ten śmiech jest niestosowny, ale nie mógł go już opanować. Śmiech rozległ się i wchłonęła go wieża. "To źle - pomyślał. - Nie wolno mi tego więcej zrobić." Popatrzył znów na Rogera, ale majster posuwał się za robotnikiem; piał się ciężko, mozolnie z. Drabiny na drabinę. Jocelin przechylił do tyłu głowę i obserwował, jak Roger wspina się

tam, gdzie kwadratowy komin wznosi się ku niebieskim szczytom. Widział, jak pionowo wznoszą się też białe kamienne ściany i okna, przy których w tej chwili kręcili się szklarze pośród kwadratów monochromii. Ten nowy szczegół na tle nieba słońce chłostało swymi promieniami, a wdrapujący się w górę jak niedźwiedź Roger Mason tonął też w ich blasku. I wtedy Jocelin zrozumiał, że to w jakimś stopniu moc jego mózgu pcha majstra w górę i będzie pchała dalej, póki nie znajdzie on sposobu, by umieścić duży krzyż na szczycie wieży, czterysta stóp nad ziemią. Blask bijący z komina wieży, zakrytego chmurką, oślepił go, spuścił więc głowę i otarł nabiegłe łzami oczy, a potem mrużąc je spojrzął na podłogę w dole. Prawie nie było jej widać. Kawałki kamieni i drewna, wióry, odłamki, opiłki, kurz, jakaś deska i coś, co mogło być ułamanym końcem miotły, cały ten śmietnik zepchnięty został bezceremonialnie pod filary, usunięty, by zrobić wolne miejsce na środku, gdzie otwór w posadzce zakryto nowymi płytami. Na ten widok dziekan zirytował się i pomyślał z gniewem: "Gdzie jest Pangall?" W tej chwili jednak przypomniał sobie, że Pangall uciekł. Otarł czoło i pomyślał, że człowiek ten nie potrafi przecież żyć z daleka

od katedry, która jest dla niego całym światem. Wróci, choćby miał czekać na odejście Rogera i jego ludzi.

"I muszę coś zrobić z tą jego Goody" - myślał dalej rozejrzał się oczekując nie wiadomo czemu, że ją gdzieś zobaczy. Ale kościół był pusty. Wypełniał go jedynie kurz, słońce i odległe hałasy dobiegające z wieży oraz stłumiony śpiew chóru w kaplicy Mariackiej. "Muszę przypilnować, by jej niczego nie brakowało" - myślał. Już zapomniał, dlaczego. Pośród śmieci u stóp filara spostrzegł na swoim bucie gałązkę ze zgniłą jagodą lepiącą się obrzydliwie do skóry. Poruszył ze zniecierpliwieniem nogą. I co często mu się teraz zdarzało, nie mógł już zapomnieć o jagodzie i gałązce, które wywołały długi ciąg wspomnień, dręczących myśli i skojarzeń, zupełnie przypadkowych. Spostrzegł, że rozmyśla o statku

zbudowanym z tak wilgotnego drzewa, że gałązka w ładowni wypuściła zielony listek. Przez moment wyobraził sobie wieżę wygiętą, rozgałęzioną, puszczającą pędy. I ze strachu zerwał się na nogi. "Muszę się nauczyć wszystkiego, co dotyczy drewna, i przypilnować, by było co do cała suche." A potem przypomniał sobie, że wieżycy jeszcze nie zaczęto i nie ukończono nawet budowy wieży.

Usiadł więc znowu, mrużąc oczy. Otwór w sklepieniu, przechodzący w wylot wieży, był teraz mniejszy, bo część belek przeznaczonych na spód niższej kondygnacji znajdowała się już na miejscu. Lecz pozostało jeszcze sporo wolnej przestrzeni w środku dla wciągania w górę kamieni i drewna. Belki zdawały się odgraniczać i określać kontury tego pracowitego świata tam, pod niebem, gdzie wśród wszechwładnych słonecznych promieni, poruszających się ciężko niedźwiedziowatych kształtów, rusztowań, lin i nieomal pionowo ustawionych drabin było też o wiele jaśniej. W rogu u szczytu widniało coś w rodzaju szalasu uwieszonego jak jaskółcze gniazdo. Spostrzegł, że majster wynurzył się właśnie stamtąd i poszedł gdzieś ze swoim pomiarowym przyrządem. "Nigdy nie przypuszczałem, że to będzie miało dla mnie tak wielkie znaczenie - myślał. - Próbowałem rysować parę prostych linii na niebie. A teraz mam podtrzymywać moją wolą cały świat tam w górze obym tylko zdołał! A gałązka pochodzi może z rusztowania, które nie musi być takie suche i zostanie przecież usunięte, jak skończy się budowa." Usłyszał dobrze znane stukanie i skrobanie. Spojrzał

przed siebie. Pod filarem od strony południowo-zachodniej siedział niemowa z nową bryłą kamienia na kolanach. Jocelin wstał i podszedł do niego. Tamten szybko się podniósł i odłożył kamień. Stał uśmiechając się, kiwając głową i klaszcząc lekko w dłonie.

Jocelin pobłogosławił go.

- Zawdzięczam ci podobno życie, mój synu.

Poczuł, że wraz z tymi słowami wzbiera w nim histeryczny śmiech, i udało mu się zmienić go w krótki chichot. Młodzieniec rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- A tobie nic się nie stało?

Młody zaśmiał się bezdźwięcznie i dotknął nosa, który był trochę spuchnięty i błyszczący. Wyciągnął potem, prawą rękę i zgiął ją uśmiechając się i przesuwając palcami po bicepsach. W nagłym porywie czułości Jocelin chwycił go w objęcia i uścisnął, przywierając do niego jak do filara lub drzewa.

- Synu, mój synu!...

Niemowa rozpromieniony pomrukiwał i gładził nieśmiało dziekana po plecach.

- Wywdzięczę ci się za to, synu.

Młody stał spokojnie w jego objęciach. "To mój syn,, a ona to moja córka" - myślał Jocelin. Lecz rude włosy opadły i zasłoniły mu oczy, więc zamknął je i jęknął. Spostrzegł w tej chwili, jak bardzo jest zmęczony i jak, ciągnie go łóżko. Tej nocy zjawił się znowu anioł. A potem szatan dręczył go czas jakiś. Nabierając z każdym dniem sił patrzył, jak przedłuża się lato, jakby chciało wynagrodzić wiosenne burze i deszcze. Liście pożółkły jednak w końcu i zaścielały ziemię szeleszczącą cienką warstwą. Szorstka trawa wokół katedry łamała mu się pod nogami, brunatna i krucha,, jak liście pozostałe w miotle po zamiętaniu. A gargulce, skazane na jakąś bezmiernie skomplikowaną karę, rozdziawiały paszcze, jakby szukały wody w wysuszonym powietrzu. Nie było dla nich chwili wytchnienia; znajdowały się w piekle, nie mogły spodziewać się niczego. W tym suchym powietrzu płomień jego woli, gorejącej woli, stłumiony został do umiarkowanego żaru, który oświetlał i podtrzymywał jedynie nową budowlę. Tak więc młody niemowa rył dłutem, murarze wspinali się po drabinach, Rachela krążyła wokół Rogera; a daleko,, w głębi nawy, można było dojrzeć Goody Pangall ze spuszczoną głową i zakrytymi

włosami, zajęta swoją robotą. Jeśli podchodziła bliżej, okrążała go szybko, odwracając oczy, przyspieszając kroku i schylając głowę jeszcze niżej, jakby był pechowym kątem, duchem lub grobem samobójcy. Ale Jocelin wiedział, że ona się tylko wstydzi, jak wstydzi się opuszczona przez męża kobieta. I ten jej wstyd ścisnął mu serce. "Moja energia nie może się teraz koncentrować na pomocy innym. Jestem jak kwiat, który przekształca się w owoc. Trzeba dbać o kwiat, gdy płatki jego więdną, a owoc dojrzewa; troszczyć się o całą roślinę tracącą liście, w której wszystko obumiera prócz dojrzewającego owocu. Tak musi być. Cała moja wola skupia się na filarach i na tej wysokiej ścianie. Poświęciłem się temu".

Niekiedy spotykał Rachelę krążącą po skrzyżowaniu naw, rozmawiającą z kimś, kto tamtędy właśnie przechodził, przystającą, by spojrzeć na swego niedźwiedzia wdrapującego się na wieżę. Gadatliwa kobieta na widok dziekana rzucała wszystko i podchodziła do niego. Aż pewnego dnia stwierdził, że można się nią nie przejmować. Ignorował ją kompletnie, odgradzając się od dźwięku jej głosu obok swego łokcia. Kiedy obeszła go wkoło i stanęła przed nim, by o coś zapytać, nie usłyszał jej

pytania, ale odczuł je jak pytajnik postawiony w powietrzu. Stał patrząc na nią. Zauważył, że się postarzała i że jest w jakimś nerwowym napięciu, lecz zmiana ta niewiele go obeszła. Nawet kiedy spostrzegł jej uróżowioną twarz, odczuł jedynie wstręt; objawił się on w dreszczu, który wstrząsnął całym jego ciałem i zamaskował histeryczny śmiech. Potem zdecydował, że widok jej go nudzi, i nie odzywając się, patrzył na nią jak na powietrze. Nie dojrzał zdumienia pod warstwą czerwonej szminki. W miarę upływu dni stwierdzał, że taka obojętność okazuje się bardzo przydatna. Pozwalało mu to uprzejmie traktować kanclerza, gdy ten przychodził do jego siedziby, nie zdradzając, że wie, po co przyszedł. W niektórych przypadkach - na przykład z kantorem - ta użyteczna metoda wywoływała spojrzenie, które jak ocenił później, wyrażało całkowitą konsternację. W mgliste jesienne dni, kiedy duża brezentowa płachta zasłaniała niebo w miejscu, gdzie rosła w górę wieża, spostrzegał, że może skłonić ludzi do milczenia, gdy tylko zechce. Wystarczyło, by powiedział: "Musze wrócić do katedry". A zaczęło się to od chwili, gdy ojciec Anonim wytknął mu, że nie czyta żadnej korespondencji nie związanej z wieżą. Mimo brezentu mgła

wdzierała się do kościoła, ale nie potrafiła ostudzić zapału dziekana. Nie potrafiła też przeszkodzić młodemu rzeźbiarzowi, który nie przestawał ciosać i cyzelować kamienia. "One na pewno powinny być szersze - myślał Jocelin oglądając drugą z czterech głów, takich samych jak te, które ciśnięto w dół. - I czy usta nie są zanadto otwarte? Czy oczy mogą być tak ogromne?" Nie mówił jednak nic, bo kochał swego syna w Panu, tak jak i swoją córkę w Panu. Młodzieniec nie tylko ocalił mu życie, a tym samym wolę, która podtrzymywała filary, ale patrzył mu szczerze w oczy jak wierny pies, czego Goody, jeśli widział ją z bliska, nigdy nie uczyniła. Drażniła go, drażniły go jej rude włosy, nie czuł w stosunku do niej nic poza współczuciem i jakimś dziwnym niepokojem. W początku grudnia cztery głowy zostały ukończone i znikły w otworze wieży wraz z ich młodym twórcą, który zaniósł je tam, gdzie czekały na nie cztery górne okna. Owego ranka, gdy dziekan obserwował wnoszenie ich na górę, Rachela znów się koło niego kręciła i paplała. W czasie nieobecności niemowy myśl o Goody i ucieczce Pangalla narzuciła mu się przemożnie. "Dlaczego ją zaniedbałem? Ona mnie potrzebuje!" I jakby myśl o niej przywołała ją, oto już była

w nawie północnej, przez którą biegła patrząc w górę, a potem skręciła w bok i minawszy skrzyżowanie naw szła prędko, coraz prędeziej w stronę krużganka.

- Moje dziecko...

"Muszę tak zrobić dla jej dobra - myślał – choć przeszkadza mi to w skupieniu." Ruszył szybko ku drzwiom wiodącym na krużganek. A ona wbiegła tam właśnie i prędko uskoczyła w bok.

- Moje dziecko...

Ze śmiechem, choć trochę gniewny, zastąpił Jej drogę rozkrzyżowując ręce. Stała pod ścianą odwrócona bokiem, drżała. Włosy miała skromnie zakryte; odwróciła twarz, tak że widział tylko owalny zapadnięty policzek.

- Moje dziecko, myślałem... Co myślał? "Co ja jej mam do powiedzenia? Kim jestem, żeby ja wypytywać?"

Ale to ona przemówiła błagalnie:

- Puśćcie mnie, ojcze! Puśćcie mnie, proszę!

- On wróci.

- Proszę!

- A tymczasem... przez wszystkie te lata... Dziecko moje... jesteś mi bardzo droga...

**Nagle wstrząśnięty spostrzegł, jak blade są jej wargi, blade i zaciśnięte. Widział też, jak ogromne i wytrzeszczone mogą być ciemne duże oczy, jakby i powieki ściągnęły się do tyłu, podobnie jak wargi. Koszyk przyciśnięty do jej piersi drżał, a on ledwie dosłyszał szept:**

**- lwy także!!**

**Znikła chwytając z trudem w szlochu powietrze, przemknęła obok niego i wbiegła w ciemny krużganek; jej ciężki płaszcz zatrzepotał w powietrzu, a spod spódnicy mignął mu przed oczyma zarys kostek i stóp. Chwycił się rękami za głowę i powiedział z gniewem,, do głębi zakłopotany, nie pojmując nic:**

**- Co to wszystko znaczy?**

**Otrząsnął się potem, bo czuł ją jeszcze przy sobie, a to przeszkadzało w pracy. "Muszę odsunąć od siebie wszelkie drobiazgi - pomyślał. - O ile to jest część ceny, trudno! A jeśli nie mogę nic pomóc, po co rozpamiętywać to bez końca? Mam w rękach zbyt wielką robotę. Robota! Robota!"**

**Nagle coś go olśniło. "Muszę uciec w górę od tego rozgardiaszu!" Wraz z tą myślą pojawił się znowu cienki nerwowy śmiech. "I zabiorę ze sobą na wieżę cały mój**

**płomienny zapach." Popatrzył na swoją sutannę i stwierdził, że nie jest to strój odpowiedni do wspinania się po drabinie. Schylił się i podkasał ją zawiązując u pasa. Schodzący na dół robotnik stanął na pierwszym z boku rusztowaniu i postukał się palcem w czoło. Naraz wszystko wydało się Jocelinowi łatwiejsze. Nareszcie rozbłysło wokół niego słońce. Wchodził na górę krok za krokiem; dotarł do ciemnego, nie osłoniętego rusztowania na triforium i zanurzył się w mrok schodów oświetlonych jedynie szczelinami w kształcie strzał, jakby budynku mieli bronić łucznicy. Wyszedłszy ze schodów zobaczył nowe belki nad sklepieniem. Piął się dalej po szerokich drabinach wśród błysków i ogni rzucanych przez okna w dolnej części wieży.**

**- No, oczywiście! - wykrzyknął. - Oczywiście! Poczuję, że serce tłucze mu się o żebra. Odpoczął chwilę, by je uspokoić i odzyskać oddech. Usiadł na brzegu rusztowania jak kruk na krawędzi skały. Robotnicy wchodzący na górę i schodzący na dół przyglądali mu się z ciekawością, ale się nie odzywali. Przesunął się na sam brzeg i zwiesił nogi na zewnątrz. Uchwycił obiema rękami listwę drabiny, wychylił się spoza niej i spojrział w dół.**

Trzon, ściana i okna wieży zdawały się, gdy patrzył na nie z góry, zbiegać razem, zdolne unieść zaledwie własny ciężar. Wszystko było nowe i czyste. Otwory okienne, wysokie na osiemdziesiąt stóp, umieszczone po dwa w każdej z czterech ścian, rusztowania i konstrukcje pionowe, drabiny i świeżo ciosane belki jaśniały w słońcu. Odczuwał taką samą trwoźną radość, jaką odczuwa mały chłopiec, kiedy po raz pierwszy wdrapie się wysoko na zakazane drzewo. Kręciło mu się w głowie i upajał się tym, i dech mu zapierało, gdy patrzył w dół, prosto w dół, z otworu w otwór, z głębi w głębie, zapuszczając wzrok w odległy świat na skrzyżowaniu naw. Posadzka była stąd tak samo mało widoczna jak przedtem dno otworu w niej, bezbarwna i ciemna z tej wysokości. Potem zawrót głowy mu minął. Pozostała tylko radość i myśl: "Oczywiście!" ,Tak musi się czuć ptak, wolny w świecie gałęzi i swobodny na swoich skrzydłach. A my musimy się wydawać tacy szarzy, tacy ograniczeni do naszych głów i ramion, tacy skrepowani, czołgający się po ziemi... I gdy tak myślał, ujrzał Rachelę pełznącą po posadzce jak stworzenie, które wyłoniło się z ziemi. Poczuł się uwolniony od niej i zaczął wchodzić wyżej. Piął się i

wdrapywał nie zważając na nieprzystojnie odsłonięte uda. Na wysokości dwustu stóp nad ziemią stawały się przyzwoite. Przechodził z jednego poziomu na drugi, patrząc stale w górę, gdzie ludzie też pięli się niezmordowanie ku niebu. Słyszał znów koło siebie odgłosy budowy. Zatrzymał się przy "jaskółczym gnieździe", by odsapnąć, i zobaczył, że jest to pomieszczenie wielkości jego pokoju, uwieszone w rogu, z nie oszklonym otworem okiennym wychodzącym na wewnętrzną stronę wieży. Majster mierzył właśnie jej szerokość. Jocelin stanął obok niego na pomoście z czterech desek, rozpromieniony, i czując potrzebę wyrażenia swej radości, zawołał:

**- Widzisz, synu! Filary wytrzymują!**

Majster nie odrywając oczu od swego przyrządu odpowiedział kwaśno:

**- Kto tam wie, jak to jest. Może każdy z nich wspiera się na własnych fundamentach.**

**- Powiedziałem ci, że one unoszą się w powietrzu.**

Majster ze zniecierpliwieniem wzruszył ramionami.

**- Słyszę was dobrze, ojczy.**

**- Roger!**

Wyciągnął rękę, ale majster się odsunął, jakby ciało jego było uczulone na dotyk. Odwrócił się na pięcie na najbliższej ściany desce i przycisnął swój przyrząd do piersi.

- Już dawno powiedziałem, co miałem do powiedzenia.

- Jak możesz mówić w ten sposób, Roger, widząc koło siebie cud? Nie czujesz, że to cud? Nie potrafisz zaczerpnąć z niego nauki, dojrzeć, jak zmienia on wszystko?

Milczeli patrząc na siebie pośród chrzęstu ciosanych kamieni. Roger Mason przyglądał się dziekanowi przenosząc kolejno wzrok z czubków jego palców poprzez łydki, białe uda i tułów na twarz. Patrzyli sobie w oczy. majster uśmiechał się smętnie.

- Tak, wiele to zmieniło.

Otworzył drzwi „jaskółczego gniazda”, a potem odwrócił się nagle i krzyknął z wściekłością:

- Nie widzicie, ojczy, coście zrobili?

Zniknął trzaskając drzwiami, aż zatrzęsły się ściany “jaskółczego gniazda”.

Jocelin popatrzył na mury.

- Wiem, wiem! Naprawdę wiem!

W nagłym wybuchu radości rzucił się ze śmiechem do drabiny. I wspinając się po niej zapomniał o Rogerze i posadźce w dole. Bo punktem rozwojowym był wierzchołek. Otaczał go pomost ułożony z trzech desek, na którym stali murarze. Niewiele słyszało się tu rozmów. Ludzie wychyleni na zewnątrz pracowali na wysokości kolan przy murze, którego poziom zmieniał się w zależności od tego, ile kamieni mieli przed sobą. W jednym miejscu był to tylko pojedynczy kamień ułożony wysoko nad rusztowaniem; lecz już pokryty cienką warstewką murarskiej zaprawy, a robotnicy zaczęli kłaść następny. W innym - i to tak samo ze wszystkich czterech stron - nad rusztowaniem nie widać było kamienia, lecz drewniane obramowanie w kształcie zwornika łuku. Kamienie łuku zbliżały się do siebie po krzywiźnie, pozostawiając otwór, gdzie miał być umieszczony zwornik. A dziekan wiedział, że pod każdym łukiem są okna, które on łączy razem, zamyka w półkolu, tak że wszystkie zdawały się zbiegać w jedno. Nad każdą z drewnianych ram spoczywała kamienna głowa, wykrzykująca coś w milczeniu, wśród blasku na podniebnych szczytach głosząca triumf i radość. Młody niemowa przyklęknął przy jednej z nich i coś tam poprawił

dłutem w twarzy, a potem spojrział w górę i roześmiał się bezgłośnie. Jocelin spostrzegł, że i on śmieje się szczerze, radośnie patrząc na wyrzeźbione świeżo głowy. Nagle przyszło mu coś na myśl i zawołał poufale do młodzieniaszka:

- Tu na górze mamy przynajmniej spokój!

A młody, wierny jak pies, zaśmiał się w odpowiedzi i wrócił do swojej pracy.

Słysząc też tu było jakiś nowy dźwięk. Nie rozmowę i nie przybijanie czy piłowanie, lecz odgłos nie milknący ani na chwilę, nie dość głęboki czy stłumiony, by określić go jako pomruk, i nie dość ostry, by mógł to być śpiew kamieni. Słuchał uważnie i odkrył, że to szum wiatru na kamieniach. Ukląkł, a potem usiadł, przyłożył rękę do kamiennej ściany i wsłuchiwał się w wiatr. Przez chwilę trwał tak nieruchomo, przyzwalając z zadowoleniem, by myśli chaotycznie kłębiły mu się w głowie.

Ten świat konkretny w postaci budowlanego surowca był także czymś nowym. Tam, na dole, model wieży wydawał się taki delikatny i smukły, jego podstawę tak łatwo było ująć w ręce, okna tworzyły subtelny ornament na każdej ze ścian. Ale tutaj papierowa cienkość ścian stała się skałą, a

cieniutkie jak igły człony konstrukcji wewnętrznej - belkami, po których mogło iść obok siebie dwóch ludzi. Zdał sobie nagle sprawę z ciężaru zawieszzonego w tak cudowny sposób w powietrzu i w swoim rozradowaniu widział cały świat odmieniony. "Muszę być miłszy dla Rogera - pomyślał. - Ten ciężar, który ja lekceważyłem, on miał stale na myśli. Nie miał jednak wiary."

Chcąc zatrzymać kołujący mu przed oczami świat, znów się skoncentrował na modelu w dole, w mrocznej nawie. Gdy to zrobił, przyszły mu wraz z wieżą na myśl rzeczy nieoczekiwane, odsuwane na bok, rzeczy z okresu, gdy obsunęła się ziemia, a kamienie zaczęły swój śpiew. Spostrzegł, że znów wstrzymuje oddech i nasłuchuje.

Przez moment pomiędzy brązową a granatową bluzą ujrzał Pangalla osłaniającego się miotłą i jednego z robotników sunącego ku niemu tanecznym krokiem z wieżą sterczącą mu sprośnie pomiędzy ud. Ujrzał rozpuszczone rude włosy. I spostrzegł, że kurczowo ściska kamień, że ma zamknięte oczy i otwarte usta i że brak mu tchu. Znów miał w mózgu wir myśli. Wśród zawrotu głowy powiedział sobie: „To jest cena! Czegóż innego mogłem się spodziewać? Nie potrafię modlić się za nich, bo całe moje życie stało się

modlitwą woli, stopioną z Nim w jedno. ...Ulituj się lub oświeć mnie!" Ale nie otrzymał odpowiedzi. Tylko wiatr szeleścił na kamiennej ścianie. Otworzył oczy i uprzytomnił sobie, że nie patrzy na wieżę, lecz w dal, na świat. A ten świat zmienił się zupełnie. Przybrał kształt czary sięgającej aż po błękitny skraj horyzontu. W zdumieniu i zachwycie Jocelin uchwycił się kamiennego występu i osunął na klęczki. "Tak musi czuć się ptak" - pomyślał, i jakby dla zilustrowania tej myśli koło twarzy jego przemknął ukosem kruk, czyniąc ostrą wymówkę ludziom, którzy tak śmiało wdarli się do jego królestwa. A dalej za krukami - Jocelin puścił kamień i wstał, tak że mógł patrzeć ponad plecami schylonych robotników - rozciągały się doliny trzech rzek, spotykających się przy katedrze. Rzeki płynęły ku wieży połyskując w słońcu. I można było dostrzec teraz, że wszystkie miejsca oddzielne, gdy trzeba do nich dojść, i połączone jedynie jakąś wspólną racją istnienia, tworzą naprawdę całość. W kierunku północno-wschodnim widział trzy młyny, trzy odrębne kaskady na różnych poziomach, połączone milami wody wijącymi się ku katedrze. Widział nowy biały most w Stibury, widział nawet mniszki, lub raczej dwie z nich, w wirydarzu, choć to

była klauzura i ta obserwacja z daleka stanowiła jej naruszenie. Przypomniawszy to sobie skupił uwagę na nowym moście, zmrużył oczy i dojrzał długi sznur mułów, osłów, koni, przekupniów i wędrujących pieszo żebraków, a także wieśniaków obładowanych jarzynami, zdążających do straganów ustawionych w północnym końcu mostu. Był to dzień targowy w Stiibury, choć nie tu w mieście, o czym wiedział i przedtem, ale teraz widział to jak na dłoni. Radość uderzyła w niego jak skrzydła. "Chciałbym, żeby wieża miała tysiąc stóp wysokości - pomyślał - wtedy mógłbym mieć nadzór nad całym hrabstwem." I zdumiał się przypomniawszy sobie, czym dziełem będzie ta wieża. Jakby w odpowiedzi wydało mu się, że poczuł za plecami anioła ogrzewającego go na wietrze. Teraz nie miał żadnych wątpliwości: tu w górze, pośród stuku, szczęku i zgrzytu, pnąc się ku chmurom, czuł się wesół jak rozśpiewane dziecko. "Nie wiedziałem, że jeszcze potrafię być taki szczęśliwy!" Stał na deskach w podmuchach wiatru i pozwalał, by to uczucie szczęścia koło panujący w jego głowie zamęt. Przyglądał się uważnie pasom i skrawkom uprawnej ziemi i kopulastym wzgórzom

pnącym się ku falistej linii lasu na horyzoncie, miękkim, ciepłym i gładkim jak młode ciało.

Osunął się ciężko na kolana, przymknął oczy i przegnawszy się zatonał w modlitwie. "Nawet tu, w Twoje rejony, przynoszę z sobą całą moją niegodziwość. Bo świat jest inny. Zaludniają go gromady beznosych ludzi szczerzących zęby, wszędzie widać szubienice, domy rozpusty, pijaków w rynsztokach, krew przy porodach nie przestaje płynąć, pot w oranych brzdach nie wysycha. Nie ma tam jednej dobrej rzeczy, prócz tej dużej budowli, arki, schronienia, statku mogącego pomieścić tych wszystkich ludzi, który teraz otrzymuje maszt. Wybacz mi!" Otworzył oczy i wstał, usiłując odnaleźć swój radosny nastrój, spoglądając w górę, gdzie wznosić się będzie pozostała część wieży i wieżyca na niepojętej dla wyobraźni wysokości. Unosił się tam na skrzydłach duży ptak, a on powiedział głośno, wspominając świętego Jana:

- To orzeł.

Niemowa, który rzeźbił właśnie usta, popatrzył także w górę, i z uśmiechem potrząsnął głową. Jocelin podszedł, nachylił się nad nim i targnął jego kędzierzawą czuprynę.

- Mnie się wydaje, że to orzeł.

**Ale młody pograżył się znów w pracy. Na najbliższym skraju zbocza pojawiły się jakieś bryły i wzniesienia, jakby czarodziejskim sposobem wyrosły tam krzaki. W jego oczach uniosły się w górę i okazało się, że to ludzie. Inne bryły za nim zmieniły się w konie, żrebne oślice z koszami na grzbietach, cały sznur objuczonych towarem podróżnych. Szli od majaczącego niebieskawo w dali pasma wzgórz. Schodzili w dół ku niemu, ku wieży, katedrze, miastu. Nie poszli na zachód, lecz okrążyli Zimny Port, by przeciąć głęboki rów pożłobiony przez całe pokolenia kopyt. Oszczędzali czas, a może własny trud. W jasnowidzącym błysku ujrzał, jak inne stopy żłobić będą swój ślad prosto ku miastu, zrozumiał, że wieża wyciska piętno na krajobrazie, zmieniając go, górując nad nim, narzucając okolicy pewien charakter, tam wszędzie, gdzie widać tę wieżę, przez samą siłę swego istnienia. Rozejrzał się wkoło i ujrzał, jak prawdziwa jest jego wizja. Widać już było nowe drogi i grupki ludzi zdążających z uporem przez chaszczę i wrzosowiska. Okolica przybierała posłusznie nową postać. Niebawem, gdy wystrzeli nad nią ta wysoka wieża, miasto będzie leżało jak piasta pośrodku zaplanowanego koła. Ulica Nowa, Nowa Gospoda, Nowa**

**Przystań, Nowy Most. A teraz nowe drogi, którymi iść będą nowi ludzie. „Myślałem, że to będzie proste. Myślałem, że wieża uzupełni Biblię w kamieniu, stanie się kamienną Apokalipsą. W najśmielszej fantazji nie wyobrażałem sobie, że na każdym następnym jej poziomie objawiać się będzie jakaś nowa nauka, nowa moc. Nie mógł mi też tego nikt powiedzieć. Musiałem budować z wiarą, wbrew odmiennym radom. To jedyna droga. Ale gdy tak się buduje, ludzie tępieją jak marne dłuto lub odpadają jak głowica topora. Byłem zanadto pochłonięty moją wizją, by nad tym się zastanawiać; ona mi wystarczała”.**

**Popatrzył w dół na malutki prostokąt królestwa Pangalla, gdzie kamiennych stosów było już dużo mniej. Widział też niewielki kwadrat krużganków. Mógł nawet dojrzeć białe pionki warcabów pozostawione na parapecie arkady przez małych ministrantów. Obrzucił wzrokiem domy stojące wokół katedry. Ponad czerwonymi dachami widział jak na dłoni podwórza na tyłach domostw, a na nich krowy i świnie, które wyglądały jak małe cętki. Obserwował, jak jakiś starzec wchodzi ciężkim krokiem do ustępu i czując się wśród jego ścian bezpieczny, zostawia drzwi szeroko otwarte. O trzy domy dalej kobieta, drobna**

plamka bieli i duża plama brązu, wybierała się na wędrowkę od domu do domu. Trzymała dwa drewniane wiadra, a nosidła leżały obok pod ścianą. Zmrużywszy oczy dojrzał, że w wiadrach jest mleko. I uśmiechnął się smutno, gdy zobaczył, że kobieta dolewa do każdego wiadra trochę wody. Widział, jak je podniosła z ziemi i zniknęła na chwilę pod dachem, po czym ukazała się znów na ulicy i przeszła na drugą stronę, by ominąć leżącego w rynsztoku pijaka, który wybijał takt ręką, nie zauważając, że jakiś pies podniósł właśnie nad nim nogę.

- Nygus!

Drgnął i odwrócił się. Lecz Roger Mason nie patrzył na pijaka. Patrzył w bok na południowy wschód, w kierunku niewidocznego morza.

- Wszarz!

O siedem lśniących meandrów dalej widać było nad rzeką skupisko domów.

- Co ty tam widzisz, Roger?

- Patrzcie na złodzieja! Siedzi "Pod Trzema Beczkami". Zostawił swoją sztukę z kamieniem dla nas na brzegu i będzie chlał przez całą noc i jutrzejszy dzień. A my możemy sobie czekać!

- Mój synu...

- Co mnie to zresztą obchodzi? Albo was? Wyście wygrali! - ryknął majster.

Cisza. Oszołomienie jak po otrzymanym ciosie. Uniesione głowy. Ucichło ciosanie i stukanie.

- Cicho, Roger! Cicho!

- Cicho?! Ja...

Roger podniósł ręce do twarzy. Odezwał się spoza nich ochryple:

- Wracajcie do roboty.

Po chwili stukanie rozległo się znowu. Roger opuścił ręce nie patrząc na Jocelina. Odszedł i swoim niedźwiedzim krokiem zaczął się spuszczać po drabinach.

Dziekan patrząc, jak schodzi, uświadomił sobie jeszcze jedno. "Boję się zejść - pomyślał. - Moje miejsce jest tutaj. Ale muszę, bo nikt nie może żyć z orłami na szczytach". Zmusił się i zszedł obok "jaskólczego gniazda", z rusztowania na rusztowanie, w dół po kręconych schodach, w mroczną głąb, na ciemną twardą posadzkę u podstawy wieży. Miał interes do majstra, ale Rachela kręciła się pomiędzy nimi, tak że nie mógł się oderwać od jej gadaniny - ...dla samego ruchu chciałyby, och, Jak bardzo by chciała

wejść za Rogerem na samą górę, ale to tak wysoko, prawdziwy czyściec dla niej... - uróżowana twarz drgała gwałtownie, całe ciało dygotało. - Musi więc siedzieć na dole w tym śmietniku na skrzyżowaniu naw... To prawdziwa zbrodnia, że ten Pangall uciekł od swoich obowiązków, jak to mężczyzna... No, nie wszyscy mężczyźni są tacy, mogłaby wymienić paru, co by tak nie postąpili... Pójść sobie w świat, bez słowa, i zostawić Goody w ciąży na domiar wszystkiego... Biedaczka... Taka miła, kochana kobietka i teraz sama...

Szalony gniew porwał Jocelina, wściekłość na pijaka w rynsztoku i na tamtego drugiego w gospodzie "Pod Trzema Beczkami". Krzyknął w stronę odwróconej twarzy Rogera:

- Synu! Musisz wykorzystać mój autorytet. Poślij jednego z ludzi na dobrym koniu do gospody "Pod Trzema Beczkami". Każ mu wziąć bat i użyć go w razie potrzeby.

Odszedł w głąb nawy, uciekając od nieporządku i gadaniny. Szedł przed siebie, a łzy spływały mu po policzkach. "O, nauczyłem się - myślał - jaka jest siła w tej wysokiej wieży i jaka jej cena!"

**Gdy znalazł się przy drzwiach od strony zachodniej, opanował się zupełnie. Odwrócił się powoli i powiedział ochryłym głosem w kierunku wielkiego ołtarza:**

**— Usłyszałeś moje modlitwy. Boże. A to są łązy radości, żeś nie zapomniał o słudze swoim.**

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy wrócił na wieżę, głowy śpiewające "hosanna" wmurowane już były nad każdym oknem. Wychylił się nad rosnącym teraz szybko murem i popatrzył na nie z góry: każda miała rozwiane włosy i nos sterczący jak dziób. Krzyczały do śladów odciskanych przez stopy w dole, nie zwracając uwagi na ptaki, które siadały na nich i brudziły je białym kałem. Patrząc w szyb wieży widział przebudowane sklepienie; pozostawiono w nim jedynie okrągły otwór, przez który widać było kamienną posadzkę, tak ciemną, że prawie nie mógł jej dojrzeć.

Belki podawane na sztorc z dołu odbierali przez ten otwór robotnicy. Brał w tym udział - lub raczej obserwował, wciśnięty w kąt, jak w szaleńczym stuk, zgrzycie i krzyku układano na szczycie wieży te belki mające utworzyć podłogę w połowie jej wysokości. Bo wieża w drugiej kondygnacji miała się wznieść o następne osiemdziesiąt stóp, z jeszcze większą ilością okien, głów wyśpiewujących "hosanna", z następnymi rusztowaniami i drabinami, aż się w głowie kręciło na samą myśl o tym. Kręciło się przynajmniej tu na górze, gdzie ciężki masyw

tkwił między niebem a ziemią, wśród unoszących się nad nim ptaków, i dech zapierało ponad zmniejszającym się ciągiem kwadratów z okrągłym otworem na dnie, które równocześnie było sklepieniem.

Trawiony nieugiętością własnej woli wiedział, że praca ta jest błogosławiona. W grudniu zdarzały się dni, kiedy do katedry nie docierało słońce, a nawa przypominała jaskinię. W takie dni trudno było robić cośkolwiek w mrocznym kościele poza cierpliwym trwaniem w przekonaniu, że wreszcie wszystko skończy się dobrze, choć ciężar niższej części wieży i wyższej rosnącej teraz w górę czuło się nieomal we własnej głowie. W takie dni wspinał się zwawo po drabinach jak dziecko szukające pociechy u matki. Starał się jednak nie myśleć o matce. Bo gdy pomyślał, Goody z rudymi włosami ukrytymi pod chustą stawała mu w myśli, raniąc jak sztylet i wyciskając łzy z oczu.

W jeden z takich dni szedł przez dziedziniec ze swego mieszkania do drzwi w ścianie zachodniej katedry, za ledwie widząc własne stopy z powodu mgły. W nawie jej nie było. Panowały tam ciemności, choć oko wykol. Wszedł kręconymi schodami na górę i stanął na leżących tam

belkach w oślepiającym blasku. Bo tu świeciło słońce. Lecz promienie zalewające pomost nie dorównywały mocą blaskowi jarzącemu się wyżej, który złocił ołów, kamień, szkło i spód belkowanego dachu, tak że widać było wyraźnie każdy ślad topora. Gdy dziekan wspiął się na wyższą kondygnację i po drabinach i pomostach, gdzie robotnicy ze zsiniałymi rękami pracowali wytrwale, dotarł na nie wykończony jeszcze szczyt, słońce oślepiło go do bólu i musiał na chwilę przycisnąć dłonie do oczu. W dole widział ziemię, lecz żadnych na niej szczegółów. Nad doliną i miastem rozpościerała się mgła, którą przebijała tylko wieża. Dziwnie go to pocieszyło i na razie uspokoiło. Przychodziły też inne dni, kiedy nawet wieża tonęła we mgle. Wtedy praca szła wolniej lub ustawała zupełnie, a on czuł się jak uwięziony na ziemi i przytłoczony ciężarem tego wszystkiego. Brygada pracowała jakby na dnie morza, ciosając drzewo w szopach. W szopie stojącej koło otworu w ścianie nawy północnej leżały zbite z belek ośmioboki, układane w piramidy. Rosły te stosy wyższe od człowieka. Cieśle kreślili na nich dziwne znaki, a potem znów je rozbierali, majster zaś dumał nad kratkowanym modelem wieży, który miał kształt oślej czapki. Prawie się do niego

nie zbliżano, bo stał się niepopularny wśród swoich ludzi. Był zbyt ponury, zbyt szorstki, zbyt często wpadał we wściekłość, a po takim ataku zamykał się w sobie i tylko Rachela, uróżowana, podniecona, paplająca bez przerwy krążyła wtedy koło niego. Jocelin, który czuł teraz głębokie współczucie dla tego niewolnika pracy, z przykrością patrzył, jak wspinał się on wolno, uparcie po drabinach, jak stał patrząc w górę lub w dół, wciąż z tą samą uwagą posługując się przyrządem pomiarowym - albo też przystawał na skrzyżowaniu naw i nasłuchiwał. Często było czego słuchać. Pod koniec grudnia kamienie znów zaczęły drzeć wydając śpiewny dźwięk. Nie rozbrzmiewał on jednak stale. Chór mógł nieraz przez całe tygodnie śpiewać w kaplicy Mariackiej bez przeszkód. Ale po jakimś czasie ludzie uświadamiali sobie, że coś im przeszkadza, i próbując określić, co to takiego, orzekali, że powietrze jest za zimne i za suche; a w końcu dochodzili do wniosku, że coś świdruje im w uszach i nie wiadomo dlaczego utrudnia słuchanie. Później wierzący świder stawał się słyszalnym dźwiękiem; następnym doznaniem było uczucie rozdrażnienia i lęku. Nawet mieszkańcy miasta i podróżni z dalekich stron podchodzili do drzwi od strony zachodniej i

stali tam słuchając zadziwiającego i groźnego śpiewu kamieni. Nigdy jednak nie wchodzili, jak dawniej, na skrzyżowanie naw. Robotnicy usłyszawszy ów głos przerywali pracę i spoglądali na siebie, a potem pochyłali się znów nad robotą. Rzadko słyhać było wśród nich śmiech. Jedyne Jocelin, jak zawsze niezłomny, znajdował pogodną odpowiedź na to, że wszystkim świdruje w uszach:

– To minie.

Niemniej, w miarę jak zima zdążała ku wiosnie, krokusy ku powierzchni ziemi, a wieża ku niebu, kamienie odzywały się coraz częściej. W tym czasie Jocelin odkrył u majstra jeszcze coś innego. Obserwował go dotąd z niepokojem, taksując jak narzędzie służące do budowy, liczył jego kroki po drabinach, wyczekiwał chwili, gdy będzie on potrzebował naostrzenia lub mocniejszego wbicia klina w trzonek. Ale choć go bacznie obserwował, wiedział jedynie, jak Roger Mason wygląda i jak się porusza. Aż pewnego dnia spoglądając w dół patrzył na majstra wchodzącego na wieżę. I ku swemu zdumieniu pojął, że ma on lęk przestrzeni, tak samo jak Rachela, choć starał się opanować strach. Żył wśród tych wysokości, należały do jego zawodu. Nigdy się jednak mini nie cieszył, jak cieszył

się dziekan, nie znał chyba uczucia zapierającej dech radości, gdy człowiek stał na rozchwianej desce tu w górze, gdzie nie słyhać już było śpiewu kamieni, na chwiejącej się, drgającej desce nad przepaścią w dole. Dokonawszy tego odkrycia Jocelin patrzył z litością, jak Roger wdrapywał się na wieżę. Widział, że wspina się ostrożnie, powoli, nigdy niefrasobliwie jak niektórzy robotnicy; widział, że stale rozgląda się szukając, czego można by się uchwycić; widział ciemny otwór z ciemną posadzką na dnie i rozumiał, dlaczego majster woli iść o cal czy dwa bliżej ściany niż środka drabiny. Zacinał drobny deszczyk, zlepiając włosy Jocelina, ale on stał swobodnie w podmuchach wiatru na szczycie wieży i czekał na Rogera, widząc z góry tylko jego głowę, ramiona i otaczającą go sieć.

- Czego się lękasz, synu?

Majster stał przed nim oddychając głęboko. Schwycił się ręką za brzeg muru.

- Znowu śpiewają.

- No to co? Śpiewały i przedtem, i przestały. Popatrzył przed siebie w drobny deszcz.

- Wiesz, o czym myślałem, Roger? Ten krzyż w górze...  
ten, co tam stanie...

- Tak, wiem.

- Czy on będzie wyższy niż człowiek? Na modelu wygląda jak mały krzyżyk, który dziecko mogłoby nosić na szyi.

Majster zamknął oczy i zacisnął szczęki. Jęknął.

-Co ci jest, Roger? Co chcesz mi powiedzieć? Majster popatrzył na dziekana stojącego na tle nieba i wyrzekł ochryple:

- Ulitujcie się!

- Nie zaczynaj znowu!

- Wielebny ojciec...

- No co?

- Już dość.

Jocelin nie przestawał się uśmiechać; ale jego uśmiech tężał. Roger wyciągnął wolną rękę wymownym gestem.

- Ludzie są już zachwyceni wspaniałością tego, cośmy...  
co wyście... - Odwrócił się, oparł łokciami o mur i ukrył  
twarz w dłoniach, tak że głos miał teraz stłumiony. -  
Powiedziałem: ulitujcie się!

**- Nie ma nikogo innego prócz ciebie. Majster milczał z twarzą zakrytą dłońmi. Nie podnosząc jej odezwał się po chwili:**

**- Spróbuję wyjaśnić wam to, co wiem. Kamienie śpiewają. Nie wiem, dlaczego, ale umiem zgadywać. Widzicie, w tym właśnie kłopot, że ja zawsze tylko zgaduję. W gruncie rzeczy nie wiem nic. Nie tak jak wy... - Popatrzył z boku na Jocelina. - Wy, gdy przemawiacie do wiernych, wiecie. Prawda?**

**- Tak.**

**- A my zgadujemy. Oceniamy, że to lub tamto ma dostateczną wytrzymałość. Ale nigdy nie wiemy na pewno, czy mamy rację, czy nie, póki nie zostanie położony cały ciężar. No i ten wiatr, ten wiatr, który na razie burzy wam tylko włosy... - Popatrzył gniewnie na dziekana. - Macie przyrząd do mierzenia ciężaru wiatru, ojczy? Dajcie mi go, a powiem wam, co ustoi, a co się przewróci.**

**- Przecież filary stoją mocno. Powiedziałem ci, że ustoją.**

**- Zaczęły jednak śpiewać.**

**- Czy nigdy przedtem się z tym nie spotkałeś?**

- Nigdy. Otaczają nas zupełnie nowe rzeczy. Zgadujemy tylko i budujemy dalej. - Przechylił do tyłu gruby kark i wpatrzył się w niebo. - A teraz jeszcze wieżycy. Następne sto pięćdziesiąt stóp. Ojczy... skończmy już!

Ustami Jocelina przemówiła spokojnie jego niezłomna wola. Słyszał ją w sobie.

- Rozumiem cię, mój synu. Musisz zdobyć się na jeszcze trochę odwagi. Czy mam ci powiedzieć, w czym leży sedno rzeczy?! Pomyśl o łątce, która żyje tylko jeden dzień. Tamten kruk nad nami wie może coś o dniu wczorajszym i przedwczorajszym, Wie, jak wygląda wschód słońca. Wie też może, że słońce wzejdzie znowu. Ale łątka tego nie wie. łątka nie pojmuje nawet, co to znaczy być łątką. I tu dochodzimy do sedna rzeczy. Nie zamierzam prawić ci kazania na temat przerażającej krótkości życia na ziemi. Wiesz równie dobrze jak ja, że to nie do zniesienia, a znieść to trzeba. Ale z nami sprawa ma się inaczej, bo my zostaliśmy wybrani, my dwaj. Jesteśmy jak te łątki. Nie potrafimy powiedzieć, jak to będzie tam, na górze, coraz wyżej. Musimy jednak przeżywać nasz dzień, z każdą minutą przeżywając coś nowego. Roger uważnie mu się przyglądał, oblizując wargi.

- Nie, nie rozumiem was, ojcie. Wiem, ile będzie ważyła wieża, nie wiem natomiast, na ile okaże się mocna. Spójrzcie w dół, wychylcie się za mur, popatrzcie na okna, przypory, w dół aż do wierzchołka cedru na krużganku.

- Widzę go.

- Pozwólcie, by oko wasze pełzło w dół jak owad, wolno, coraz niżej. Wydaje się wam, że te mury są wystarczająco mocne, bo to kamień. Ale ja wiem lepiej. Nie ma tu nic poza ścianą ze szkła i kamienia rozciągającą się pomiędzy czterema kamiennymi słupami. Rozumiecie? Kamień nie jest mocniejszy od szkła, bo przy każdym calu muszę oszczędzać na ciężarze, wymieniając siłę na ciężar albo ciężar na siłę, zgadując, ile, jak daleko, jak mało, jak blisko, aż serce mi staje, gdy o tym myślę. Patrzcie w dół, ojcie! Nie na mnie, tylko w dół! Spójrzcie, jak umocnione są kolumny w rogach! Ścisnąłem je klamrami, ale mimo to nie będą mocniejsze od kamienia. Kamień pęka, kruszy się, łamie. Choć filary śpiewają, może jednak ten ciężar ustoi. Mogę położyć teraz dach i umieścić na nim wiatrowskaz, który widać będzie na mile.

Jocelin stał się nagle bardzo spokojny i bardzo poważny.

**- Mów dalej, synu.**

**- Ta wieża to czyste niepodobieństwo! Czy nie rozumiecie, że musieliście wejść tak wysoko, by to pojąć?**

**'To będzie kamienna ściana na kamiennej konstrukcji. A w środku te ośmioboki, coraz to mniejsze, im wyżej w górę. Ale wiatr, ojcze! Musiałbym złączyć te ośmioboki i umocować je u kamiennej nakrywy, by swoim ciężarem trzymały ściany. Ciężar, ciężar, ciężar, ciężar! Wszystko tu się sumuje. Wszystko opiera się na kolumnach, na ścianach, na rozedrganych, śpiewających filarach... - Położył rękę na rękawie Jocelina. - I to jeszcze nie koniec. Jakkolwiek obmyślam, wieża nie będzie się wznosiła pionowo. Będzie wystrzelała ponad tymi czterema kolumnami - w bok! Mógłbym umieścić na ich wierzchołkach pinakle, by je obciążyć - powinienem był to zrobić - ale istnieje granica ich ciężaru właśnie dlatego, że są ciężkie. W jakim punkcie mam zrezygnować z jednego na korzyść drugiego? Moglibyśmy ułożyć pierwszy ośmiobok i drugi, i może trzeci - ręka jego zacisnęła się na ramieniu Jocelina - ale prędzej czy później w katedrze rozległby się znowu trzask. Spójrzcie jeszcze raz w dół, ojcze! Prędzej czy później rozlegnie się trzask, huk, ryk. Te cztery kolumny otworzą**

się szeroko jak kwiat, i wszystko: kamienie, żelazo, drewno, szkło, ludzie - runie w dół jak wodospad górski. - Znów milczał przez chwilę. Potem głos jego przeszedł w szept: - Powiadam wam, ojczy, wszystko może być niepewne w moim zawodzie, ale to jest pewne. Ja wiem. Widziałem już walący się budynek.

Jocelin miał oczy zamknięte. W jego głowie ośmioboki, zbite z dębowych na stopę grubych bali, wznosiły się jeden nad drugim. Przez chwilę, gdy tak stał z zaciśniętymi zębami, poczuł, że twardy kamień porusza się pod nim i chwieje. Ośła czapka, wysoka na sto pięćdziesiąt stóp, zaczęła się drzeć i pękać, i ześlizgiwać się w dół wśród kurzu, dymu, huku coraz szybciej i szybciej, aż pękła i zsunęła się w buchające płomienie, a potem spadła na posadzkę nawy, uderzając w nią tak mocno, że płyty kamienne rozpryskiwały się jak drzazgi, póki -nie przykryły ich gruzy. Obraz ten był tak wyraźny, że i on upadł wraz z filarem, który zawisnął nad krużgankiem, zgięty w połowie jak noga, burząc bibliotekę niczym cios cepa. Otworzył oczy, kręciło mu się po upadku w głowie. Trzymał się kurczowo parapetu, a krużganki w dole kołysały się przed jego oczyma.

**-- Co powinniśmy zrobić?**

**\_ przestać budować.**

**Odpowiedź padła z miejsca; zanim jeszcze minął mu zawrót głowy i krążganki znieruchomiały, nagle pojął, że majster wiódł rozmowę do tej właśnie odpowiedzi.**

**\_ Nie! Nie! Nie! Nie!**

**Potrząsając głową mamrotał te słowa z pełnym zrozumieniem. Wiedział, że odrzuca wszelkie uzasadnienia, ostatnią deskę ratunku, rozmowę na temat budowy, tajemnicę nie wyjawioną tam w dole, na twardej ziemi, ale ciągle to jeszcze rozważał, wciągał niejako wieżę w zacisze własnych myśli, wykorzystywał ją jako dźwignię podpierającą otchłań, bo wszystko to doprowadzić mogło jego wolę do klęski.**

**- Nie!**

**Teraz wreszcie odpowiedź zabrzmiała twardo. Replika ostrza na ostrze. Trzask - trzask!**

**- Mówię ci, Roger, że to można zrobić.**

**Majster odbiegł z wściekłością i stanął w rogu, odwrócony plecami do Jocelina. Z twarzą wystawioną na deszcz patrzył w pustkę.**

**- Słuchaj, Roger...**

**“Co ja mu mam powiedzieć? Mówiłem o łątce i w pięć minut potem nic z tego nie pamiętam. Niech przemówi do niego mój nieugięty upór.”**

**- Próbowałeś mnie nastraszyć, tak jakbyś straszył dziecko opowieścią o duchach. Przemyślałeś to sobie dobrze, prawda? A jednak wiesz, że nie możesz odejść. Nie możesz! Nie możesz! Przez cały czas twój dociekliwy, genialny umysł szukał wyjścia z niemożliwości. Znalazłeś to wyjście, bo to potrafisz. Nie wiesz sam, czy to wyjście dobre, ale na pewno najlepsze, jakie znalazłeś. Boisz się jednak. Najlepsza częśćka w tobie chciałaby spróbować, ale reszta biadoli i skomli. - Stał tuż obok ^szerokich pleców i mówił v/ deszcz i pustkę. - Powiem ci coś, czego nikt nie wie. Ludzie uważają może, że jestem szalona. Ale to nie ma znaczenia. Dowiedzą się kiedyś, gdy ja... Słuchaj, mówię teraz do ciebie jak mężczyzna do mężczyzny tu w górze, na tej nie ukończonej wieży, gdzie nikt nie może nas usłyszeć. Synu mój, ten budynek to wykres modlitwy, a nasza wieża będzie wykresem najwznioślejszych modłów. Bóg objawił mi to w jasnovidzeniu, mnie, swemu marnemu słudze. Wybrał mnie. I wybrał ciebie, byś wypełnił ten wykres szkłem, żelazem i kamieniem, bo ludzie potrzebują czegoś,**

na czym oko ich mogłoby spocząć. Czy myślisz, że zdołasz uciec? Nie jesteś w mojej sieci - tak, Roger, rozumiem wiele, wiem, jak jesteś wciągnięty, omotany, udręczony - to nie moja sieć. To sieć Jego. Żaden z nas nie może wymówić się od tej pracy. I jeszcze jedno. Zaczynam rozumieć, że nie możemy tego pojąć, bo w miarę budowy ciągle coś nowego się dzieje. Uważasz, że to nie ma sensu. Przeraza nas to wszystko i gdzie tu rozsądek? Ale od kiedy to Bóg wymaga od wybranych, by byli rozsądni? Nazywają to Szaleństwem Jocelina, prawda?

- Słyszałem, że tak mówią.

- To nie moja sieć i nie moje szaleństwo, Roger. To szaleństwo Boże. Nawet w dawnych czasach On nigdy nie żądał od ludzi, by postępowali rozsądnie. Rozsądek mogą zachować dla swoich spraw. Mogą kupować, sprzedawać, leczyć i rządzić. Ale w pewnej chwili z głębi przychodzi rozkaz, by zrobić coś, co nie ma żadnego sensu - zbudować statek w bezwodnej okolicy, usiąść na gnojowisku, ożenić się z ladacznicą, poświęcić syna na ołtarzu. A potem, jeśli ludzie mają wiarę, zdarza się cud.

Milczał przez chwilę, wpatrując się w zacinającym. deszczu w plecy Rogera. "To mój głos wypowiedział te

**słowa - myślał. - Nie. Nie mój. Głos przemożnej Woli mego Pana."**

**- Roger!**

**- Słucham?**

**- Zbudujesz wieżę aż do wierzchołka. Myślisz, że to twoje ręce, ale one nie są twoje. Myślisz, że to twój mózg pracował, dręczył się tym problemem, a teraz dumny jest w skrytości, że go rozwiązał. Ale tak nie jest. Tak samo jak nie wyszły z mego mózgu słowa, które wypowiada mój głos.**

**Umilkli znowu. A dziekan czuł, że jest z nimi ten trzeci, anioł, stojący za nim w deszczu i chłodzie i ogrzewający go. Na koniec odezwał się majster głuchym, zrezygnowanym głosem:**

**- Stal. Może stal. Sam nie wiem. Można by opasać długą stalową taśmą całą wieżę tu w górze i umocnić w ten sposób kamienie. Nie wiem. Nikt nigdy jeszcze nie zużył tyle stali. Ciągle nie wiem. I kosztowałyby to drożej, dużo drożej.**

**- Znajdę na to pieniądze. - Prawie nieśmiało wyciągnął rękę i dotknął ramienia majstra. - Roger.., Widzisz, On nie jest niepotrzebnie okrutny. Tym, którzy tego potrzebują, bo są słabi, zsyła nawet pocieszyciela, by stał za nimi i**

wspierał ich. Ogrzewał w deszczu i chłodzie Ty jesteś niezbędny. Pomyśl, jak musi się czuć długo wkuwane, wbijane godzinami w twarde drewno. Ale potem zostaje naoliwione, owinięte w szmatę, odłożone w spokoju na bok. Dobry robotnik nigdy nie używa narzędzia do tego, czego zrobić nie potrafi; nigdy go nie lekceważy; dba o nie. - Urwał myśląc: „Mówiąc o nim, mówię i o sobie. Kiedyś odczuwałem radość. Dziwne, że J''<sup>2</sup> jej nie odczuwam. Tylko tęsknotę za spokojem". -

- Pamiętaj, Roger, kiedy zbudujesz wieżę i będzie stała i wszyscy będą ją oglądać, może zerwiesz się. " ^ Nie wiem, o czym mówicie - mruknął majster. - Ale buduj szybko... szybko! Zanim ulegniesz większemu złu, bo wtedy się nigdy nie pęknie... -Majster odwrócił się ze spuszczoną głową, która opada jeszcze niżej. - Zachowajcie "wasze kazania dla siebie.

- ...bo wszyscy staliście się dla mnie bezcenni... ty i reszta... Dzięki wam zaczynam żyć.

- Co ksiądz dziekan chce przez to powiedzieć? >>Co chciałem powiedzieć? Coś o Goody i Racheli. Muszę do niej przemówić, tak jak mówiłem teraz do niego, raczej jak

przemówiła doń Najwyższa Wola." Skinął głową w kierunku majstra.

- Muszę zejść na dół. Mam tam coś do załatwienia. ,  
Zaczął schodzić po drabinach razem ze swoim aniołem  
Zanim zniknął z oczu Rogera, usłyszał, jak ten wyszeptał:

- Chybaście szatanem. Samym szatanem. Lecz był już  
tak nisko, że nie usłyszał nic więcej,

A Filary zaczęły znowu swój śpiew. Śpiew ten sprawił,  
zanim dotarł na skrzyżowanie naw, zapomniał, po co  
zszedł.

Potem budowa wieży ustała prawie na miesiąc, za to  
wyrósł na niej las małych wieżyczek. Było ich dwanaście po  
trzy w każdym rogu, z jedną wyższą pośrodku. Roger  
spędzał teraz mniej czasu z robotnikami, powierzając ich  
Jehanowi, który odnosił się do ludzi przyjacielsko i  
wszystko obracał w żart. Jocelin został więc suszony do  
zajęcia się własnymi sprawami i starał się nadrobić  
stracony czas, choć długa jeszcze droga leżała przed nim.  
Majster przebywał przeważnie na dole, rozmawiając z  
ludźmi zatrudnionymi przy konstrukcjach żelaznych,  
Rachelą zaś rozmawiała z nim. Oddalili się w ten sposób od  
Jocelina, a że na szczycie wieży roilo się od ludzi, mógł tylko

czasem, wyciągnąwszy szyję, dojrzyć, co się tam dzieje. Obserwował, jak o dwieście pięćdziesiąt stóp nad ziemią Jehan namawiał łagodnie kamieniarzy do wykuvania otworów w występach muru, by można go opasać stalową wstęgą, która miała ściśle przylegać do kamieni. Stojąc czasem na wierzchołku wieży, wśród lasu wieżyczek, Jocelin widział, jak ożywa długa szopa nad rzeką. Dymiło się stamtąd. I przez cały dzień i pół nocy młoty waliły jak chór nie zestrojonych dzwonów. A gdy zapadła ciemność, mógł dojrzyć blask ogni na rzece. Wnętrze wieży, prócz środkowego otworu, wypełniały dwa wzniesione piętra. W miarę jak wyrastały pinakle, robotnicy usuwali stopniowo niepotrzebne rusztowania. Wyjmowali elementy konstrukcji ze ścian i zamurowywali większość otworów. Tym, które pozostały, przyglądały się z uwagą i zainteresowaniem gołębie i kruki. Wkrótce nie pozostało prawie nic prócz zwisających z góry lin i stromych drewnianych schodów biegnących zygzakiem w górę wokół ściany. Jediną prowizoryczną konstrukcją pozostawioną w wieży było „jaskółcze gniazdo”, gdzie robotnicy trzymali swoje narzędzia, a majster przyrządy pomiarowe. A ponieważ u podstawy wieży miało powstać niebawem

obszerne pomieszczenie, nawet "jaskółcze gniazdo" skazane było na usunięcie. Resztę rusztowań zgrupowano teraz wokół wierzchołka, przypominającego rozczochraną głowę lub bocianie gniazdo nad fantastycznym, wysokim na osiemdziesiąt stóp wodospadem okien.

Pewnego dnia Jocelin wyszedł z burzliwego zebrania kapituły, gdzie wiadomość o dodatkowych wydatkach przyjęta została z niedowierzaniem i oburzeniem. Zrozumiał w końcu, że będzie musiał położyć pod tymi dokumentami własną pieczęć, co uczynił w siedzibie dziekańskiej ucinając dalsze dyskusje. Ale napięcie, w jakim siedział w kapitularku, sprawiło, że powrócił znów jego histeryczny śmiech. Anioł, choć pozostał darem nieba, stał się nagle wielkim udręczeniem. Wola jego osłabła tak, że nie mógł panować nad myślami i obrazami, które przepływały mu przez głowę, obrazami wieży, rudych włosów i wilczego wycia, aż zatęsknił za cudownym spokojem panującym na wieży. Wyszedł na dziedziniec i nagle stwierdził, że nie słyszy żadnych odgłosów, że świat wstrzymał niejako oddech, bo w szopie panowała cisza. Wszedł do nawy i wśród odprawiających się nabożeństw usłyszał cichy głos; to wysokie filary jęczały: .iiiiiiiiiiiiii...,

jakby uciskający je ciężar stał się nie do zniesienia. Dziekan wdrapywał się wolno, spokojnie po kręconych schodach ku ciszy i szczęściu, tam gdzie zgrupowały się wieżyczki. Szedł cicho jak duch. I dlatego znalazłszy się w połowie drewnianych schodów usłyszał jęk. Zatrzymał się, pochylony pod ciężarem anioła, z nogami na dwóch różnych stopniach, uchwyciwszy się poręczy. Był to głos zwierzęcia schwytanego w pułapkę, które jakiś czas szamotało się w sidłach, a teraz stało się już tylko bezradną nędzą. Dziekan spojrział w bok, w kierunku „jaskółczego gniazda”. Miało ono u góry otwór przepuszczający światło. Stał w nim pion ze świeżego nie odartego z kory pręta. I było tam jeszcze coś innego: ręka ściskająca pion. Jocelin, który wielokrotnie widział tę rękę - dotykającą kamienia czy drewna, manipulującą jakimś pomiarowym przyrządem, zaciśniętą w gniewie lub uniesioną w rozpacz - znał jej ogorzałą czerwień, jak znał bladość własnych dłoni. Lecz w momencie, gdy ją zobaczył i rozpoznał brudnobiałe knykcie - zanim zdążył pomyśleć, do kogo ta ręka należy, inna ręka, mniejsza, bielsza, delikatniejsza, zsunęła się na tamtą i uchwyciła ją kurczowo. Z otwartymi ustami, bez ruchu, nie drgnąwszy powieką, stał na

**schodach. I usłyszał jej głos, głos pełen jęku i błagania, głos szczery i słodki:**

**- Ale ja się nie śmiałam, prawda?**

**Twarde palce zsunęły się z pionu, dwie dłonie w uścisku zginęły jedna w drugiej. A potem bardziej znany głos wydobył się z gardła z trudem, jak z najgłębszego otworu pod posadzką:**

**- O Boże!**

**Jocelin cofnął się na drabinie, ciągle z otwartymi ustami. Stał na belkach nad sklepieniem, z pochyloną głową, zakrywszy rękami uszy. Chwiał się i rozglądał po kamiennych ścianach. Trafił po omacku do kręconych schodów i potykając się zszedł na dół. A tam, w ciemności, przed jego szeroko otwarte oczy napłynęły falą wspomnienia... Dziewczyna w zielonej sukni wbiegająca na dziedziniec i zwalnijająca przykładnie kroku przed księdzem dziekanem, wielbnyim ojcem... Nieśmiały uśmiech, dziecinna piosenka. A wszystko to zauważane, pochwalane i w końcu wyczekiwane, tak, wyczekiwane, spodziewane, pieszczone w marzeniach... Ciepło wokół serca, nieziemska radość... A potem żona kulawego kościelnego... Włosy ukryte pod chustą... Namiot...**

**- O, nie! Boże drogi, nie!**

**Oto cena budowy. Wszedł w końcu do katedry wśród rozśpiewanych filarów, gdzie krążyła Rachela, która puściła się ku niemu biegiem; na ten widok roześmiał się swoim histerycznym śmiechem. Rogera nie ma w odlewni ani przy stosach drewna, jest na wieży lub na schodach, głodny, wyczerpany... - szła za nim gadając i paplając przez całą nawę aż na osnuty zmierzchem dziedziniec. Odwrócił się przy drzwiach, by ją pobłogosławić w swoim i jej strapieniu. I ujrzał ją w mrocznym cieniu posągów świętych i męczenników, w jaskrawo czerwonej sukni, nie układającej się w fałdy na krępych ciele, z rękami przyciśniętymi do ust, milczącą już teraz, trwającą w napięciu, z bolesnym wejrzeniem wyłupiastych już nieco oczu, z uróżowaną twarzą.**

**Następnego dnia wieczorem zniknęło "jaskółcze gniazdo"**

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zaczął się teraz modlić; ale i modlitwa jego się zmieniła. Klęczał pochylony w małym szarym pokoiku, w napięciu i lęku, a gdy podniósł wzrok tam, skąd zawsze przychodziła pomoc, płonęła w tym miejscu kaskada ogniście rudych, upiętych w węzeł włosów, aż się skulił ze strachu. „Muszę poświęcić to wszystko” - powtarzał sobie. A potem już bez słów, bezwolnie stwierdzał, że w jego mózgu kołacze się tylko jedno pytanie: “Dokąd?” Jeśli celowo oderwał się od myśli o włosach, następowało parę chwil względnego wyzwolenia; potem jednak, jakby ktoś czy coś przyniosło je z powrotem, włosy znów się pojawiały przed nim, spływały w dół, lśniące, żywe. I ona pojawiała się także; jej zielone wstążki, rozdarta suknia, ciemne plamy oczu utkwionych przed siebie. Wstawał wtedy i szedł gdziekolwiek. Czasami powtarzał energicznie: “Do roboty! Do roboty! Do roboty!” i popędzał ludzi zatrudnionych przy budowie, uprzytomniając sobie po chwili, że oni o niczym nie wiedzą. Pewnego razu, gdy stał w rogu pustej katedry, zagubiony w szalejącej w nim burzy, ujrzał, że przeszła przez nawę ciężkim, niezgrabnym krokiem

ciężarnej kobiety. Poczł rozczulenie i pożądanie, i gorączkową lubieżną ciekawość, by się dowiedzieć, jak to było i gdzie, i kiedy. Bo słowa, które usłyszał w "jaskółczym gnieździe", wyrwały go niejako ze spokoju w chaos, gdzie tamtych czworo grało swe role w jakimś bezbożnym związku. Kiedy na chwilę oprzytomniał, z wiru myśli i skojarzeń wyłonił własny krzyk, bo długa kamienna nawa rozbrzmiewała jeszcze jego echem; "nie wiedział jednak, co krzyknął.

"Muszę pójść do niej - myślał. - Muszę ocalić, co się da ocalić". Ale nawet ta myśl budziła w nim lubieżne chęci i wiedział, że gdyby znalazł się sam na sam z Goody, nie robiłby nic innego, tylko pytał, podpatrywał i domagał się wyjaśnień, nie wiedząc sam dobrze, czego właściwie chce. Nagle uświadomił sobie, że on, wysoki, chudy mężczyzna, przyodziany w sutannę, stoi z zaciśniętymi pięściami w rogu katedry, wpatrując się w drewniane przepierzenie. Wszedł ponownie na' pustą wieżę, mijając miejsce, gdzie kiedyś znajdowało się "jaskółcze gniazdo", na widok którego zbrakło mu na chwilę tchu i poczuł ukłucie w sercu. Zmusił się do spojrzenia z wieży na świat, gdzie inni ludzie zajmowali się swoimi nie znanymi mu sprawami. I

zobaczył, że wielu z nich przestało się nimi zajmować. Przyciągnęła ich wieża i las wieżyczek. Wyloty ulic prowadzących na teren przykatedralny nie były nigdy puste. Stojący tam ludzie spoglądali w górę, a twarze ich z tej odległości wyglądały jak zamazane. Gdy jedni odchodzili, miejsce ich zajmowali inni. Patrząc na nich poczuł w sercu ogromną gorycz i rzucił na wiatr słowa:

- Co wy wiecie o tym?

Cichy wierzchołek wieży wydawał mu się bardzo realny. Obejrzał go dokładnie: kamienny las wznosił się wokół miejsca, skąd miała wystrzelać wieżyca. "To zupełnie niepodobne do mojego modelu, do mojej wizji - myślał - ale robimy, co się da. Choć może oni nie wiedzą, co to jest wykres szaleństwa."

Krzyknął głośno:

- Do roboty! Do roboty! Do roboty! Dlaczego nie ma tu nikogo?

Zszedł szybko z wieży, by odnaleźć majstra. Zanim dotarł do posadzki w dole, irytacja jego zmieniła się we wściekłość. Ale Roger był zajęty. Zebrał robotników w szopie przy nawis północnej i mówił coś do nich burkliwie. Kiedy Jocelin to usłyszał, gniew jego zgasł i zmienił się w

niespokojne pragnienie, by już był z tym koniec. Roger Mason dawał każdemu z zebranych instrukcje, zależnie od jego umiejętności, i dziekan zrozumiał, że zajęci są sprawą stalowej taśmy; stwierdziwszy to, niezdolny do modlitwy, wrócił do swego mieszkania, gdzie zjawił się zaraz anioł, a także szatan, i gdzie obieżyły go myśli o bezbożnym związku, i tak czekał świtu. Duży dzwon w wysokiej dzwonnicy bił, jak zawsze, nierówno, a wszystkie drogi wiodące do katedry rozbrzmiewały głosami i krokami. Poszedł zajrzeć do robotników, lecz Roger odpędził go od wieży ze stanowczością, która zdziwiła i poruszyła ich obu. Dziekan chodził więc i krążył w kółko, niczym Rachela po dziedzińcu. A potem wrócił do swojego pokoju, przypomniawszy sobie, co ma zrobić. Napisał długi list do Kseni ze Stiibury, podając pewne fakty - ale nie wszystkie - i prosząc, by na podanych warunkach przyjęła biedną upadłą kobietę. Następnie poszedł do nawy i patrząc na filary pomyślał nagle, że czują się one chyba tak samo jak on. Ale przynajmniej nie doznają tego szczególnego okropnego ucisku wokół serca, będącego czysto ludzkim przywilejem. Nie miał nic do oglądania na budowie, poszedł zatem do długiej szopy, gdzie były tylko kamienne

**ośmioboki i majster cieśla. Ośmioboki są chyba wystarczająco ciężkie, by oprzeć się najsilniejszej wichurze. Tak powiedział cieśla i zamachnąwszy się młotem rozbił szósty z kolei. W głosie jego było coś, co skłoniło Jocelina do dalszych pytań, ale cieśla nie chciał powiedzieć nic więcej.**

**Słońce stało już dość wysoko, a cienie cofały się po dziedzińcu ku ścianom, które je rzuciły. Był też wśród nich nowy cień - wieży. Gdy ześlizgiwał się z domu kanclerza, Jocelin dostrzegł, że jego koniec drży lekko. przebiegł przez dziedziniec do miejsca, gdzie stali gromadą ludzie. Kiedy się odwrócił i spojrzał w górę, zobaczył, że z wierzchołka wieży unosi się dym. Gdziekolwiek szedł tego dnia, krążąc i przystając, i ilekroć się zatrzymał i popatrzył w górę, widział, jak dym bije w niebo, nie gęstniejąc, ale i nie rozwiewając się, tak że wyglądało ono, jakby drgało. Dym nie przestał snuć się nawet wtedy, gdy cienie katedry rozpełzły się już w inną stronę. A kiedy zapadła ciemność, Jocelin mógł dojrzeć łunę nad wieżą, od czasu do czasu zaś z szerokiego ołowianego dachu dobiegały głosy ludzi, którzy tam leżeli, spali, jedli lub pili wodę ze swoich kubelków. Dziekan poszedł spać; wyrwał go jednak z łóżka dziwny odgłos dobiegający z wieży, ten sam nierytmiczny**

stuk, który zwykle rozlegał się w szopie nad rzeką. Naciągnął na siebie płaszcz i wyszedł na dziedziniec pomiędzy gromady rozgadanych, roześmianych ludzi z miasta. Z wierzchołka wieży płynęły strumienie iskier. Tryskały z żarzącej się w górze łuny i nie gasły przez tę chwilę, gdy przesłaniał je dach. Nagle z wieży dobiegł krzyk, a potem nawoływania i głośnie wrzawa; na chwilę iskry przestały się sypać. Zanim jednak obserwujący to z dołu ludzie mogli orzec, co się stało, iskry znów kaskadą posypały się w dół. Po chwili z drzwi w nawie północnej wyszedł potykając się mężczyzna z ręką owiniętą w zmoczone oliwą płótno. Nie zwrócił uwagi na pytania Jocelina, lecz ruszył w kierunku ulicy Nowej, jęcząc i przeklinając. Mnóstwo ludzi oglądało się za nim. Jocelinowi wydawało się, że obudziło się całe miasto i stoi na ulicach, wokół katedry i w otwartych oknach, i że wszyscy patrzą w górę. Przez całą cichą noc wieża jaśniała, sypała iskrami, dymiła coraz słabiej wśród gwiazd. Na godzinę przed świtem dobiegający z niej nierytmiczny dźwięk ucichł. Zamiast iskier buchały teraz strumienie pary, bezbarwne jak kamienie w cieniu i zlewające się z nimi. O świcie znikły nawet obłoki pary. Napowietrzne paleniska, z których

spadały kawałki węgla drzewnego i kapala woda, zsuwały się po szklanych płaszczyznach na dach, skąd uprzątały je stojące tam ekipy. Tuż przed wschodem słońca Jocelin, półprzytomny z głodu i niewyspania, wyruszył na powitanie ludzi schodzących z wieży. Ale oni nie zwracali na niego uwagi. Szli chwiejąc się i potykając, z otwartymi szeroko oczami, które go nie dostrzegały, widząc tylko gdzieś w dali - łózko; nogi same ich niosły. Staął czekając na Rogera; mdliło go wprost z niewyspania. Ale Mason nie zszedł wcale, W końcu dziekan wszedł nieśmiało na skrzyżowanie naw, a potem zaczął się piąć po kręconych schodach w górę. Zanim z nich wyszedł, zapomniał o wszystkim, pamiętając jedynie o istnieniu wieży. Bo we wschodzącym słońcu i pierwszych podmuchach wiatru wieża gadała, stękała, jęczała, skrzypiała, protestowała, a od czasu do czasu rozlegał się na niej głuchy trzask, aż serce w piersi stawało. Przypomniawszy sobie jednak, czyja to budowla, opanował szcęknięcie zębami i szedł dalej; minął kąt, gdzie się znajdowało niegdyś "jaskółcze gniazdo", i wspinał się po stromych schodach, aż dotarł na drewniany dach i znalazł się wśród kamiennego lasu, na zalanym wodą pogorzeliisku. Gdy uchwycił się brzegu muru i spojrzął w dół, zobaczył w

dali mnóstwo zamazanych twarzy patrzących w górę. Zobaczył też stalową taśmę, szeroką na stopę i na dwa cale grubą, nabitą niebieskawymi nitami. Na całej długości przylegała ściśle do potrzaskanych i pokiereszowanych kamieni. Ona sama natomiast żyła i wydawała głos. Krzyczała głośno, przemawiała z patosem, a w przerwach podzwaniała równomiernie.

Pochylił się i padł na kolana, wpatrując się w otwór pomiędzy blankami. „Jestem tu - myślał. - O to właśnie chodzi. To moje miejsce. Nie potrafię pracować w drewnie, stali czy kamieniu. Ale jestem po to, żeby tu być". Skulił się i chciał się modlić; lecz zanim zaczął, osunął się na podstawę pinakla i usnął, a jego sześcioskrzydły anioł nadleciał niewidzialny i stanął za nim, by go ogrzewać.

Obudził go podmuch rozwiewający mu włosy; wydobywał się wolno ze snu, który się oddalał pozostawiając go samego z wiatrem. Otworzył oczy i w nagłym zawrocie głowy pojął, że patrzy w dół na krużganki, nieomal pionowo, dwieście pięćdziesiąt stóp w dół. Zamknął znów oczy zaciskając je mocno i szukając w swojej głębi cichego miejsca snów. Lecz one rozwiały się już na dobre i wiedział, że to nieuchronnie następny dzień,

który trzeba znieść, jak znoszą ciężar filary. "Byłem wierny - Pomyślał- - Doszliśmy już tak daleko." Myśl ta była na tyle pocieszająca, że zagłębił się w niej przez chwilę, a potem otworzył oczy i o niczym więcej nie myślał. Wiatr burzył mu włosy wysuwające się spod małej piuski i wycisnął z oczu ostatnią łzę snu. Niemniej coś tu było inaczej. Zmusiło go to do myślenia; chciał dociec, co się zmieniło. Doszedł, co to takiego, przez własne ciało, dotykając kością biodrową i policzkiem wieżyczki, i nagle - bang! - brzęknęła stalowa taśma potwierdzając, że słusznie myślał. Nowość tkwiła więc w samym kamieniu. Była tak subtelna, że jedynie ów osobisty, bliski kontakt ciała ze świeżo oszlifowaną powierzchnią mógł ją wykryć. Nowość tkwiła w kamieniu, w kamieniu, który dotykał prawym bokiem. Ten kamień - dotknął go ręką - ten. "Bardziej czy mniej twardy?" myślał gładząc go. Przez chwilę w wyobraźni kamień wydał mu się miękki jak poduszka. "Ja jeszcze na pół śpię" - pomyślał. Ale o blanki otarł się w przelocie kruk wydający chrapliwy skrzek, realny, słyszalny, uchwytny. Dziekan leżał patrząc tępo na krążanki w dole, gdzie obute w sandały nogi i rąbek sutanny

przesunęły się wolno w dalekiej perspektywie łuków arkady.

Ministranci zostawili znów swoją grę na parapecie. Nie mógł dojrzeć kwadratów szachownicy wydrapanych w kamieniu, ale widział leżące na niej białe kościane pionki. Widział niektóre, kilka tylko, bo kamień pomiędzy blankami zasłaniał mu róg szachownicy. Patrzył z jakimś dzieciennym zaufaniem na grę, na te białe pionki, dwa, trzy, cztery, pięć...

Przyciskał mocno policzek do wieżyczki i wiedział, że się nie poruszył. Nagle ukazał się szósty pionek, wsunął się w zasięg jego wzroku wraz z następnym kwadratem szachownicy, na którym stał. Jocelin wiedział, że się nie poruszył; lecz wiedział też, że to wieża drgnęła, lekko, bezdźwięcznie, choć filary na dole mogły krzyczeć swoje iiiiiiiiiiiiii...w tej chwili. Patrzył i patrzył, jak biały pionek wsuwa się w zasięg jego wzroku, a potem znika. I wiedział, że wieża się chwieje pod nim jak wysokie drzewo.

Odwrócił wolno oczy i popatrzył na szczątki spalonego drewna i wysychające kałuże wody. "Nie wolno mi krzyczeć ani uciekać - myślał. - To byłoby niegodne wizji". Wstał ostrożnie, czując własny ciężar w nogach. Zszedł powoli,

uważnie z rozgadanej wieży, po stromych drabinach i kręconych schodach, do pustej katedry. Filary znowu śpiewały. I teraz pojął coś z rytmu tego śpiewu. Zmusił się, żeby przystanąć na skrzyżowaniu naw, i słuchał, jak za pokutę. Milczały może przez dwie minuty. A potem - iiiiiiiii - zabrzmiały pełnym głosem na tej samej nucie i wreszcie stopniowo ucichły. Popatrzył na nowe płyty posadzki. "Tu miałem widzenie - pomyślał - na tych kamieniach. Tu przed laty padłem na ziemię i poświęciłem się tej pracy. I byłem wierny. Wszystko w Twoich rękach". A potem wolno, nie oglądając się, odszedł z tego miejsca. Ale nie na tym skończył się dla niego ów dzień. Kiedy przyszedł do swego mieszkania, czekał tam człowiek, który z listem przyjechał konno pięć mil ze Stiibury. I gdy Jocelin ujrzał, jak szybko może dotrzeć na miejsce przeznaczenia list i przyjść nań odpowiedź, w pierwszej chwili pomyślał, że Stiibury znajduje się zbyt blisko, za chwilę zaś stwierdził, że jednak to dość daleko. Wziął list, złamał pieczęć i czytał. Owszem, w Stiibury gotowi są przyjąć tę nieszczęśliwą kobietę, lecz na innych warunkach, niż on zaproponował, to znaczy po wniesieniu znacznego posagu. Podszedł do kufra i wyjął z niego pieniądze. "Wiem, co powiedzą - myślał. -

**Najpierw Szaleństwo Jocelina, a teraz dziewczka Jocelina. Ale nie dbam o to, co będą mówić. Żyłem tak długo wśród drwin, że już ich nie dostrzegam. Tego też nie zauważę". Przeszedł znów przez dziedziniec i wkroczył do katedry pod śpiewające kamienne filary, a potem południową nawą ruszył do królestwa Pangalla. Stał w drzwiach, patrząc na chylącą się ku ziemi chatę, i serce mu się ścisnęło. Stał i czuł, jak wzbiera w nim fala cierpienia. "To jest najgorsze - myślał. - Zrobię to i będę miał spokój! Muszę to zrobić dla mego własnego dobra, dla dobra jego i mojej biednej córki".**

**Zdobył się na odwagę i chciał wejść do chaty. Zanim jednak zrobił krok, drgnął i zachwiał się. Dojrzał jakiś czerwony błysk: to Rachela Mason przebiegła pędem przez dziedziniec do drzwi chaty, otworzyła je gwałtownym ruchem i wpadła do środka. Natychmiast potem rozległ się stamtąd łomot i wrzask; Rachela wykrzykiwała jakieś straszne słowa. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i potykając się wyszedł na podwórze majster, osłaniając rękami okrwawioną głowę. W chwilę później wypadła za nim Rachela. Przeklinała go ochryłym głosem, waliła miotłą po głowie i ramionach, a w palcach trzymała kosmyk**

rudych włosów, który migał i trzepotał, gdy wymachiwała miotłą. Nie przestawała wrzeszczeć, pienieć się i nie widziała nic poza przedmiotem swoich ataków, który przesywała wzrokiem. Tych dwoje przeszło potykając się obok Jocelina, nie zwracając na niego uwagi. Słyszał, jak w katedrze odgłosy wymierzanej sprawiedliwości zwielokrotniły się, i wiedział też, że są tam robotnicy, bo dobiegł do niego ich śmiech. Stał chwilę rozglądając się w prawo i w lewo. Potem spieszonym krokiem przeszedł przez dziedziniec i z pieniędzmi w ręku stanął w otwartych drzwiach. Zobaczył Goody Pangall w pozycji półklęczącej przed wygasłym ogniem, nad którym czarny garnek na łańcuchu chwiał się jeszcze, zataczając małe koła. Ciężar jej ciała spoczywał na biodrze i rękach, nogi miała podkurczone pod siebie. Światło padające z otwartych drzwi oświecało jej nagie ramiona i spuszczoną głowę w kaskadzie rudych potarganych włosów. Szlochała, z trudem chwytając powietrze, całe jej ciało jakby falowało. Długi cień dziekana padł na kobietę. Podniosła oczy, zobaczyła go i krzyknęła. Wyciągnął rękę, by ją uspokoić, ale ona nagle sama się uspokoiła, jakby się opanowała, przykucnęła i zdawała się wpatrywać we własne wnętrze. Rozkurczyła

nogi i wykonała pod spódnicą gwałtowny ruch; rękami schwyciła się za brzuch i znowu krzyknęła. Lecz był to inny krzyk niż przedtem: krótki, ostry, niczym okrutne cięcie noża. A potem krzyczała już tak bez przerwy. Pieniądze wypadły mu z ręki. Odwrócił się i biegł przez dziedziniec. Wpadł do nawy południowej z krzykiem:

- Sprowadźcie szybko kobiety! Na miłość Boską! Położną!

Robotnicy zaczęli biegać w kółko po katedrze, sprzeczać się i krzyczeć. Jocelin wypadł z powrotem na dziedziniec, gdzie rozlegał się nadal rozdzierający krzyk.

Padł na kolana powtarzając w myśli bezładnie i błagalnie: "Ulituj się, ulituj! Nie wiedziałem, że to będzie to... Nie to, wszystko, tylko nie to... Przerwij ten ból, ten ból nie do zniesienia..." Przesuwały się koło niego jakieś stopy, rozbrzmiewały krzyki i dalsze spory. Podniósł się z klęczek i pobiegł do drzwi chaty, by pomóc, by zrobić coś, cokolwiek. "O, ulituj się!" Jakies ręce podtrzymywały uniesione wysoko w górę cienkie nogi, biały brzuch drgał wśród krzyku, na rozsypanych po podłodze monetach widniała krew - świat zawirował mu w oczach. Kiedy oprzytomniał, musiał wziąć udział w przerażającej

ceremonii chrztu. A potem przyszły kobiety i ojciec Anzelm z olejami i Hostią, którą wsunął w blade, skurczone usta. Jocelin chodził po dziedzińcu od przypory do przypory, pochylając się i przytulając do kamieni; trzął się jak trzcina na wietrze. Prawie po omacku dotarł do prezbiterium i ukląkł, by się modlić za nią, ale oczyma ducha widział tylko włosy i krew. "To się stało, kiedy mnie zobaczyła - myślał. - W jej pojęciu byłem przedstawicielem Kościoła, oskarżycielem, chciała uciec przede mną. Boże, ocal ją, a ja oddam ci za to resztę mego życia, byle ona znalazła spokój... I połów kres temu krzykowi i krwi, i śpiewowi kamieni w mojej głowie! Już rok minął, jak ich ujrzałem, namiot rozciągał się nad nimi wszędzie, gdziekolwiek się ruszyli, a ja przyzwaliałem na to pod Twoim okiem. Przeszło rok temu ja..."

Kłęczał i nie widział już nic, tylko szalejącą z bólu kobietę. Chwilami wzdrygał się i jęczał. Lub mówił:

- Byłem człowiekiem strzeżonym. Nigdy nie zetknąłem się z czarownicą.

A potem zapomniał o swoich kolanach, o głodzie, o wszystkim, w chaosie migawkowych obrazów, które stawały mu przed oczyma, jakby były ze sobą powiązane,

choć nie było w nich sensu ani żadnego ładu. Uplanowane małżeństwo i "jaskółcze gniazdo". Włosy, krew i kulawy mężczyzna z miotłą, kuśtykający przez katedrę. Nie zgłębiał tego wszystkiego, lecz cierpiał jęcząc i dygocząc. Nagle, jak narodzone, pojawiły się w nim słowa, które zdawały się wiązać ściśle z całym jego życiem, z jego grzechami i przymusowym okrucieństwem, a przede wszystkim ze straszliwym żarem jego oddanej idei woli. Były to słowa śpiewane niekiedy przez chłopców z chóru w dniu Wielkanocy, niezwykle słowa, ale jedyne, które w tej chwili coś znaczyły: "Tom czynił z prawdziwej miłości".

Późnym wieczorem, gdy jeszcze klęczał skulony i drżący ojciec Anzelm przeszedł po omacku wzdłuż pograżonych w mroku stalli i powiedział mu, że Goody Pangall nie żyje.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Złożono ją w zimnej ziemi, a on błąkał się nie bardzo wiedząc, co się wokół niego dzieje. Błąkał się i mówił tylko do siebie lub co najwyżej do jakiegoś niewidocznego towarzysza. Spostrzegał nieraz, że idzie przez nawę południową z ręką zaciśniętą na piersi. I przypomina! sobie, że mówił coś i powtarzał w kółko. Nawet jeżeli czasem pamiętał, co mówił, lub gdy usłyszał swój głos w połowie słowa, słowo to nie miało żadnego sensu. Stawał wtedy rozglądając się dokoła, z uniesioną głową i zaciśniętymi pięściami. Robił duże wysiłki, by się opanować i dociec, co się z nim dzieje. Uświadamiał sobie wtedy, że wzbiera w nim jakieś uczucie, rosnące w piersi jak poziom ciemnej wody. Często stał za nim jego anioł; to go wyczerpywało, bo anioł to był zaszczytny, lecz przytłaczający ciężar, pod którym uginał się grzbiet. Poza tym po wizycie anioła - jakby dla utrzymania go w pokorze - szatan bywał doń dopuszczany i dręczył go ściskając mu lędźwie i budząc lubieżne pragnienia.

I znów spostrzegał, że powtarza bez końca jedno słowo: nie, nie, nie, nie, nie, albo tak, tak, tak, tak. I za każdym

razem uderza lekko wierzchem dłoni w klęcznik. Było tak zawsze wtedy, gdy ciemne wody w jego wnętrzu uniosły się nieco, napierając na piersi i uciskając je. Stawał wtedy twarzą do ściany, dotykał ręką, raz za razem jej płaskiej powierzchni i stwierdzał, że nie mówił nic, nic, nic, nic, nic. W jego myślach pojawiała się też wieża, jej wierzchołek rysował się w prostych geometrycznych liniach, lecz otaczały go i inne rzeczy. Niekiedy Jocelin kierował na wieżę swój wewnętrzny wzrok; i wtedy spieszył do katedry, by czuwać, wspierać, dodawać odwagi.

W stosunku do pewnych ludzi oko jego nabrało nowej bystrości. (Sprawiło to cierpienie, sprawiło to cierpienie, sprawiło to cierpienie.) Widział z przerażającą wyrazistością, jak w objawieniu, że majster wrócił do Racheli, lub raczej że wszyscy widzą, iż zagarnęła go na :nowo. (To dobra kobieta. To dobra kobieta. To dobra kobieta. Stuk. Stuk. Stuk.) Tych dwoje nigdy nie wszczynало już sprzeczek. Trzymali się razem, lecz nie kręcili się koło siebie. Roger Mason stał pilnując roboty, lekko pochylony, posępny, skupiony na tym, na co właśnie patrzył. Ona stawała za nim, trochę z boku, i nie śledziła wzrokiem budowy, lecz męża. Patrząc na nich nowymi oczyma,

**dziekan widział żelazną obrożę na szyi Rogera i luźno puszczony łańcuch łączący tę obrożę z prawą ręką Racheli. Kiedy Roger wdrapywał się na górę, ona zostawała na dole, z łańcuchem w ręku, czekając, by go znów do niego przyczepić. Pomyślał nagle: „ Gdybym mu teraz kazał budować tysiąc stóp w górę, zrobiłby to. Osiągnąłem, co chciałem.”**

**(Nie, nie, nie, nie, nie, nie, przyciskał rękę do krawędzi grobowca i unosił ją, przyciskał i unosił.)**

**Raz nogi bezwiednie zaniósły go do królestwa Pangalla, gdzie drzwi do nędznej chaty stały otworem. (Boże, Boże, Boże, powtarzał ciągnąc, szarpiąc i okręcając na palcach długie łodygi chwastów.) Podążył spieszenie z powrotem do kościoła i znalazłszy się tam skreślił do kaplicy Mariackiej. Wargi jego wymawiały te, co zawsze, słowa, ale widział (nie, nie, nie, nie, nie,) białe ciało i wylaną daremnie krew. Pomyślał o Anzelmie. Wiedział jednak, że nie potrafiłby wyjaśnić należycie tych rzeczy jego szlachetnej pustej głowie. (Muszę zmienić spowiednika. Muszę zmienić spowiednika. Muszę zmienić spowiednika.) Zanim skończył wypowiadać w myśli te słowa, zapomniał już o nich, bo znowu powróciła ona, jej umęczone ciało i okropna**

ceremonia chrztu. Westchnął, wpatrzył się uważnie w słój drzewny, który miał przed oczyma, i powiedział głośno, lecz z pokorą:

- Jestem bardzo niemądry. I zaraz przyszła pomoc, jakby to anioł szepnął mu do ucha:

- Myśl o niej takiej, jaka była przedtem.

Z radością więc przywołał na myśl dziewczynę o niezgrabnych, lecz wdzięcznych ruchach, wracającą z koszykiem z targu. Poderwał się z miejsca i pobiegł przed siebie; mało brakowało, a byłby nie zauważył kanclerza. Musiał się zatrzymać, skinąć mu głową i uśmiechać się, gdy ten mówił coś do niego. Ale myśl jego cofnęła się o te pięć szczęśliwych lat, kiedy kłuło się tamto małżeństwo, a gdy to wspominał, kanclerz znikł. (Taki odpowiedni, taki dobrany związek, obaj ojcowie wierni słudzy kościoła, zatrudnieni na stosownych dla nich stanowiskach.)

“Ale ja się nie śmiałam, prawda?”

(Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, przyciskał i przyciskał rękę do ściany...)

Trzeba iść szybko na skrzyżowanie naw, tam najważniejsza robota, istotny problem, racja istnienia, złożony na barki ciężar. I Rachela, postarzała, mniej gadatliwa,

**patrząca mu w oczy, prowokująca go do tego, by źle myślał o niej - ale któż by mógł źle o niej myśleć? Pośród zameężnych kobiet to naprawdę bohaterka, nie ma powodu w to wątpić, przecież z takim trudem odzyskała męża. Filary rozśpiewały się znowu i zapomniał o niej słuchając ich, pojmując, że wraz z tym dźwiękiem nadszedł strach i wypędził z kaplicy Mariackiej zmniejszone już grono wiernych.**

**(To mali ludzie, mali ludzie, mali...)**

**Znowu mówił głośno:**

**- Ale są i wielcy, ci, którzy budują.**

**Jakby w odpowiedzi na te słowa jakiś mężczyzna oderwał się od pracy i zszedł na dół chwiejnym krokiem. W torbie niósł narzędzia i naciągał na głowę granatowy kaptur. Minął Jocelina, jakby go nie widział, i zniknął w nawie północnej.**

**- Wracaj!**

**Stary otwór w nawie był już teraz drzwiami, które zamknęły się z hałasem. Ukazał się w nich po chwili kantor domagający się rozmowy z tak kamiennym spokojem, że widać było, iż jest wściekły. A zmarła kobieta i niemożność**

skupienia się w modlitwie, i dezercja robotnika... Dziekan zatkał sobie uszy rękami i kołysał się z boku na bok.

- To konieczność. Nieunikniona konieczność. Muszę zostawić wszystko i być z tymi ludźmi. Nie mają wiary, potrzebują mnie. Rozdzielcie inne obowiązki pomiędzy siebie. Ja będę już tu stale na wieży. Spojrzał w górę, tam gdzie się ona zaczynała, i nawet nie zauważył, kiedy kantor odszedł. Pospieszył do majstra.

- Teraz już zawsze będę z wami. Roger spojrział na niego chmurnie znad swojej żelaznej obroży.

- To dobrze, księże dziekanie. To bardzo dobrze. Jocelin przypomniał sobie o kantorze i krzyknął za nim:

- Czy ojciec słyszał?!

A filary nie milkły. Podkasał sutannę i wspiał się wysoko na wieżę. Spotykając po drodze ludzi zagadywał do nich wesoło i śmiał się, a oni odpowiadali trochę wymuszonym śmiechem. Mówili mu o długiej linie i o tym, że chyba jest zaczarowana, aż w końcu sam ją obejrzał. Opadała w dół wieży przez otwór nad skrzyżowaniem naw, a jej koniec leżący na posadzce przypominał martwego węża. Przyglądał się uważnie wciągany na tej linie belkom, z których miały być zbijane ośmioboki. Słyszał, jak

robotnicy na dole odpowiadali niewyraźnie na wołania z góry, a potem ładunek unosił się wśród ciszy. W pewnym punkcie lina, mimo ostrożności, z jaką nią manewrowano, zaczęła kręcić się w kółko i zwijać, ocierając się o brzegi otworu, tak że wciągnięcie przezeń ciężaru wymagało bardzo dużej uwagi, aby nie uderzyć o kamień i nie roztrzaskać go.

Zobaczył Rogera, który wspinał się w górę ku podstawie wieży. Usłyszał, że Rachel z dołu wykrzykuje jakieś polecenia, wdrapawszy się na taką wysokość, n& jaką starczyło jej odwagi. To mu przypomniało "jaskółcze gniazdo", więc bez tchu prawie dotarł powyżej miejsca, gdzie się ono kiedyś znajdowało. Powiedział głośno do swego anioła:

- Ona nigdy nie weszła tak wysoko. Ale robotnicy usłyszeli jego słowa i nie zrozumiawszy, o kim mówi, zaczęli się śmiać.

- Nie. Tu od niej spokój.

Jehan popatrzył w dół na wdrapującego się po drabinie majstra i pobudził robotników do śmiechu mówiąc:

- Któregoś dnia pójdzie jeszcze za nim do ustępu. Tego dnia Jocelin zrobił nowe odkrycie: Roger Mason zaczął pić

Odtąd obserwował go uważnie i przekonał się, że nie tyle upijał się on alkoholem, co zapijał nim. Jego oddech był nieomal widoczny. Popijał tu czy tam, wchodząc na wieżę albo stojąc na drabinie, albo też przykucnąwszy pod osłoną rosnącej w górę ściany. Gdy Jocelin uświadomił to sobie, przeżył moment strachu, jak pasażer statku z pijanym kapitanem, strach jego jednak szybko minął. Od tej chwili nie zwracał uwagi na nikogo, kto normalnie pracował i żył na ziemi.

Filary śpiewały dalej. Do Jocelina przenikały w tym czasie wieści, że one jedne w całej katedrze śpiewają. Nabożeństwa odprawiały się teraz ku powszechnemu oburzeniu w pałacu biskupim. Gdy szedł czasem ze swego mieszkania do katedry, przecinał drogę któremuś z dostojników kościelnych. Nie miał jednak nigdy przykrości z tego powodu. Napotykana persona patrzyła tylko na niego dalekim, lodowatym wzrokiem. Nawet kiedy ojciec Anzelm powiedział mu, że niebawem przybędzie dostojny wizytator i przywiezie Święty Gwóźdź, Jocelin powtórzył obojętnie: "Wizytator" - i zniknął w górze.

Jego ciągła obecność na wieży nie przydała się na nic, jeżeli chodzi o majstra. Rzeczą pewną i nieuniknioną, jak

**jakiś proces w naturze, stało się jego pijaństwo. Czasem pochmurniał i kłął paskudnie, poganiając murarzy. Kiedy dziekan znajdował się w pobliżu, majster bluźnił w takich słowach, że przepędzał myśli o białym cieple z głowy Jocelina. Siadał on potem w kącie, by nie słyszeć przekleństw, a dziewczyna wracała znowu: wspominał, jak to jej nogi złościły złociste ścieżki na dziedzińcu, w katedrze, na targowym placu. I jęczał zakrywając twarz dłońmi:**

**- Ona nie żyje! Nie żyje!**

**Niekiedy znów Roger bywał sztucznie i głupkowato jowialny i próbował zmusić do picia każdego, kto się znalazł w pobliżu. Przeważnie był jednak niemrawy i szorstki, wspinając się ciężko po drabinach. A gdy praca wyznaczona na dany dzień dobiegła końca, schodził na dół, gdzie Rachela brała go za obrozę i uprowadzała z sobą. Jocelin kiwał głową i mówił z przekonaniem:**

**- Wszystko mu jedno, czy żyje, czy nie. Mimo to, gdy prześladowała go następnego dnia, a on nie odchodził od Rogera, by się jej pozbyć, stwierdził, 'że osądził go fałszywie. Rogerowi nie może być obojętne, czy żyje, czy nie, w przeciwnym razie strach nie uchwyciłby go tak**

wyraźnie w swoje szpony. Trudno było właściwie wyjaśnić, dlaczego strach majstra tak się rzucał w oczy. Jocelin -widział go równie wyraźnie, jak dostrzegął poprzednio namiot i łańcuch. I widział, że strach ten jest instynktowny jak u zdrowego zwierzęcia. Było to niejako zatrucie strachem, jak dawny lęk przestrzeni u Rogera. Dlatego chwycił się mocno czegokolwiek, przyglądał się z bliska wszystkiemu, a wysokości znosił, bo musiał. "Nie zależy mi naprawdę na życiu - myślał Jocelin. - Chciałby umrzeć, ale boi się spaść z góry. Ucieszyłby się z wiecznego snu, ale nie za cenę upadku. To drugi powód, dlaczego chodzi po rusztowaniach, popijając łyk tu, łyk tam, zionąc gorącym, cuchnącym oddechem."

Tak to paru ludzi pracowało u podstawy wieży: jeden pijany, drugi odwracający oczy od ziemi, gdzie widział ciągle złocisty szlak wyżłobiony przez nogi dziewczyny; inni mniej więcej przy zdrowych zmysłach. Była jeszcze zwariowana drewniana podłoga na szczycie wieży. A ponieważ ten rodzaj wariactwa był dla Jocelina zrozumiały, przyciągała go, bo nie widział nic podobnego w szopie koło nawy północnej. Naprawdę przykuwało to uwagę. Ośmiobok spoczywający na podłodze miał na swojej po-

wierzchni rowki wyżłobione w równych odstępach, a w każdy z nich wbity był klin. Robotnicy umieścili na nim drugi ośmiobok, wspierający się na tych klinach. A lina - tak mocna, że mogłaby utrzymać statek - opasywała niższy ośmiobok i łączyła kliny. Kiedy spytał Rogera, na co to wszystko, nie usłyszał nic poza gradem przekleństw; zaszył się więc w kąt dumając smętnie nad własnymi sprawami. Pewnego wieczoru, gdy Roger, mruczając pod nosem, zszedł po drabinie w dół, Jocelin odciągnął na bok Jehana i wskazał na kliny.

- Wytlumacz mi, dlaczego to zrobiono. Ale Jehan roześmiał mu się v/ nos.

- To wariactwo. Dziekan potrząsnął go za ramiona, jak czynił dawniej.

- Ja muszę wiedzieć. To także moja robota. Jehan wzruszył ramionami i Jocelin zdjął z nich ręce.

- Wszystko opiera się na tych klinach.<sup>1</sup> Majster chce umocować drewnianą konstrukcję w kamieniu szczytowym. Jeżeli przedtem zerwie się burza, wszystko runie trzaskiem. Jeśli nie, będzie rozluźniał po trochu linę, pozwalając, by ośmioboki i elementy konstrukcji pomiędzy nimi opadały nieco w dół. Całość będzie w ten sposób

wisiała i umacniała wieżę przed wiatrem. O to chodzi. Kopnął jeden z klinów.

\_ On myśli, że to wszystko opadnie - taka masa.

Kto wie? Może i ma rację. \_ Widziałeś już kiedyś coś podobnego?

Jehan roześmiał się.

\_ A czy ktoś budował kiedy tak wysoko?

Jocelin obrzucił wzrokiem kamienną ścianę wokół nich.

- Może gdzieś za granicą. Różne rzeczy opowiadają.

- Jeżeli warstwa kamienna się nie rozkruszy i kamień szczytowy nie pęknie... Jeżeli drewno okaże się dostatecznie rozciągliwe, a filary to wytrzymają...

Znów kopnął klin, potrząsnął głową i gwizdnął smętnie. - Nikt poza nim nie wpadłby na taki pomysł.

- Roger?

- Jest pijany i szalony. Ale trzeba być wariatem; żeby budować coś tak wysokiego.

Odwrócił się i zaczął gramolić się w dół przez drzwi zapadowe. Po chwili dobiegły do szczytu drabiny jego ostatnie słowa:

- My tu wszyscy na górze jesteśmy zwariowani. Tak to Jocelin dowiedział się czegoś o majstrze. "Musze podzielić się z nim moją siłą" - myślał. Następnego ranka trzymał się blisko Rogera i wypytywał;

- Jak się to nazywa, mój synu? A to?

Lecz Roger Mason nie chciał od niego nic. Na koniec wrzasnął:

- Co to jest? Nie ma nazw na kawałki kamienia czy drewna. To pasuje do tamtego, a tamto będzie może pasować do czego innego. Proszę mi dać spokój!

Wdrapał się w górę ciężko jak niedźwiedź i przystanął w połowie drabiny, by pociągnąć łyk. Jocelin szedł za nim nie dlatego, żeby być z majstrem, lecz by przycupnąć pośród robotników na szczycie wieży, gdzie wiedział, że zostanie mile przyjęty. Z początku nie rozumiał, dlaczego tak go witają, ale w końcu doszedł do wniosku, że jest lekarstwem na strach. A to rozumiał doskonale, bo jego anioł był z nim teraz dzień i noc i oddawał mu tę samą przysługę, co sprawiało ulgę, choć -grzbiet chylił się nieco pod tym ciężarem. Przychodził do katedry o świcie i stawał niejako pośrodku swego tycia człowieka dorosłego. Jeśli praca się jeszcze nie rozpoczęła i jeśli zdołał uciec w myśli

od złocistych śladów stóp, stał i próbował zgłębić niepojęte fale uczuć, które w nim wzbierały. "Jak się to nazywa? A to?" Czasem stojąc w mrocznym kościele marzył, choć pamięć o wieży nie pozwalała wysnuwać zbyt szybkich wniosków.

"Kiedy się to skończy, będę wolny". Albo: „Widzisz, to część ceny".

Albo: "Znam Anzelma jako człowieka. I tego. I tamtego. Ale jej nigdy nie znałem. Byłoby dla mnie takie cenne, gdybym..."

„Jak się to nazywa? A to?" Raz pośród szarego świtu, kiedy przez całą godzinę czuł w sobie spokój, olśniła go myśl, która wydawała się bez znaczenia, jak czysta ściana, a była równie ważna jak narodziny dla dziecka. Patrzył na drewniane przepierzenie oddzielające go od kaplicy Mariackiej i przypominał sobie pewne rzeczy, które mu się przytrafiły, ale miał wrażenie, że wydarzyły się one w innym życiu. Był Bóg!

Stał wpatrując się w szare filary i w szare światło sączące się poprzez postacie patriarchów na ambonach w oknach nawy głównej.

**“Czy i to się wlicza?” - zapytał drewnianą ścianę. Ale nie otrzymał odpowiedzi. Podążył spieszenie ku drabinom, dotarł do nich równocześnie z robotnikami i pobłogosławił ich. Potem, zajęty wieżą, nie myślał już o niczym.**

**Obecna praca w zwężającej się wieżycy wymagała wzniesienia następnego rusztowania. To był początek, nie koniec. Linie wieży zbiegały teraz ku dołowi, tak że jej masyw nie miał już solidnej podstawy; wyglądał jak strzała wbita w ziemię, zakończona u góry niekształtnym kłocem. Wyczuwalne kołysanie nie ścisnęło już jak przedtem serca ludziom, którzy nauczyli się żyć w powietrzu. Lecz w rytmicznie powtarzających się nawrotach napięcia i jego zelzenia był jakiś upust, nie tyle dla mięśni, ile dla ducha. Jocelin przekonał się, jak napięcie narasta; po pewnym czasie człowiek stwierdzał, że wstrzymuje oddech, i na chwilę odczuwał ulgę, póki napięcie nie narosło znowu. Była też pewna korzyść z pracy na wysokości trzystu stóp nad ziemią. Kiedy wiał wiatr, nie słyszało się śpiewu filarów, choć się wiedziało, że są tam w dole: cztery wbite w ziemię iglice podtrzymujące ogrom z drewna i kamienia. Lekarstwem uzdrawiającym była praca wymagająca największego skupienia. Ściany stożkowatej wieży trzeba**

było budować z ogromną dokładnością, bo tylko wtedy mogła ona osiągnąć swą pełną siłę. Z wyjątkiem dni bezwietrznych poziomica umieszczona na podłodze na szczycie wieży zdradzała objawy lekkiego szaleństwa, poruszając się chwiejnie jak dusza w otchłani. Wtedy majster nie odzywał się do nikogo, lecz rozmyślał ponuro; czasem obrzucał wymysłami któregoś z robotników. A potem zaczęło się dziać coś innego, czego nikt nie umiał określić. Następowало to wolno jak obniżanie się temperatury powietrza. Może była to świadomość, że znajdowali się teraz tam, gdzie nie dotarł dotąd żaden człowiek. Nikt nie potrafił dokładnie dostrzec nowego prawa, nowej groźby, a jednak jakaś obawa przylegała lekko do skóry. Rzadko teraz toczyły się na wieży spokojne rozmowy; panowała tam raczej cisza przerywana czasem sprzeczką toczoną półgłosem lub nagłym wybuchem złości. Niekiedy rozlegał się śmiech; czasem znów lały się łzy. Zdarzały się także dezercje. Jednym z dezerterów okazał się niski, suchy, pomarszczony Ranulf. Był jednym z tych, którzy milczeli, bo mówił po angielsku tak źle, że prawie nikt go nie rozumiał. Pracował ze ślimaczą powolnością, lecz nie ustawał ani na chwilę. Nie zdarzały mu się wybuchy histerycznego śmiechu czy złości.

Często zapominało się po prostu o nim. Spojrzawszy jednak w jego stronę, spostrzegano się ułożony nowy kamień. Lecz pewnego lipcowego popołudnia, gdy wieża znowu się kołysała, odsunął się od budowanej ściany i zaczął wkładać do torby swoje narzędzia. Nikt się nie odezwał. Kolejno inni także przestawali pracować i patrzyli na niego. Nie przeszkadzało to zupełnie Ranulfowi, który robił dokładnie to samo, co wiele razy przedtem. Układał starannie narzędzia, czyszcząc je i owijając w -szmaty. Obejrzał swoją torbę na żywność i otrzepał ręce z kurzu. Potem wziął obie torby i wolno zanurzył się w dolny wylot wieży. Inni patrzyli na jego znikającą głowę, potem powrócili do pracy. Ale była jakaś zimna, wywołująca dreszcz wymowa w wycofaniu się takiego człowieka. Zdarzyła się jeszcze bardziej przerażająca dezercja.

Model wieżycy zakończony był małą gałką, w której tkwił krzyżyk. Kiedy Jocelin po raz pierwszy zobaczył tę gałkę w drewnianym łożysku na dworze obok nawy północnej, popatrzył na nią najpierw z niedowierzaniem, a potem z przerażeniem. Gałka była większa od kamienia młyńskiego, a ważyć musiała więcej niż koń z wozem. Trzeba ją było wolno windować na górę, na sam wierz-

chołek. Patrzył, jak pchali kamień na skrzyżowanie naw, a potem w osłonie lin wciągali go przez otwór w sklepieniu i wyżej, z rusztowania na rusztowanie. Ile razy zatrzymywali się, było wiele manewrowania z klinami i łomami, by osiągnąć jak najlepszą pozycję do dalszej drogi. Aż wreszcie kamień spoczął ciężko pośrodku pierwszego ośmioboku. Ale to nie był jeszcze koniec. Bo w miarę jak gładź dźwigano wyżej, nadchodziła chwila, gdy następny ośmiobok okazywał się za mały na to, by kamień się przezeń przedostał. Na wysokości trzystu pięćdziesięciu stóp przesuwno go więc na specjalnie w tym celu zbudowane rusztowanie. Następna warstwa wieży obejmowała rusztowanie, a wraz z nim kamień. Potem usuwano je, by użyć go znów wyżej. Przypominało to dziecienną zabawę „w łapki”.

Jocelin nie lubił patrzeć na ten kamień. Gdy leżał on zaklinowany, unieruchomiony i przywiązany do rusztowania, zasłaniał dużą część miasta. Ponadto zwisał ze środka w sposób nieprawdopodobny, jak grób Mahometa. Kiedy w ciepłym letnim wietrze wieża zaczynała się kołysać, to mimo wiary wewnętrznej ciało stawało się kłębką skurczonych mięśni i rozedrganych nerwów i

człowiek był przekonany, że kamień ten zmiążdży cztery cienkie filary w dole jak olchowe patyki. Nie pozostawało wtedy nic innego, tylko nie myśleć o tym i skupić uwagę na stożku wieży, który urósł w górę o dalsze pięćdziesiąt stóp. Umysł męczył się w końcu, a wzrok skierowany w dół nie widział prawie miasta. Patrząc na ziemię nie odczuwało się już tej co przedtem trwożnej radości, bo w miarę jak ściany wieży zbliżały się ku sobie, w jej wnętrzu było coraz ciemniej. A jeśli wzrok przyciągnęły wieżyczki wystrzelające w górę z podstawy wieżycy okupowanej przez ptaki, mógł on napotkać na swej drodze kamień na tle błękitnej czary-ziemi i dostrzec jakiś ruch lub wyobrazić go sobie.

Ręce Jocelina nie umiały już się zająć pracą. Potrafił tylko skulić się i skupiać swą wolę, próbując podtrzymać nią wieżę, a wraz z nią ludzi w nowym, zimnym, wilgotnym miejscu. Może dlatego tak trudno mu było teraz wspinać się w górę. Na szczyt drabin docierał zasapany i często kładł się na deskach, chwytając z trudem oddech, póki serce mu się nie uspokoiło i nie zaczęło bić normalnie. Wdrapywanie się na czworakach i pociecha udzielana przez anioła zginały mu grzbiet. Starał się, jak mógł, usuwać z drogi, co nie było

łatwe teraz, gdy zwęzał się stożek wieży. Ale nikt nie próbował go nigdy odsunąć, a on zupełnie nie wiedział, dlaczego tak jest, aż raz zapytał o to Jebana, ten zaś odpowiedział po prostu:

- Przynosicie nam szczęście, ojcze.

To Jehan dał początek nowemu kryzysowi i następnej dezercji. Przyszedł pewnego dnia ze ściągniętą twarzą, bez uśmiechu, i pożyczył od majstra pion i sznur. Podczas gdy inni zajadali spieszenie pod ścianą południowy posiłek, a Roger popijał w milczeniu, Jehan zszedł szybko na dół. Posiłek upłynął w zupełnej ciszy. Po chwili Jehan pojawił się znowu, oddał pion i zwój sznura majstrowi, a potem popatrzył na Jocelina. W twarzy jego było coś, co trzeba było wyjaśnić. Jocelin usłyszał własny głos załamujący się w histerycznym śmiechu:

- No co? Osiadają?

Napięcie, pauza. Odprężenie, pauza.

Jehan obliznął wargi. Rozpościerał się wokół nich brudnozielony blask. Głos jego, kiedy go z gardła wydobywał, zabrzmiał jak krakanie:

- Pochylają się.

**Zaległa cisza, tylko wiatr szumiał cicho nad świeżą krawędzią muru.**

**Następny dźwięk był tak niezwykły, iż zdawało się, że na wieży pojawił się nowy człowiek lub stworzenie. Był to ryk, a wydał go Roger Mason. Skulony pod ścianą, patrzył w inną stronę.**

**— Roger!**

**Napięcie, pauza.**

**- Synu!**

**Odprężenie, pauza.**

**Majster wygramolił się na bok po deskach, jak krab, i oddalał się niezdarnie. Słyszeli, jak schodzi w dół z drabiny na drabinę. A gdy zniknął im z oczu, tylko jego wycie dochodziło w górę, aż przeszło w krzyk i śpiewny dźwięk podobny do śpiewu kamieni. I znów zapadła cisza. Nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem, zaczęli krzyczeć, wyć, walić z całej siły w kamienie lub belki pięściami, aż krwawiły. W ciemnej wieży ogromny płomień życzliwości ogarniał ich kolejno. Siłą woli Jocelin zmusił się do otwarcia ust; obiecał im więcej pieniędzy pośród wybuchów czułości. A oni ściskali szczupłe ciało, naczynie woli. Potem było mu nawet łatwiej nie zwracać uwagi na to, co się działo na dole. A było**

to konieczne, bo gdy zaczęły się chylić filary, ludzie na ziemi próbowali mu przeszkadzać, jemu zaś nie pozostawało nic innego, jak patrzeć poprzez nich na wieżę i czekać, aż sobie pójda. Trwał w swoim transie, a do uszu jego docierały słowa mieszkańców miasta, którzy przeklinali go za to, że nie ma już nabożeństw w katedrze. Przeklinali go nawet bezbożnicy. Stawali pod drzwiami od strony zachodniej i spoglądali na filary w nawie. Kiedy zmęczony walką z aniołem i szatanem przychodził tam, nie odważali się przeklinać go otwarcie, lecz mruzcili za jego plecami. Wiedział, co mówili, bo sam dostrzegał pochylenie filarów. Nie ulegało wątpliwości, że Jehan miał rację. Twardy kamień nie powinien był się ugiąć, a jednak się giął. Gdy patrzyło się poprzez nawę na okna wschodnie, po dłuższej chwili widać było, że dwa najbliższe filary na skrzyżowaniu naw chylą się lekko ku sobie. Jedno w tym tylko było dobre. Im bardziej pochylały się filary, tym mniej śpiewały. W połowie lata wydawało się, że przestały i chylić się, i śpiewać. Ale Jehan mówił, że czekają na jesienne zawieruchy, kiedy on osobiście postara się być już gdzie indziej. O to starali się zresztą wszyscy prócz robotników z budowy i człowieka, który przynosił im szczęście. Na

szczybie robota postępowała szybciej, jakby każdy czuł już podmuch jesiennych wichrów na twarzy. Jocelin znał tych ludzi lepiej, niż kogokolwiek kiedykolwiek w swoim życiu, od niemowy do Jehana. Należał do tej załogi. Czepiając się ściany i kuląc się pod nią, z aniołem, który wciąż stał za nim, brał w rękę kamień lub deskę, ciągnął linę lub podwazał coś łomem. Ludzie mówili do niego "ojcze", lecz traktowali go żartobliwie, jak dziecko. Gdy przybywało kamiennej ściany, a przestrzeń przypominającą namiot wypełniał zapach i wesoły śmiech, zlecali mu czasem opiekę nad metalową płytą, która rzucała odbite światło do wnętrza. Był z tego dumny prawie do łez, choć nie umiałby powiedzieć, dlaczego. Siedział w kucki i trzymał płytę, a cieśla, leżąc na plecach, Wbijał coś młotkiem w róg.

- Trochę w lewo, ojcze.

- Tak, synu?

- Więcej. Więcej. O tak!

Siedział przykucnięty, z poświęceniem kierując światłem. "To wszystko zacni ludzie - myślał. - Bluźnią i przeklinają, i biją się, ale to zacni ludzie. Smakuję tę ich dobroć tutaj w słońcu, prawie czterysta stóp nad posadzką kościelną. Może to dlatego, że i oni, tak jak ja, zostali

wybrani." Opowiedział im o swoim aniele, a oni nie zdziwili się, lecz patrzyli gdzieś w dal poza niego i ze zrozumieniem kiwali głowami. A potem odsłonił trochę więcej ze swych zamysłów i powiedział im o widzeniu, bo wydawało mu się, że warci są takiej zapłaty. Ale tego nie mogli pojąć. Dał w końcu spokój, potrząsając głową i mrucząc w zdenerwowaniu

- Mam to wszystko spisane.

Wspomniał potem o kazaniu, jakie wygłosi, gdy wieża zostanie ukończona, i o kazalnicy na tle filarów, z której będzie mówił. Na to twarze im się wydłużyły. Jehan powiedział, że każdy, kto pracuje teraz pod tymi filarami, to szaleniec, i że dość już tego. Ale niemowa podszedł do Jocelina, pomrukując i waląc się w piersi. Na tym skończyło się to, co wydawało się tak trudne do wyjaśnienia. Pewnego dnia robotnicy skończyli wcześniej pracę i nie chcieli tknąć jej więcej, choć Jocelin błagał ich o to. Wykluczyli go po prostu spośród siebie i poszli. Po chwili więc i on zszedł na dół, ale ponieważ do katedry przychodzili ludzie, trudno było myśleć o strzelistej wieży. Spojrzał na pochylone filary, obszedł wkoło kościoła, aż w końcu cisza i złociste ślady stóp doprowadziły go znów do

drabin. Wspiął się z powrotem na nie i na inne, słabsze, umocowane pomiędzy ośmiobokami. Wiedział, że tym razem nie pozostaje mu nic innego, tylko czekać, szedł zatem wolno, zauważył jednak, że nawet to przyprawia go o przyspieszone bicie serca. Dotarł wreszcie "na szczyt i przykucnął pośród kruków. Słońce zachodziło w wielkiej ciszy, a on siedział tam czując całą wieżę w głowie.

Zanim jednak słońce zaszło, stwierdził, że nie jest sam ze swoim aniołem. Ktoś się w niego wpatrywał. Jakaś postać stała w ramie metalowej płyty na tle nieba. Przez chwilę pomyślał o egzorcyzmach, ale gdy podniósł rękę, owa postać podniosła swoją także. Zaczął się czołgać na czworakach po deskach, a tajemnicza postać czołgała się ku niemu. Ukląkł i wpatrywał się w rozwianą aureolę włosów, w chude ręce i nogi, sterczące z brudnej sutanny. Przybliżał się coraz bardziej, aż oddech przesłonił mu jego własny obraz i musiał zetrzeć go rękawem. Ukląkł potem i wpatrywał się przez długi czas w siebie. Patrzył w oczy osadzone głęboko w oczodołach, nad którymi skóra zwisała w fałdach - tak samo zwisała nad kośćmi policzkowymi, potem się wygładzała. Wpatrywał się w nos podobny do

**dzioba, prawie równie ostry, w głębokie bruzdy na twarzy, w błyszczące zęby.**

**Kłęczące odbicie sprawiło, że rozjaśniło mu się w głowie. “No, Jocelin - powiedział w myśli do niego - tuśmy doszli. Zaczęło się to chyba wtedy, gdy zostaliśmy powaleni na posadzkę, kiedy obsunęła się ziemia. Pamiętamy, co wydarzyło się potem, ale wszystko, co było przedtem, wydaje się snem. Z wyjątkiem wizji.” Wstał i zaczął krążyć niespokojnie w kółko. Wieczorne niebo pozieleniało nad krawędzią horyzontu. Potem krawędź szerniała i wypełniły ją cienie; zanim w pełni zdał sobie z tego sprawę, zapadła noc i ukazały się blade gwiazdy. Dojrzał w dali ogień i pomyślał, że to pali się stóg siana. Ale gdy obszedł krawędź stożka wieży, zobaczył wokoło jeszcze więcej ogni. Ogarnął go straszliwy lęk, bo wiedział już, że to ogniska rozpalone na wzgórzach w noc świętojańską przez czcicieli szatana. W Dolinie Wiszących Kamieni płonął jasno duży ogień. Krzyknął nagle nie ze strachu, lecz z żalu. Bo przypomniał sobie swoją gromadę zacnych ludzi i wiedział, dlaczego porzucili wcześniej pracę i dokąd się udali. Krzyknął głośno w gniewie do kogoś:**

**\_- To dobrzy ludzie, powiadam!**

**Ale to była tylko reakcja uczuciowa. Znał ich przecież dobrze.**

**Jeszcze jedna nauczka. Nauczka za tę wysokość. Kto mógł przewidzieć, że i to będzie częścią ogólnego planu? Kto mógł wiedzieć, że na tej wysokości to, co oglądałem jako kamienny wykres modlitwy, dźwignie w górę krzyż i walczyć będzie oko w oko z ogniskami szatana?" I znów w myśli jego pojawili się robotnicy i kobieta o złocistym zarysie stóp, i zapłakał gorzko, nie wiedząc sam, czemu płacze, chyba nad grzechami świata. Gdy mu wreszcie oczy obeschły, usiadł wpatrując się ponuro w noc, gdzie płonęły nieszczęsne ognie.**

**Z wolna myśl jego wróciła do własnego życia. Jeśli Dawid nie mógł zbudować świątyni, bo miał krew na rękach, co można powiedzieć o nas, o mnie? Przed oczyma ujrzał nagle okropną scenę chrztu i krzyknął. A kiedy pozbył się z myśli tego obrazu, chmara wspomnień nadleciała równocześnie. Patrzył bezsilnie, jak się gromadziły, nie mogąc ich odegnąć. Były to jakby zdania z opowieści, które, choć pozostawiają luki, i tak mówią dosyć. Była to opowieść o niej i o Rogerze, o Racheli i Pangallu, i o ludziach budujących wieżę. Patrzył w dół, w dół, wzdłuż**

drabin, pomostów, poprzez sklepienie aż do dołu wykopanego na środku katedry jak grób przygotowany dla jakiegoś sławnego człowieka. Zlekceważone ogniska migotały na horyzoncie, ale on czuł na ciele lodowaty chłód. Przypomniawszy sobie, jak stojąc tam w dole patrzył na posadzkę, gdzie wśród kurzu i gruzu u jego stóp leżała gałązka z brunatną lepką jagodą. W ciemny wysoki przestwór wyszeptał:

- Jemiola!

I wreszcie spróbował się modlić. Ale znów nadeszła ona stając po złotym szlaku, z pochyloną głową, w rozwianej szacie, a złowieszcze ognie błyskały wokół nich.

— Coś mnie zaczarowało - jęknął w przestrachu. Zszedł przystając na drabinach, nie widząc ich. A opowieść składająca się z luźnych zdań płonęła mu w mózgu. Ułożone na skrzyżowaniu naw nowe kamienne płyty parzyły mu stopy jak wszystkie ognie piekieł.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Potem już nigdy nie żartował z robotnikami; zachęcał ich tylko do pracy. Przekonał się, że choć nie mogli ani czuć, ani widzieć jego anioła, czerpali z niego jakąś pociechę. Tak nadszedł sierpień i minął, a budowa wieży zbliżała się do końca. Potrzebowali w tym okresie pociechy anielskiej, zerwał się bowiem wiatr. W czasie jednej takiej sierpniowej nawałnicy, która nadciągnęła z południowego wschodu, wieża kołysała się jak maszt; lecz filary, choć pochylone, nie pękły. Wtedy właśnie ojciec Anzelm powiedział mu, że lady Alison nie będzie więcej pisała, ale przyjedzie się z nim zobaczyć.

Wichura nigdy nie oddaliła się całkowicie. Pozostawiła zmienną, burzliwą pogodę: deszcz, dzień bezchmurny i znowu deszcz. Wrzesień, który mógłby przynieść słoneczny tydzień dla ukończenia budowy, odsłonił wysokie niebo jakby dla ukazania rozmiarów mającej nadejść burzy. Przez cały ten czas ludzie klnąc mocowali się z kamieniem szczytowym, a wiatr szarpał ich bezlitośnie. Jocelin badał wzrokiem ciemne odcinki rzeki płynącej ku morzu, chcąc dojrzeć Święty Gwóźdź. Jaśniejący i pełen mocy, wyłaniał

się on w jego wyobraźni z blasku Rzymu, gdzie przebywał jeszcze biskup. Pomyślał, że pogoda wie może coś o tym wszystkim, i dlatego się spieszy, bo z nieba siekło jak z katapulty, lecz ludzie, choć cali mokrzy, nie odczuwali zimna wśród zacinającego deszczu. Założyli kamienną nakrywę tam, gdzie należało, wśród wichru zarzucającego im okrycia na głowy. Przez dwa dni na chwiejącej się wieży rozbierali rusztowanie, pozostawiając tylko parę elementów konstrukcji dla umieszczenia na ostatku krzyża i Gwoźdź w skrzyneczce u jego podstawy. Pierwszego z tych dni Jocelin zobaczył Gwóźdź w odległości piętnastu mil - długą, rozciągniętą procesję idącą od wsi do wsi. Lecz zanim dzień się skończył, chmury napłynęły tak nisko, że nie mógł już dojrzeć procesji i oczekiwanego na wizytację dostojnika. Nie przestawał dodawać ludziom ducha, poszturchiwany przez wiatr, wśród deszczu który ściekał mu po odsłoniętych nogach. Ukończywszy pracę robotnicy schodzili po rozchwianych drabinach na spód wieży. Jehan popychał ich tam i dawał każdemu w rękę duży drewniany młot. Nastąpiła długa chwila ciszy: mężczyźni stali z młotami przy klinacha Jehan przyglądał się całej konstrukcji.

**Na koniec zwrócił się do Jocelina:**

**-- Przydałoby się więcej?**

**\_ - To ich sprowadź,**

**-- Skąd?**

**Znów zaległa cisza. Niemowa mruczał coś niemymi usty, Jehan patrzył na kołowrót.**

**- Jeśli nie zrobimy tego teraz, będzie za późno.**

**Podszedł do kołowrotu, odgiął zaciski, zakręcił korbą i zatrzymał się nastawiając ucha w kierunku drewnianej oślej czapki w górze nad nimi wysokiej na sto pięćdziesiąt stóp. Lina opasywała jeszcze żelaznym uściskiem ośmiobok, przytrzymując kliny na ogromnej masie drewna.**

**- Wybijajcie kliny! OSTROŻNIE.**

**Nie słyhać było nic prócz lekkiego stukania.**

**Jehan zakręcił znowu korbą.**

**- Wybijajcie dalej! Chodził w kółko, uderzając w dłonie.**

**- Sam nie wiem. Nie wiem. Powinien tu być ten tłusty drań.**

**Korba szczęknęła, lina odskoczyła. Drewniany stożek wydał jakiś zgrzyt, który przeszedł w pisk, a potem**

**ośmiobok zaczął opadać w dół, kliny zaś rozpryskiwały się na boki jak wystrzelone pomiędzy palców pestki od śliwek. Łoskot, z jakim ośmioboczna bryła uderzyła o spód wieży, był głośniejszy od grzmotu - bolesnym echem odezwał się w uchu, a wieża podskoczyła pod nogami. Jocelin padł na kolana i wśród hałasów, jakie się wokoło rozlegały, usłyszał radosne wycie gdy ludzie torowali sobie drogę w dół po drabinach. Drewniany stożek jęczał jak na torturach, drzazgi, odłamki kamieni i kurz unosiły się nad podłogą, giał się w męczarni nad jego głową, rozdzierał się, pękał. Uspokajał się z wolna, wydając jeszcze tylko od czasu do czasu jękliwy pisk. Dziekan klęczał gratulując sobie. Potem szum wiatru zagłuszył wszystko, miał ter<sup>a</sup>z inne instrumenty, na których mógł grać i ćwiczyć; rozbrzmiewały one z każdym ruchem wieży, lecz nie dźwięczały zgodnie.**

**Jocelin wyprostował się na klęczkach. "Już niedługo i będę miał spokój - pomyślał. - Muszę tylko dostać Gwóźdź."**

**Podszedł do drabiny i zgramolił się na dół. Ale nie zaznał spokoju, nawet kiedy zszedł z kręconych schodów. Wraz z rozluźnieniem się jednej liny nastąpiło jakby**

**zacieśnienie drugiej. Ta druga opasywała mu piersi. “Wiem, co to jest - myślał. - To wyścig pomiędzy mną a szatanem. Biegniemy obaj szybciej, ścigając się do mety. Ale ja wygram”.**

**Stanął na posadzce na skrzyżowaniu naw. Przez chwilę nasłuchiwał i lina zacisnęła się mocniej, gdy do uszu jego doszło diabelskie skrobanie w okno nawy głównej, jakby próbowano wdrzeć się tamtędy. Było ich więcej niż jeden. Był ich legion. Otaczały zewsząd katedrę, szturmowały do drzwi i okien, jakby zbierały siły i przygotowywały się do decydującego ataku. Zrozumiał, że trzeba się spieszyć, i wbiegł w krużganek. Lecz zebrana tłumnie kapituła powitała go w chaosie i wrzawie.**

**- Gdzie On jest?**

**Zamiast mu dać Gwóźdź, tłoczyli się wokół Jocelina, dotykali go i mówili, a nawet krzyczeli coś niezrozumiale. Ktoś obciągnął na nim sutannę; spływała teraz w dół jak dawniej. Czuł jakieś ręce gładzące go po głowie i zrozumiał, czego chcą od niego.**

**- Nie powiem ani słowa, póki mi Go nie dacie! - krzyknął.**

Zaległa względna cisza, słycać było tylko ministrantów hałasujących po drugiej stronie krużganków; miał więc czas przyrzeć się dostojnikom kościelnym, członkom chóru kapitulnego i ich zastępcom. "Są równie źli jak robotnicy z budowy - pomyślał. - Tylko nie ma wśród nich ludzi tak odważnych".

Diabły szeptały w gałęziach wysokiego cedru. A potem ojciec Anonim wręczył mu Gwóźdź w srebrnej skrzyneczce, on zaś przyjął Go na klęczkach; niektórzy z obecnych pokickali także. Jocelin przycisnął Gwóźdź do liny opasującej mu pierś, podążył spiesznym krokiem do prezbiterium i złożył Go na wielkim ołtarzu. Jaśniał tam w otwartej skrzynce, a wokoło rozbrzmiewał śpiew; lecz dziekan nie rozróżniał słów. - O pospiesz się! - powiedział do Gwoździa, bo wiedział, że nie zazna spokoju, póki nie zostanie On wbity w wieże Wrócił więc tam, gdzie czekano na niego. Przyjrzał się zebranym czując ciągle ucisk na piersi, i zobaczył wiele nowych twarzy; a raczej były to stare twarze oglądane w nowym świetle. Ludzie ci pracowali przez ostatni rok na ziemi. Nie mieli, jak on (a diabły skowyczały!), zawiłych spraw na głowie, lecz swoje drobne sprawy, i dlatego życie nie wydawało im się trudne.

**Sami też byli mali, i w miarę jak patrzył, stawali się coraz mniejsi.**

**Usłyszał, że ojciec Anzelm mówi cicho:**

**- Dlaczego nie ma go zobaczyć w tym stanie? Zaległa cisza, tłum postaci zmalował do wielkości najmniejszych dzieci z chóru kościelnego. Te dzieci zaczęły się ustawiać. Szurając nogami rozsunęły się na dwie strony, nie spuszczać z niego oczu, jakby chciały zajrzeć mu do wnętrza głowy. Ustawiły się w dwa rzędy, pozostawiając pośrodku ścieżkę, na której końcu znajdowały się wielkie drzwi sali kapitulnej. Popatrzył na nie i pomyślał: „Wizytator zrozumie, że stałem się robotnikiem, murarzem, cieślą, bo było to konieczne”. Otwarto przed nim jedno skrzydło drzwi, przez które wszedł. Stał w sali i popatrzył w górę na okna, do których dobijały się diabły. Ale wiedział, że gdyby się tu dostały, nie miałyby to znaczenia; mógł spokojnie spuścić wzrok. Za długim stołem zasłanym dokumentami siedzieli w rzędzie członkowie komisji: siedmiu otyłych mężczyzn. Podszedł, ukląkł przy krześle przeznaczonym dla świadków i podał swoje imię:**

**- Jocelin, dziekan kościoła katedralnego Najświętszej Maryi Panny.**

**Siedmiu mężczyzn nie spuszczało z niego oczu. Dwóch sekretarzy podniosło też wzrok znad papierów, odłożywszy pióra. Nawet sam wizytator uniósł się do połowy z krzesła i pochylił do przodu, wspierając się rękami na stole. Był to mężczyzna o ciemnej, głęboko pobrużdżonej twarzy, z krzaczastymi brwiami i głęboko osadzonymi oczyma. Czarno-białe szaty opadały na -nim w sutych fałdach. Przyglądał się przez chwilę Jocelinowi, potem uprzejmie wskazał mu krzesło. Jocelin skłonił się nie siadając, a cała komisja wstała z miejsc i zgięła się w ukłonie jak grzbiet fali. Usiadł potem, a oni także. Nie mówił nic, tylko patrzył na ich głowy potakujące i szepczące coś do siebie.**

**Na koniec wizytator zwrócił się do niego:**

- Nie jest to może właściwa procedura, ale...**
- Pytajcie, o co chcecie. Będę odpowiadał.**
- Oczywiście.**

**Dostojnik uśmiechnął się nagle. "On rozumie - pomyślał Jocelin czując wciąż ucisk liny - i jest po mojej stronie".**

**Wizytator mówił dalej:**

- ...Może jako wstęp uprości to sprawy. “Uprości sprawy - myślał Jocelin. - Jeśli o to chodzi, mogę mu pomóc”.

- Ludzie uważają, że jestem szalony. Zaległa znów cisza. Skontrolował swój mózg i poddał się. Skinął z powagą głową w stronę wizytatora.

- Może i jestem.

Ich głowy znów pochyliły się ku sobie. “Ostatecznie nie uprościłem spraw - myślał - skomplikowałem je”. Jęknął, podniósł rękę do głowy i poczuł coś pod palcami we włosach. Wyciągnął z nich skręcony drzewny wiórek, zgniótł go w palcach, aż zatrzeszczał, i odrzucił kawałki. Jeden z sekretarzy wstał wśród szmeru, skłonił się szybko i wybiegł.

Wizytator przemówił znowu łagodnie:

- Przygotowaliśmy listę pytań opracowanych na podstawie zażaleń i doniesień.

- Zażaleń? Doniesień?

- Z pewnością wiedzieliście o nich? Niektóre datuje się sprzed dwóch lat.

Przebiegł w myśli te lata.

- Byłem bardzo zajęty.

**Wizytator uśmiechnął się teraz całkiem otwarcie.**

**- Niektóre z tych pytań są już, jak sędzę, nie na czasie.**

**Na przykład sprawa świec.**

**- Jakich świec?**

**Przewodniczący komisji przeglądał dokument, który mu podano. W głosie jego zadźwięczał dziwny ton.**

**- Ten, co to napisał, zdaje się sądzić, że Kościół święty ucierpiał poważnie, gdyż przez dwa lata wierni nie mogli palić świec w katedralnej nawie.**

**- Anzelm!**

**- To wasz zakrystian, prawda? Wydaje się, że czerpie znaczną część swych dochodów ze sprzedaży Świec. Choć oczywiście główny jego zarzut pozostaje w płaszczyźnie bardziej wzniosłej i duchowej. Tak, to ojciec Anzelm, ksiądz zakrystian kościoła katedralnego Najświętszej Maryi Panny. Ma własną pieczęć.**

**- Anzelm!**

**(Oddalał się, malał, znikał w dużym tunelu...)**

**- Księżę dziekanie! Może łatwiej by nam było zorientować się, gdybyście zechcieli uznać pewne ogólne zarzuty lub zaprzeczyć im.**

**- Powiedziałem, że możecie pytać, o co chcecie.**

**- Zaraz będę pytał, księżę dziekanie.**

**Wizytator przerzucał leżące przed nim dokumenty. Jocelin czekał z rękami złożonymi na piersi, przyglądając się rzędowi sandałów pod stołem. Po chwili wizytator podniósł wzrok.**

**- Czy zgodzicie się, ojcze, że to wszystko, co określa się tu jako "bogata tkaninę nieustannej chwały Bożej", zostało zupełnie niepotrzebnie przerwane?**

**Jocelin skinął energicznie głową.**

**- To prawda. O, jaka prawda! Wielka prawda.**

**- Proszę to wyjaśnić.**

**- Zanim zaczęliśmy budować, odgradziliśmy, jak najlepiej było można, wschodnią część kościoła i odprawialiśmy nabożeństwa w kaplicy Mariackiej.**

**- To dość powszechna praktyka.**

**- W tym więc czasie nabożeństwa odbywały się normalnie. Lecz później, widzicie, ludzie wyczuli jakieś niebezpieczeństwo; kiedy filary zaczęły śpiewać, a potem się pochyliły, nie było nikogo spośród członków kapituły ani spośród ludzi świeckich, kto odważyłby się tam modlić.**

**- Praktycznie nabożeństwa nie odprawiały się już w kościele?**

**Jocelin podniósł szybko wzrok i rozłożył ręce.**

**- Nie. Jeśli zechcecie zrozumieć... to bardzo zawile. •Ja tam byłem przez cały czas. To był rodzaj nabożeństwa. Byłem tam i oni byli, przysparzając chwały Domowi Bożemu.**

**- Oni?**

**— Robotnicy. Było ich oczywiście coraz mniej.**

**Ale 'niektórzy pozostali do samego końca**

**Wizytator nie odpowiedział, ale Jocelin poczuł się zrozumiany i mówił dalej:**

**- Nie wiem, jakie nazwiska i jakie pieczęcie - z wyjątkiem jednej - widnieją na tych dokumentach, które macie przed sobą, ani jakie są na mnie skargi, oprócz zupełnie ogólnych. Wiem tylko, że szukałem ludzi z wiarą i nie znalazłem ani jednego. Spostrzegł, że wizytator uznał to za dobrą i nieoczekiwaną odpowiedź. Nagle, wobec tej życzliwej twarzy, ogarnęło go gorące pragnienie, by wszystko wyjaśnić.**

**- Widzicie, istniały trzy rodzaje ludzi: ci, co uciekli, ci, co pozostali, i ci, co byli z tą budową zrośnięci. Pangall...**

**- Ach tak, Pangall.**

- A ona jest wpleciona w to wszędzie. Umarła i potem ożyła w moich myślach. Żyje tam teraz. Prześladowuje mnie. Przedtem nie była tak żywa, nie w ten sposób. A ja musiałem znać prawdę o nim przedtem, widzicie, w jakichś głębinach mego mózgu. Wszystko to było oczywiście konieczne. Tak jak i pieniądze.

- Musimy na chwilę zająć się sprawą pieniędzy. Czy to wasza pieczęć?

- Chyba tak... Tak.

- Jesteście zamożni?

- Nie.

- Więc z czego się tych ludzi zapłaci?

- Bóg wsparł filary i przysłał Gwóźdź.

Znów uleciała gdzieś dźwięcząca w mózgu melodia, nie pamiętał nic, istniała tylko jedna rzecz naprawdę ważna... Bez zainteresowania zobaczył, że sekretarz przemyka się na swoje miejsce, a ojciec Anonim stoi z tyłu, niedaleko krzesła przeznaczonego dla świadków. Usłyszał, że diabły drapią i kołaczą w okna. W myśli pobiegł, by dotrzeć przed nimi do wieży.

- Wasza miłość, my tu rozmawiamy, a ona może w tym czasie runąć. Pozwólcie, bym zaniósł tam teraz Gwóźdź i wbił.

Wizytator patrzył na niego uważnie spod gęstych brwi.

- Wierzycie, że wieża bez Gwoździa...

Jocelin wyciągnął szybko rękę, aby go powstrzymać od skończenia zdania. Ze zmarszczonymi brwiami starał się uchwycić melodię, drgającą na skraju pamięci; ale zniknęła z niej, tak jak zniknął Anzelm. Podniósł wzrok i zobaczył, że wizytator przechylił się na krześle do tyłu i dziwnie się uśmiecha.

.- Księżę dziekanie, mam naprawdę szczerzy podziw dla waszej wiary.

- Mojej?

- Mówiliście o jakiejś kobiecie. Kto to jest? Matka Boska?

- O, nie! Nie! Nic podobnego. To była jego żona... Pangalla. Po znalezieniu jagody jemioly, widzicie...

- Kiedy to było?

Padło pytanie twarde i ostre jak nóż. Spostrzegł, że siedmiu mężczyzn zamarło w bezruchu i wpatruje się w

**niego przenikliwie, poważnie, jakby się znajdował przed sądem.**

**“No właśnie - pomyślał. - Dlaczego nie przyszło mi to do głowy wcześniej? Jestem przed sądem.”**

**- Nie wiem. Nie mogę sobie przypomnieć. Dawno.**

**- Co mieliście na myśli mówiąc o ludziach „zrośniętych z budową”?**

**Ujął głowę w dłonie, zamknął oczy i kołysał się z boku na bok.**

**- Nie wiem. Nie ma na to słów. To bardzo zawile... Zaległo długie milczenie. Otworzył wreszcie oczy i zobaczył, że wizytator złagodniał znowu i uśmiecha się życzliwie jak przyjaciel.**

**- Sądzę, że musimy prowadzić tę rozmowę dalej, księżę dziekanie. A ci robotnicy, którzy zostali z wami do końca, czy to byli dobrzy ludzie?**

**- O, tak!**

**- Dobrzy?**

**- Bardzo dobrzy. Naprawdę bardzo dobrzy. Na długim stole szeleściły papiery. Wizytator wziął w" rękę jeden z nich i zaczął czytać spokojnym, beznamiętnym głosem:**

- “ Mordercy, bandyci, awanturnicy, chuligani, gwałciciele, nierządnicy, sodomici, ateusze lub jeszcze gorsi.”

- Ja... nie...

Wizytator patrzył na niego znad trzymanego w ręku dokumentu.

- Więc to byli dobrzy ludzie?

Jocelin uderzył prawą ręką w drugą dłoń.

— Odważni!

Wizytator westchnął w nagłym rozdrażnieniu. Rzucił papier, który miał w ręku, na stos innych.

- Księżę dziekanie Co tkwi na dnie tego wszystkiego?

Jocelin przyjął to proste pytanie z wdzięcznością.

- Z początku wydawało się to takie zwyczajne. W płaszczyźnie czysto ludzkiej to oczywiście skandaliczna historia szaleństwa - Szaleństwa Jocelina. Tak to nazywają. Widzicie, ja miałem widzenie, jasne, wyraźne widzenie. To było bardzo proste. To miało być moje zadanie. Zostałem do tego wybrany. Ale potem zaczęły się komplikacje. Najpierw pojedynczy zielony pęd, potem czepiające się wąsy, potem gałęzie i na koniec bujna gęstwina... Nawet kiedy się temu poświęcałem, nie wiedziałem, jakie będą wobec mnie żądania. Później on i ona...

**- A to widzenie?**

**- Mam je spisane w notesie, który leży na dnie kufra, w lewym rogu. Możecie przeczytać, jeżeli to pomoże. Niedługo wygłoszę kazanie. Na skrzyżowaniu naw stanie nowa ambona. I wtedy każdy...**

**- Chcecie powiedzieć, że na skutek tego widzenia uważaliście za niezbędnie konieczną budowę wieży?**

**- Tak.**

**- I że z tego widzenia czy objawienia... jak to nazywacie?**

**- Nie jestem człowiekiem uczonym. Wybaczcie.**

**- ...i że z tego widzenia wynikło wszystko inne?**

**- Tak. Tak właśnie.**

**- Komu zwierzyliście się z tego?**

**- Memu spowiednikowi oczywiście.**

**Diabły za oknami były nieomal widoczne. Jocelin popatrzył ze zniecierpliwieniem na wizytatora.**

**- Wasza miłość, my tu siedzimy, a...**

**Lecz tamten uniósł rękę. Z lewego końca stołu odezwał się sekretarz:**

**- Anzelm. Zakrystian.**

- Ten, co tak się martwi o swoje świece? To on jest waszym spowiednikiem?

- Był, wasza miłość. I jej także. Ach, gdybyście wiedzieli, co to za cierpienie - wiedzieć i nie wiedzieć.

- A więc zmieniliście spowiednika? Jak dawno?

— Ja... Nie, wasza miłość.

— - W takim razie on nadal jest waszym spowiednikiem, jeśli macie w ogóle spowiednika.

- Chyba tak. Tak.

- Księżę dziękuję! Kiedy byliście ostatni raz u spowiedzi?

- Nie pamiętam.

- Miesiąc temu? Rok? Dwa lata?

- Mówię wam, że nie pamiętam.

Pytania przygważdżały go do krzesła, wciskały w nie, były krzywdzące i nie było na nie odpowiedzi.

- I na cały ten czas wycofaliście się od waszych duchowych towarzyszy, by przestawać z ludźmi, których, o ile otrzymane przez nas informacje są prawdziwe, nazwać można ludźmi co najmniej złymi?

Pytanie zamajaczyło nad nim groźnie, rozszerzyło się, stało się górą. Ujrzał, do jakiej wysokości wznieść się może

umysł, drabina po drabinie, jeśli ma dać odpowiedź na pytanie, i przygotował się do jeszcze jednej wspinaczki. Wstał, opuścił prawą rękę, podciągnął skraj sutanny pomiędzy kolana, skręcił go i wetknął za pas. Siedmiu mężczyzn wstało także. Byli bardziej nieruchomi niż święci na witrażach w trzęsących się, rozkołatanych oknach. Wizytator osunął się na fotel. Na twarzy miał znów życzliwy uśmiech.

- Jesteście wyczerpani trudami, księżo dziekanie. Porozmawiamy dalej jutro.

- My tu tracimy czas, a one są tam, za oknami...

- Mocą tej pieczęci rozkazuję wam wrócić do waszego mieszkania.

Zostało to wypowiedziane łagodnie i uprzejmie; ale spojrzawszy na pieczęć wiedział, że teraz wreszcie nie odpowie nic. Odwrócił się, by wyjść, a siedmiu mężczyzn skłoniło mu się. "Jesteśmy już poza stadium ukłonów" - pomyślał. Stukając obcasami szedł po posadzce w geometryczne wzory, z ojcem Anonimem uwieszonym u ramienia. Drzwi zamknęły się za nim. W krużganku stali rzędem jego duchowi bracia. Wydawali mu się teraz trochę wyżsi. Przeszedł pośród dwóch rzędów oczu i wyrzucił ich z

myśli. Znalazłszy się przy drzwiach zachodnich nastawił ucha i nateżył wzrok, by dojrzeć, co diabły robią z pogodą.

— Były na wolności lub wyzwalały się na wolność i działy już więcej niż dość. Burza przeniosła się z południowego wschodu na wschód, więc po zachodniej stronie katedry było zacisznie. Wiatr nie zacinał tu deszczem; woda z dwunastu rynien spadała kaskadą w dół po fasadzie, chlustała z kamiennych paszcz i rozlewała się nie wysychającą plamą po ziemi przed schodami. Mimo tej wody całe niebo było wysokie i jasne, a smuzaste chmurki zdawały się splatać z sobą. Deszcz nie spływał z żadnej widocznej chmury. Rodził się niejako z powietrza, jakby to powietrze było gąbką wyciskaną tu i tam, kapiącą pojedynczymi kroplami. Obok niego stał ojciec Anonim.

- Proszę, ojcie.

Płaszcz otulił ramiona Jocelina.

- I kaptur, ojcie. O, tak! - Łagodnie, spokojnie ujął go pod łokieć. - Tędy, ojcie, i tędy. O tak!

Wyszli z zacisznego miejsca, a wiatr uderzył i pognał ich ku domowi dziekana. Kiedy znaleźli się w pokoju na piętrze, gdzie stało łóżko Jocelina, zrzucił on płaszcz z ra-

mion na ręce kapelana i stanął wpatrując się w podłogę. Mocna lina wciąż uciskała mu piersi.

- Nie pójdę spać, póki nie będzie z tym końca. Odwrócił się do okna i patrzył, jak chlustały w nie wiadra wody. Czuł za plecami anioła i szatana, walczących z sobą.

- Idźcie do nich teraz! Idźcie! Powiedzcie, że musimy wbić Gwóźdź, zanim będzie za późno. To wyścig.

Przymknął oczy i natychmiast zrozumiał, że nie potrafi się modlić. Otworzył je więc i zobaczył, że ojciec Anonim się waha.

- Obowiązuje was nadal posłuszeństwo. Idźcie! - rozkazał z gniewem.

Kiedy znów podniósł wzrok, małego człowieczka już nie było.

Zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. "Gdy Gwóźdź zostanie wbity - myślał - wtedy wieża i maja czarownica przestaną mnie nękać. Może kiedyś dowiem się, jaka ona była niegodziwa - właśnie, jaka niegodziwa. Ale teraz najważniejsza rzecz to wieża i Gwóźdź." Po chwili podszedł i stanął tuż przy oknie. Nie mógł jednak nic dojrzeć wyraźnie z powodu kropli deszczu, które zwisały drżąc, spływały po szybie bezładnie i znikwały, jakby je

porwano, czekał na jakąś wiadomość, ale nikt me przychodził, "powiedziałem, że jestem szalony - pomyślał - i to większa prawda, niż mi się zdawało. powinienem był pójść sam - co ja tu robię?" Stał jednak dalej ze spleciony<sup>^</sup> rękami, zaciskając i wydymając wargi. W oknie zapadał zmrok, wiatr nie przestawał huczeć. Kiedy okno stało się już tylko niewyraźnym prostokątem, spostrzegł, jak zmęczony jest staniem; podszedł do łóżka, położył się w ubraniu i czekał. W pewnej chwili usłyszał trzask i łoskot gdzieś na dachach siedziby dziekańskiej i zerwał się z łóżka. Potem nie leżał już na wznak lecz nasłuchiwał wsparty na łokciu w gęstej ciemnot. Setki razy widział i słyszał walącą się wieżę, aż w końcu wichura rozszalała się w jego własnej głowie. Próbował drzemać, ale sam nie potrafiłby powiedzieć, kiedy spał, a kiedy czuwał, bo jedno i drugie było takim samym koszmarem. Starał się zająć myśli czym innym, wieża jednak mocno tkwiła w Jego głowie, ze myślał tylko o niej. Czasami wiatr cichł na chwilę i wtedy serce zaczynało bić mu mocno; lecz potem znów powracał uderzając z nową siłą w okno, a w końcu był już bez przerwy, Leżał więc, drzemał, budził się. Kiedyś wśród nocy okno rozdarł oślepiający błysk, aż skurczył się na

łóżku, ale huk grzmotu me Przeniknął poprzez wicherę. Potem znów rozległy się trzaski na dachach i posypały dachówki. Przyszło mu na myśl gdyby patrzył przez okno, mógłby dojrzeć w krótkich błyskach, co się dzieje z katedrą; wylazł z łóżka i stanął czekając. Następna' błyskawica pokazała mu jedynie okno znajduje się w złym miejscu, odwrócił się trochę i w końcu dojrzał ciemny kwadratowy kształt Plunął się jeszcze bliżej i przytknął twarz do szyby pchając bębnienia deszczu, a w tej chwili mignęła następna błyskawica. Nie był to nawet rozdarty błysk lecz ból w oczach i zielone światło, które me zgasło, choć zasłonił rękami oczy. Wiedział, że ciemna masa pośrodku tego światła to wieża, ale nie potrafił powiedzieć dokładnie, jaki ma kształt, czy się chyli . czy ma wieżycę na szczycie. Po omacku doszedł do łóżka i położył się na nim. Leżał z twarzą w poduszce, starając się myśleć o dawnych szczęśliwych czasach z ojcem Anzelmem mistrzem nowicjuszy, lub raczej nowicjusza, w słonecznej miejscowości nad brzegiem morza. Znowu wstał i stanął przy oknie. Następna błyskawica rozbłysła daleko za katedrą, tak że jej ciemny bezkształtny zarys zdawał się w niego uderzać. Leżał potem i sam nie wiedział, czy zapadł w

**krótki sen, czy po prostu zemdłał. Wynurzył się na powierzchnię świadomości jak z głębokiej studni. Coś stukowało nad nim jednostajnie jak podskakująca pokrywka. Nie to skłoniło go jednak do wstania, lecz inne hałasy, krzyki, ptasie nieomal głosy. Rozbudził się nagle zupełnie, wiedząc, gdzie jest, w najgłębszym mroku. Usłyszał zgiełk na schodach. ;**

**Wstał z łóżka i szybko podszedł do drzwi.**

**- Jestem tu. Musicie być dzielni, moje dzieci.**

**Ale głosy szlochały i krzyczały:**

**- ...teraz i w godzinę...**

**- ...ojcze!**

**Krzyknął w dół schodów:**

**- Nic złego wam się nie stanie! Jakież ręce obejmowały go za nogi, ciągnęły za sutannę.**

**- Miasto zniszczone.**

**- ...cały dach jednego domu leży na cmentarzu, połamany w kawałki... Krzyknął znowu;**

**- A co z wieżą?**

**Poczuł czołgające się po nim ręce, jakaś broda wbiła mu się w twarz.**

**- Wali się, wielebny ojcze. Jeszcze zanim się ściemniło, kamienie spadały z krawędzi muru...**

**Cofnął się, podszedł do okna i tarł palcami ciemne szyby, jakby mógł zetrzeć z nich mrok niczym farbę. Podbiegł znów do schodów.**

**- Szatan wyrwał się na swobodę. Ale nic złego was nie spotka. Przysięgam.**

**- Ratujcie nas, wielebny ojcze! Módlcie się za nas! I wtedy w nikłym świetle, pośród wyciągniętych rąk i wycia wiatru, zrozumiał, co musi zrobić. Przecisnął się między stłoczonymi ludźmi, odpychając ich na bok, obciągnął sutannę, stracił jakąś rękę ze swego łokcia. Wydostał się na wolną przestrzeń, schodził po kamiennych stopniach. Dotarł do sieni i do klamki w drzwiach. "Uchwycił ją omackiem i drzwi otworzyły się z hałasem, odrzucając go na sień. Wśliznął się w wiatr, wwiercił weń w drzwiach. Nowy podmuch pchnął go pod ścianę, o którą oparł się dysząc. Wtedy wichur wypuścił go ze swej gardzieli, tak że upadł na ziemię. Poczołgał się przed siebie, lecz wiatr poderwał go znowu do góry i rzucił na czworaki. Był już cały przemoczony, jakby wpadł do rzeki. Przemknęła mu przez głowę myśl, że pracuje teraz własnym ciałem, jak**

inni, i zaczął się przedzierać na drugą stronę uliczki ku cmentarzowi. Pełna garść czegoś chlusnęła mu w twarz pozostawiając wrażenie ukłucia pokrzyw. Upadł na bok pagórka z drewnianym krzyżem na wierzchu; skraj sutanny smagał go, aż wetknął go w końcu za pas. Jakaś drewniana łata, przygnana skądś wiatrem, uderzyła go w biodro pozostawiając na nim bolesną pręgę.

Uniósł nieco głowę i popatrzył w mroku na grób, pod którym znalazł schronienie. W tym momencie szatan pod postacią olbrzymiego żbika skoczył na cztery łapy daleko na horyzoncie i rycząc ze śmiechu z Jocelina i jego szaleństwa zbliżał się ku niemu. Płaszcz dziekana rozwarł się pod szyją i łopotał jak czarna wrona, ale ręce uchwyciły drewniany krzyż. Leżał cicho, póki żbik się nie zmęczył. Szedł potem od grobu do grobu, czepiając się krzyży, aż dotarł pod osłonę zachodnich drzwi, wszedł i oparł się o nie plecami, z trudem chwytając dech. Przez chwilę, gdy tak stał oparty, wydawało mu się, że katedra jest pełna ludzi. Lecz uprzytomnił sobie po chwili że światła migają mu pod powiekami, a śpiew to głosy wszystkich szatanów piekła. Wynurzały się one gromadami z mrocznych wyżyn, waliły, tłukły i kołatały w okna we wściekłej furii; szarpane przez

nie duże okno w ścianie zachodniej łopotało jak żagiel. Jocelin nie zwracał na diabły większej uwagi, niż mógłby zwracać na atakujące ptaki, bo znajdował się niejako poza własną jaźnią, we śnie i na jawie równocześnie - nie władał już sobą. Ouu! Ouu! i Auu! Auu! - wyły bijąc w niego łuskowatymi skrzydłami, a potem odlatywały, by walić w śpiewające filary, w okna i w sklepienie drgające w górze. Słyszał, jak ktoś - może on sam - naśladuje ich krzyk, gdy jego skurczone ciało posuwało się biegiem przez nawę w półmroku. Słyszał jęki arkad napinających kamienne ramiona. Gdy stanął przed pustym ołtarzem, diabły w szale zaczęły skakać i huśtać się na głównym łuku. Sięgnął na ślepo i wziął z ołtarza srebrną skrzyneczkę, tak jakby zamykała w swym wnętrzu zwykły gwóźdź. W nawie południowej rozlegał się huk, łoskot i gruchot spadających kamieni, a w nawie północnej trzask i brzęk pękającego szkła. Diabły walczyły z nim przy wejściu na kręcone schody, ale odpędził je Gwoździem. Kiedy szedł w górę, serce zaczęło mu walić w gardle, a gdy dotarł do niższej części wieży, nie widział jej prawie, bo wokół niego tańczył rój migocących światełek. Uszy jego nie przyjmowały już żadnych dźwięków, gdyż to, co dawniej było szeptaną przez

wieżę skargą, zmieniło się teraz w krzyk i wrzask na tle ponurego ryku wypuszczonego na wolność szatana. Kamienne i drewniane części wieży nie chwiały się już lekko; pochylały się nagle nad nim, aż rzucał się gwałtownie w bok albo chwycił się kurczowo drabin jak człowiek wspinający się po maszcie. Z jednej strony wśród ryku coś nieustannie trzeszczało i waliło się. W drewnianym namiocie u podstawy wieżycy podłoga zasypana była grubą warstwą kamiennych odłamków i drzazg, pośród których szukał stopnia pierwszej z drabin wiodących w górę. Z lewej strony diabeł na jego oczach otwierał i zamykał wolno otwór prowadzący w mrok. A potem drabiny piętrzyły się jedna nad drugą zygzakiem w ciemność - jedna na dole okazała się świeżo usunięta, inna zgięta i trzeszcząca, jakby związana. Ciemność pełna była drzazg, które drapały i kłuły, gdy wspinał się z trudem w górę ze swoim aniołem zagrzewającym i popychającym go naprzód, ze skrzynką owiniętą w połę sutanny... Szedł w górę coraz wyżej i wyżej, tam gdzie było już tak mało miejsca, że czuł się wśród ścian jak w kominie i poruszając się rozróżniał drewniane i kamienne powierzchnie, aż wreszcie przedarł się na sam szczyt, otworzył po omacku skrzyneczkę, wziął w rękę

wykonany solidnie Gwóźdź i opierając się na nodze i łokciu wbijał go srebrną miękką skrzynką w drewno, obracał Go, czuł w palcach, wbijał, wbijał...

Odgłosy rozbrzmiewające na wieży i sama wieża przestały dla niego istnieć. Upuścił skrzyneczkę i nie słyszał nawet, jak stukając nierówno spadała w dół. Zaczął teraz sam schodzić szczebel po szczeblu. Poczuł, że ręka, którą trzymał się drabiny, drży, i nie mógł tego drżenia opanować; przywarł więc całym ciałem do drabiny. Do schodów dotarł na czworakach.

Diabły ciągle jeszcze królowały w nawie, choć wieża była już zabezpieczona. On jednak nie był od nich bezpieczny. Anioł opuścił go, a kusząca słodczy diabelska kładła się na nim ciężarem jak gorąca ręka. Poczuł, że ogarniają go fale snu, i nie był w stanie im się oprzeć. Wyczołgał się ze schodów na pogrążony w mroku krużganek i położył przykładając twarz do popękanych kamieni, które wydały mu się kwietnym kobiercem. Diabły nie wrzeszczały już, ale zaczęły śpiewać. Był to cichy, bezlitosny śpiew. W przebraniu pojawiły się w jego głowie jako ludzie.

**Powiedział do strzaskanego kamienia:**

- Wbiłem Gwóźdź. Bez niego mogłaby runąć. Diabły spętały go i pokazywały mu coś, co się przybliżało. Naraz spostrzegł, że patrzy poprzez dziedziniec w słońcu tam, gdzie wiązy rzucają cień na dywan stokrotek. Tańczyły tam trzy małe ładne diabełki. Przysunął się bliżej w długiej smudze cienia. Tańczyły, klaskały w ręce i śpiewały:

“Bez gwoździa zginęła podkowa,  
Bez podkowy zginął koń,  
Bez konia zginął jeździec,  
Bez jeźdźca zginęło królestwo...

Usłyszał sam siebie - młodszy, roześmiany, kończył za nich piosenkę:

A wszystko przez to,  
że nie było Gwoździa w podkowie!

“Chodź no tu, dziecko!”

Jeden z diabełków zbliżył się do niego po trawie, inne się oddaliły. On zaś stał ze spuszczonym wzrokiem, zachwycając się jej urodą i niewinnością. Słyszał własne uprzejme, sondujące pytania, widział niepokój dziewczynki, ręce założone do tyłu, rude potargane włoski, drobną stopę, którą pocierała o drugą. Słyszał odpowiedź

dowodząca, że nic nie rozumiała: “My się tak bawimy, proszę ojca.”

W tamtym nierzeczywistym kraju było błękitne niebo i światło, była zgoda i bezgrzeszność. Podeszła do niego naga w płaszczu rudych włosów. Uśmiechała się i nucila coś. Wiedział, że ten dźwięk wyjaśniał wszystko, usuwał wszelką krzywdę i wszelkie przemilczenia, bo na tym polegała istota tamtego nierzeczywistego kraju. Z tego samego powodu nie widział już twarzy diabelskiej. Ale wiedział, że ona tam jest i idzie ku niemu, tak jak on szedł ku niej. A potem były już tylko fale niewysłowionej słodczy i uczucie pojednania. A potem nie było już nic.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

**Przychodził do siebie bardzo powoli. Policzkiem dotykał pękniętego kamienia, był już niechybnie dzień. Przez długi czas, nawet gdy otworzył oczy, były one jedyną częścią jego ciała, którą poruszył. Spojrzał w długi korytarz i zobaczył dobrze znany pomnik. Przywarł do niego wzrokiem, badając go cal po calu, jakby chciał tym wypełnić czas, aby coś innego go nie wypełniło. Ale pomnik nie udzielił żadnej pomocy, ani nic innego mu jej nie udzieliło. Na koniec pozostał bezradny w mocy nowego poznania.**

**Odezwał się po raz pierwszy:**

**- Oczywiście. Powinienem był wiedzieć. Powinienem był rozumieć.**

**W kościele rozlegały się jakieś hałasy, dalekie trzaśnięcia drzwiami, głosy. Wstał i kulejąc ruszył wolno na skrzyżowanie naw. Kiedy tam stanął, rozległy się krzyki. Dwaj słudzy biegli, a za nimi ojciec Adam. Czekał na kapelana ze zwieszoną głową i opuszczonymi rękami.**

**- Co mam robić?**

**- Iść ze mną. Kobieta czeka.**

**- Jaka kobieta?**

**Pytając pamiętał, że ona nie żyje i że chodzi o inną kobietę, o Alison poszukującą wygodnego grobu.**

**- Zobaczę się z nią. Ona może coś wiedzieć. To było ostatecznie jej całe życie.**

**Poszli razem przez nawę, a dwaj służący za nimi. W "jej" kącie stała jakaś postać, serce mu drgnęło. Ale był to niemowa, który nawet nie mruczał jak zwykle.**

**Wiedział, że hańba okrywała też i jego; odwrócił wzrok ku drzwiom, gdzie go prowadzono.**

**Zatrzymał się przed siedzibą dziekańską.**

**- Czy nie wolno mi tam wejść?**

**- Tak postanowiono. Na razie.**

**Skinął głową i ruszył po znajomych schodach. Duża sień, jak i wiele innych rzeczy, zupełnie zmieniła wygląd. Płonęły tu kłody drzewa i rozstawione wszędzie woskowe świece, zapalone jak na ołtarzu, przed ogniem, rozłożony był dywan, na nim stały dwa krzesła, słabo widoczne w blasku jarzących się świec; pomyślał, że te płomyki przypominają światełka, które niekiedy przepływały mu przed oczami. Ale nie miał czasu, by dokładnie się przyjrzeć zmianom, jakie tu zaszły, bo zobaczył siedzącą na**

**krześle przy ogniu kobietę, a za jej plecami inne kobiety. Podniosła się, gdy doszedł do skraju dywanu, padła na kolana, chwyciła jego rękę i ucałowała ją szepcząc:**

**- Wielebny ojcze! Jocelinie!**

**Wstała zaraz i powiedziała na pół zwrócona do tamtych:**

**- Powinna tu być gorąca woda, ręczniki, grzebień...**

**Przerwał jej unosząc rękę:**

**- To nieważne.**

**Po chwili milczenia popatrzył na inne kobiety.**

**- Rozkaż, by pozostawiono nas samych.**

**Cienie kobiet znikły. A gdy odeszły, ona ujęła jego rękę w swoje dłonie, ścisnęła ją lekko i posadziła go na krześle; poczuł miłe ciepło ognia z lewej strony. Spostrzegł, jak jest malutka stojąca obok niego kobieta, niewiele większa od dziecka: twarz jej znajdowała się trochę powyżej poziomu jego oczu. Patrzyła gdzieś poza jego ramieniem.**

**- Czy nie odeślesz też stąd twego kapelana, siostrzeńcze?**

**- On musi zostać. Jestem pod jego opieką. A gdyby nawet tak nie było, nie powinienem pozostawać z tobą. sam.**

**Roześmiała się szczerze.**

**- Dziękuję ci za komplement.**

**Nie potrafił jej jednak zrozumieć i nawet nie próbował. Skinęła z powagą głową, jakby to pojęła.**

**- Zapomniałam, jaki z ciebie czasem prowincjusz.**

**- Ja?**

**- Prowincjusz. Z prowincji, daleki od sedna spraw ograniczony w zasięgu widzenia i polu działania.**

**- Możliwe.**

**O jard od siebie miał jej twarz, której mógł się przyjrzeć - delikatną, ale mniej białą i gładką niż perły którymi obsyty był jej czarny czepiec. "Włosy pod nim są chyba czarne lub raczej były czarne." Przyglądał się łukom cienkich brwi, wpatrywał w czarne gałki oczu. -Zaczęła się śmiać, ale przerwał jej krótko, gderliwie:**

**- Cicho bądź, kobieto!**

**Stała więc posłusznie, uśmiechnięta.**

**Czarna fałdzista suknia. Na szyi także perły. Ręka \_ jakby rozumiejąc, czego pragnął, wyciągnęła ją ku niemu - pulchna i biała. A za ręką twarz - znów jakby rozumiejąc, czego pragnął, odsunęła rękę - twarz uśmiechnięta, pulchna jak ręka, już trochę nalana. Małe usta, orli nos. Powieki**

**ciemne i lśniące, może umalowane. Rzęsy długie i gęste; na dolnych dojrzał łzy.**

**- Ciotko!**

**Uśmiech zmienił się w grymas i łzy popłynęły. Mimo to w głosie jej był ton lekki, pobłażliwy.**

**- Ty niedobry!**

**Nagle poruszyła się żywo, kawałek białego materiału ukazał się w jej ręce.**

**- Przynajmniej to...**

**Pochyliła się do przodu; owiało go tchnienie wiosny. Przymknął oczy czując, że mu słabo. W natłoku wspomnień poczuł dotknięcie białej materii muskającej mu policzek, poczuł też dłoń na włosach. Znow usłyszał szept:**

**- Ostatecznie nawet...**

**Wśród woni perfum otworzył oczy, gdy ona wciąż jeszcze krzątała się przy nim. Przyjrzał się jej twarzy z odległości kilku cali. I spostrzegł teraz, jak starannie jest zakonserwowana i wypielęgowana. Gładką skórę pokrywała siateczka zmarszczek, zbyt drobnych, by można je dojrzeć z daleka. Był to kompromis między otyłością a wędnięciem, co widać było po większych bruzdach w kącikach oczu i na delikatnym czole, którym nie pozwolono**

zmienić się w zmarszczki. Twarz ta broniła się przed nieruchomością i obwisłością ciągłą zmianą wyrazu. Jedynie oczy, małe usta i nos trzymały się niewzruszenie - bastiony tak mocne, że nie potrzebowały obrony. Poczuł jakąś litość dla tej twarzy, lecz nie wiedział, jak ją wyrazić. Zamiast tego wymamrotał:

- Dziękuję ci. Dziękuję...

Zostawiła wreszcie jego twarz w spokoju, zabrała z sobą wiosnę, odwróciła się, przeszła po dywanie i usiadła patrząc na niego.

\_ No i co, mój siostrzeńcze?

Przypomniął sobie, że nie przyjechała, by odpowiadać na pytania, ale po to, by coś od niego uzyskać. Potarł bok głowy.

- Jeśli chodzi o te listy, które do mnie pisałaś, i sprawę twojego grobu...

Uniosła ręce w górę i wykrzyknęła:

- Nie! Nie myśl o tym!

Ale on był już znów zaabsorbowany.

- Decyzja nie będzie teraz może zależała ode mnie, choć nie jestem pewien... Ojczy Adamie... - Podniósł głos: - Ojczy Adamie!

- Nie słyszę was, wielebny ojciec. Czy mam podejść bliżej?

“O co miałem zamiar go zapytać? I ją?”

- Mniejsza o to.

Ogień skakał mu w oczach.

- Nie, Jocelinie! Przyjechałam ze względu na ciele... na twoją sytuację. Musisz w to uwierzyć!

- Martwiłaś się o mnie? O mnie, prowincjusza?

- Twoja historia znana jest w całym kraju. Niemalże w świecie.

- Ale twoje ciało - wybacz - mogłoby ją w pewnym sensie zbezczęścić.

Przekonał się na własne uszy, jak szybko ta kobieta umie wpaść w złość.

- A czyś ty sam jej nie zbezczęścił? Ci ludzie z budowy? Ta pusta katedra? Ten kamienny młot tam w górze, mogący uderzyć w każdej chwili?

Popatrzył w ogień i odpowiedział cierpliwie:

- Kobiecie trudno to zrozumieć. Widzisz, zostałem "wybrany. Potem żyłem już tylko myśląc o tej pracy i wykonując ją. Poświęciłem się temu. Ale należało być o wiele ostrożniejszym.

**- Zostałeś wybrany?**

**- Przez Boga. On przecież robi takie rzeczy. A ja wybrałem Rogera Masona. Nie było nikogo innego... Nikogo, kto potrafiłby to zrobić. Potem tamci poszli za nim.**

**Podniósł wzrok, przestraszony jej śmiechem.**

**- Posłuchaj, siostrzeńcze. To ja cię wybrałam. Słuchaj, co ci powiem. To nie działo się w Windsor, ale w domku myśliwskim. Leżeliśmy w łóżku...**

**- Co to ma wspólnego ze mną?**

**- Spodobałam mu się i zapragnął ofiarować mi coś, choć miałam wszystko, czego tylko mogłam pragnąć...**

**- Nie chcę tego słuchać.**

**- Przyszło mi to do głowy, bo byłam szczęśliwa i dlatego skłonna do wielkoduszności. Powiedziałam mu:**

**“Mam siostrę, a ona ma syna...” - Uśmiechała się znowu, smutno tym razem. - Przyznaję, że nie kierowała mną jedynie wielkoduszność. Ona była taka pobożna, taka posępna i zawsze chciała... Nazwijmy to połowiczną wielkodusznością. Bo matka twoja była w pewnym sensie podobna do ciebie: uparta, obrażająca ludzi...**

**- Kobieto... Co on odpowiedział?**

**- Siadaj, Jocelinie! Denerwujesz mnie, kiedy stoisz tak niczym ogromny ptak zgarbiony na deszczu. Zastanawiam się, czy czułam jakąś radość...**

**- Co on powiedział?**

**- Powiedział: "Urządzimy go." Tak właśnie powiedział. Niedbale, obojętnie. A ja odrzekłam: "On jest, zdaje się, w nowicjacie w jakimś klasztorze". Zaczęłam się śmiać i on też ryknął śmiechem, a potem pieściliśmy się i kochali bez końca, bo musisz przyznać, że to ma też swoje przyjemne strony. Byliśmy w końcu młodzi. Podobało nam się to. Jocelinie...?**

**Spostrzegł, że kobieta klęczy przy nim.**

**- Jocelinie? Cóż to ma za znaczenie? To też jakiś rodzaj życia.**

**- A to, co ja zrobiłem... - powiedział ochryple. I po chwili ciągnął: - Zawsze uważałem, że powinienem poświęcić życie pracy. Może to taki rodzaj pracy, której się nie da opisać. Ale ostatecznie jest Gwóźdź...**

**- Jaki gwóźdź? Mówisz tak chaotycznie.**

**- Nasz biskup Walter w Rzymie...**

**- Znam Rzym. I znam biskupa Waltera.**

- No więc widzisz sama. Co ja znaczę? Tylko to ma znaczenie, bo... bo...

- Bo co?

-- Jest pewna płaszczyzna przekraczająca twoje zrozumienie. On przybił wieżę do nieba. Prosiłem o pieniądze, głupi ślepiec. On zrobił coś lepszego...

“No - pomyślał - koniec.” Ale to nie był koniec, bo usłyszał ją znowu. Mówiła zdyszczanym szeptem:

- Prosiłeś go o pieniądze, a on przysłał ci gwóźdź?

- Tak.

- Walter!

Zacząła się śmiać, zanosząc się wprost śmiechem, aż zabrakło jej tchu, a on wśród ciszy usłyszał śpiew filarów we własnych uszach. Nie zrozumiał wszystkiego ani nie wydedukował sobie logicznie, ale nagle począł drzeć cały i ogarnęły go mdłości. Poczuł, że kobieta szarpie go za rękę.

- Jocelinie! Jocelinie! Nic nie jest równie ważne jak to.

Otworzył oczy.

- Musisz wierzyć, Jocelinie!

- Wierzyć?

- Tak! Tak! Wierzyć w swoje powołanie... i w gwóźdź...

Trzymała go za ramiona i potrząsała nim.

**- Słuchaj! Słuchaj, mówię! Nie byłabym ci tego powiedziała, gdyby...**

**- To nie ma znaczenia.**

**- Chciałeś mnie o coś zapytać. Pomyśl, skup się. O co? Spojrzał jej w oczy i spostrzegł w nich przerażenie.**

**- Czy o to ci chodziło, że...**

**Tę dziecinną zabawę w zgadywanie musiał zakończyć swoim cienkim śmieszkiem.**

**- Już wiem. Co to znaczy, gdy myśl obraca się tylko dokoła jednego, i to nie dokoła rzeczy słusznej, nakazanej, ale właśnie niedozwolonej... Kiedy rozmyśla się i wspomina na pół z przyjemnością, a na pół z udręką...**

**- Jakiej rzeczy?**

**- A gdy to przestaje istnieć, bo przestaje, przestaje... "wskrzesza się sceny, których nigdy w jej życiu nie było...**

**- Jej?**

**- Widzi się ją w najdrobniejszych szczegółach na tle nierzeczywistego kraju, nie jest się w stanie już nic innego widzieć... i wie się, że to logicznie wypływa z wszystkiego, co zdarzyło się przedtem...**

**Szepnęła tuż koło niego:**

**- To się tobie przytrafiło?**

**- To jakaś obsesja. Wynikła z tamtego. Patrząc jej z powagą w oczy powiedział:**

**- Wiesz to z pewnością. Powiedz mi. Tylko tego pragnę. To opętanie, prawda? Na pewno opętanie!**

**Ale ona się odsuwała, przechylała do tyłu, potem wstała i cofała się po dywanie. Pozostał tylko po niej straszliwy szept:**

**- Tak. To opętanie. Opętanie.**

**Odeszła, a on pozostał kiwając z powagą głową w kierunku ognia.**

**- To pewien model. Jeszcze więcej trzeba zniszczyć. Jeszcze więcej. - Przypomniął sobie o ojcu Adamie stojącym gdzieś w mroku.**

**- Co myślicie, ojcze?**

**- Ona stoi już nogami w piekle. Wyrzucił ją z myśli. Znikła z jego życia, jak kropla deszczu znika w rzece.**

**- Chaos wszędzie.**

**Po chwili ojciec Adam odezwał się znowu:**

**- Musicie iść spać.**

**- Nigdy już nie zasnę.**

**- Chodźcie, ojcze.**

**- Siadę tu i będę czekał. To pewien model i jeszcze; niepełny.**

**Usiadł i przyglądał się rojom iskier błakających się pośród płomieni. Mówił od czasu do czasu, ale nie do ojca Adama:**

**- A jednak jeszcze stoi.**

**A potem jęczał i kołysał się z boku na bok. Raz, później już, zerwał się i krzyknął:**

**- Błuznierstwo!**

**Wiele godzin potem, gdy z ognia zostały tylko żarzące się węgle, powiedział:**

**- Istnieje jakieś pokrewieństwo pomiędzy ludźmi, którzy siedzą przy dogasającym ogniu i oceniają wartość swojego życia.**

**Świt wsunął się przez okna i zbladł w pokoju, gdzie się stopiły świece. Ostatnia iskra ognia zgasła i do sieni wszedł posłaniec, człowiek zaufany; pokaszując wskazywał drogę. Jocelin wstał wolno z krzesła.**

**- Czy pozwolicie mi pójść z nim, ojcze? Pilnujący go zakonnik wykonał zrezygnowany gest,.**

**- Pójdziemy razem.**

**Jocelin pochylił głowę i już jej nie podniósł. Szli ku drzwiom zachodnim w ostatnich podmuchach niespokojnego wiatru. Nawa wyglądała jak zwykle; Jocelin powiedział w bok do niemowy, nie chcąc na niego patrzeć:**

**- Prowadź nas, mój synu.**

**Więc niemowa poprowadził ich na palcach do filara po stronie południowo-wschodniej, pokazał wybity dłutem w kamieniu niewielki otwór i odszedł tak samo na palcach. Jocelin zrozumiał, co ma zrobić. Wyjął trójkątne dłuto z otworu, podniósł żelazny łom i wbił je znowu. Dłuto zagłębiło się, przebiło kamienną powłokę i ze zgrzytem wwierciło się w gruz, którym olbrzymi zaludniający w owych czasach ziemię wypełnili wnętrze filara.**

**A potem wszystko zlało się razem. Duch jego rzucił się w przepastne, skryte głębie z wołaniem: "Wyrzuć, poświęć, zniszcz całkowicie, wmuruj mnie w nią wraz z innymi"... I równocześnie Jocelin rzucił się całym ciałem na ziemię, na kolana, na twarz, na pierś, rozbijając się o kamienie. Wtedy jego anioł odpiął od stopy mającej kształt racicy dwa skrzydła i wysmagał go od siedzenia do głowy rozpalonym do białości biczem. Poczul ogień w krzyżu i krzyknął, bo nie mógł tego znieść, a wiedział, że znieść będzie musiał. W**

**pewnej chwili jakieś niezgrabne ręce usiłowały go podnieść; ale nie mógł powiedzieć im o biczu, bo ciało jego wiło się na skrzyżowaniu naw jak przetrącony wąż. Ciało krzyczało, ręce szamotały się z nim, a Jocelin wiedział, że wreszcie jedna dobra modlitwa została wysłuchana. Gdy ból minął, spostrzegł, że wynoszą go ostrożnie z miejsca, gdzie złożył siebie w ofierze. Leżał na grzbiecie, którego nie czuł, i czekał. Anioł z biczem mógł działać tylko tyle, ile ciało było w stanie znieść, cokolwiek słowa sądziła o tym. Potem nie czuł już pleców, nie czuł w ogóle nic.**

**Złożono go na łóżku w pokoju na piętrze, gdzie leżał zwrócony twarzą do kamiennych żeber sklepienia. Od czasu do czasu anioł opuszczał go i wtedy mógł myśleć.**

**„Poświęciłem mój grzbiet.**

**Jemu.**

**Jej.**

**Tobie."**

**Co jakiś czas pytał niespokojnym szeptem:**

**- Czy już runęła?**

**A podobny do kołka zakonnik odpowiadał spokojnie:**

**- Jeszcze nie.**

Pewnego dnia, gdy względnie jasno mógł myśleć, przyszło mu coś do głowy.

- Czy bardzo jest uszkodzona?

- Podniosę was, ojczy, byście usiedli, i będziecie mogli zobaczyć przez okno.

Pokręcił głową na poduszce.

- Nigdy więcej na nią nie spojrzę.

W pokoju zrobiło się nieco ciemniej, więc wiedział, że ojciec Adam podszedł do okna.

- Jeśli spojrzeć na nią nie przyglądając się dokładnie, wydaje się nie uszkodzona. Ale wieżyca pochyła się lekko, zagrażając krużgankom. Jest u podstawy wklonowana w mur. Dużo tam strzaskanych kamieni.

Przez chwilę leżał bez ruchu.

- Następna wichura... Następna wichura... - wyszeptał.

“Kolek” podszedł, pochylił się nad nim i przemówił łagodnie. Z bliska widać było, że ma jakąś twarz.

- Zanadto się przejmujecie, ojczy. To wielka szkoda, oczywiście. Ale budowaliście z wiarą, acz mylnie rozumianą. To niewielki grzech w porównaniu z innymi. Samo życie to też chwiejący się budynek.

Jocelin znów pokręcił głową.

- Co wy tam wiecie, ojcie Anonimie. Widzicie zewnętrzne pozory. Nie znacie nawet jednej dziesiątej istoty rzeczy. Stał jak gdyby przy ojcu Anonimie udzielając mu nagany - i wtedy anioł uderzył go znowu. Kiedy Jocelin wrócił do przytomności, ojciec Adam stał nadal przy nim i mówił, jakby nic im nie przerwało.

- Pamiętaj o twojej wierze, mój synu.

“Moja wiara - myślał Jocelin. - Jaka wiara?” Ale nie powiedział tego twarzy, którą widział nad sobą, która pewnego dnia mogła się stać wyrazista. Westchnął tylko i roześmiał się.

- Chcielibyście zobaczyć moją wiarę? Spoczywa tam w starym kufrze. Mały notes w lewym rogu. Urwał na chwilę, by złapać oddech, a potem roześmiał się znowu.

- Wyjmijcie to i czytajcie.

Po podłodze zaszurały kroki, skrzypnęło wieko. A potem ojciec Adam, stojąc przy oknie, spytał:

- Głośno?

- Głośno.

“Atrament musiał zżółknąć - pomyślał Jocelin. - Anzelm był jeszcze młodym człowiekiem, a Roger Mason

chyba chłopcem. A ona... I ja byłem młody, a w każdym razie młodszy."

W wieczornym mroku zabrzmiał skrzypiący głos ojca Adama:

- "Pewnego wieczoru, gdy już od trzech lat piastowałem swój', godność, klęczałem w kaplicy i modliłem się tak górną o, jak tylko umiałem, bym pozbył się pychy z racji tej godności. Byłem młody i niezmiernie szczyliłem się moją wielką katedrą. Byłem samą pychą..."

- Tak, byłem istotnie.

- "Nieskończone miłosierdzie musiało być tuż przy mnie. Usiłowałem spojrzeć na budynek jak na rzecz, na przedmiot stojący mi na drodze. Było to łatwe, bo za oknem, widziałem jego ściany..."

Jocelin znów kręcił głową. "Co to wyjaśnia? - myślał. - Nic! Nic!" Czy nic?

- "Patrzyłem na zarys dachu, na ściany i nawy boczne, na wieżyczki wznoszące się w odstępach wzdłuż muru..."

- Czy to nie miało znaczenia, ojcze?

- "Wiem teraz, dlaczego wzrok mój został tam skierowany. Ale wtedy nie wiedziałem, klęczałem tylko, póki nie zubożniałem na to, na co patrzyłem. I wtedy serce

**moje drgnęło. Lub raczej coś w nim wezbrało i rosło, rosło, aż osiągnęło swój szczyt i wybuchło płomieniem..."**

**- To prawda. Przysięgam.**

**- "...który zgasł, ale ja pozostałem jak sparaliżowany. Bo na tle nieba ujrzałem najbliższą wieżyczkę, która była dokładnym kamiennym odbiciem mojej modlitwy. Ten sam pęd wzwyż i uniesienie serca, i ten kształt wznoszący się w górę, zwężający, przesywający niebo... A na szczycie wyciosane w kamieniu to, co odczułem Jako płomień."**

**Tak było. Jeszcze teraz możecie zobaczyć tę wieżyczkę, gdy odwrócicie głowę.**

**- "Jeśli wydaje się to dziwne wobec mojej ignorancji, drogie dzieci, jak mam opisać cud, który wydarzył się potem? Bo w miarę jak patrzyłem, moja zdolność pojmowania rozszerzała się. Tak jakby wieżyczka była kluczem, który otworzył wielką księgę. Jakbym zdobył nowe ucho do słuchania, nowe oko do patrzenia. Cała budowla niejako mi się objawiła - a ja przedtem w młodszej głupocie wykrzywiałem się na jej widok! Budynek przemówił. «My jesteśmy mozołem" - mówiły jego ściany. Ostrołukowe okna klaskały w ręce i śpiewały: «My jesteśmy modlitwą». - A trzy boki trójkątnego dachu... jak**

ja to opowiem? ...Próbowałem zdradzić moją katedrę, a ona wróciła do mnie po tysiackroć."

- Pomimo tego.

- "Rzuciłem się do drzwi w ścianie zachodniej i wypadłem na zewnątrz. Pozwólcie mi to jeszcze dokładnie wyjaśnić. Ujrzałem cały budynek jako obraz żywego modlącego się człowieka. A jego wnętrze to była bogato zapisana księga, ku jego pouczeniu. Pamiętam, że był to wieczór zimowy i o tej porze nawa tonęła już w ciemności. Ci patriarchowie w oknach jarzyli się jeszcze w blasku, tak jak i święci pod nimi w dole. W powietrzu snuła się woń kadzidła, a z kaplic dobiegał szept zgromadzonych tam księży - znacie to sami. Szedłem przed siebie. Nie! Niosła mnie duchowa radość, która rosła z każdym krokiem, zmieniając się w pewność i samowyrzeczenie. Zanim dotarłem tu, na skrzyżowanie naw, nie pozostawało mi nic innego jak paść twarzą na te kamienie..."

- I odtąd zawsze tak robiłem.

- "...bo w jakiś sposób zespoliłem się z mądrymi i świętymi... nie, z świętymi i mądrymi budowniczymi..."

- Filary się gną.

- "Zostałem wtajemniczony w ich tajemny język, taki prosty, taki jasny dla tych, co potrafią patrzeć. I widzieć. Podręcznik nieba i piekła leżał otwarty przede mną i w tym schemacie mogłem dostrzec własną nicość. Serce w nowym porywie zdawało się budować w moim wnętrzu kościół, jego ściany, wieżyczki, spadzisty dach, z całkowitą swobodą i nieuniknionym przyzwoleniem.

I tak w mojej nowo odkrytej pokorze i nowo odkrytym poznaniu trysnęło ze mnie źródło - trysnęło w górę, wzwyż, w płomieniu i blasku, w nieograniczoną już przestrzeń, wypełniając nakaz najwyższej konieczności, nie dającej się zaprzeczyć (kto zresztą mógłby zaprzeczać, kto by chciał, nieprzerwana wspaniałe źródło ducha, moje szalone spalanie się dla Ciebie..."

- O Boże!

- "...A na wierzchołku, jeśli wierzchołek to właściwe słowo, jakaś końcowa tonacja, , który mnie napawał dumą. Ciało moje leżało na kamieniach, które wydawały się miękkie, odmienione w jednej chwili, w mgnieniu oka, wskrzeszone z codzienności. Wizja się w końcu rozplynęła, a wspomnienie o niej, Którym delectowałem się jak manną,

uksztaltowało się w wieżę, stało się ośrodkiem księgi, koroną, najgorętszą modlitwą."

- Niezdarna, krusząca się wieża Niepodobna do tego, czym być miała. Niepodobna wcale.

- "Podniosłem się wreszcie. Świece paliły się jeszcze, ani odrobinę nie krótsze, księża szeptali dalej. Bo to była zaledwie chwila według miar świata. Idąc nawą niosłem w oczach obraz świątyni. Czy wiecie, dzieci, że sprawy ducha są po trzykroć rzeczywistsze od spraw ziemskich? Dopiero w połowie drogi do domu pojąłem prawdziwą istotę danego mi objawienia. A kiedy się odwróciłem, by spojrzeć raz jeszcze i podziękować Bogu, spostrzegłem, że czegoś brak. Katedra stała, ale najgorętsza modlitwa wystrzelająca w niebo z jej środka nie istniała w sposób realny. I od tej chwili wiedziałem, dlaczego Bóg przywiódł tu mnie, swego niegodnego sługę..."

Skrzypiący głos ucichł. Jocelin usłyszał, że ojciec Adam szeleści nie zapisanymi kartkami- Potem zaległa cisza. Zamknął oczy i ze znużeniem położył sobie rękę na czole.

- Kiedyś tak mówiłem. Gdy się rzuciłem na ziemię i poświęciłem tej pracy, myślałem, że poświęcić się samemu

to samo co poświęcić wszystko. Na tym polegała moja głupota.

W głosie ojca Adama, kiedy się odezwał, brzmiała nowa nuta - zdumienia i niepokoju-

- Czy to było wszystko?

-- Uważałem, że zostałem wybrany - jako człowiek ducha, zdolny do najwyższej miłości - i że powierzone mi zostało określone zadanie.

- Iż tego wynikło wszystko inne: długi pieniężne, pusty kościół, właśnie?

- Więcej, o wiele więcej. Więcej, niż kiedykolwiek będziecie wiedzieć. Bo naprawdę ja sam siebie nie znam. Zastrzeżenia... I milczące przyzwalanie... A przede wszystkim praca. I poprzez nią przedziona złota nić... Nie, roślina o dziwnych kwiatach i owocach, splątana, pełna owijających się pędów, żarłoczna, niszcząca, dusząca.

I natychmiast ujrzał tę roślinę, orgię liści i kwiatów, i przejrzałych pękających owoców. Ale nie umiał dojść do źródła tej całej gmatwaniny ani rozszyfrować udręczonych twarzy krzyczących pośród niej. Krzyknął więc sam, a potem ucichł. Leżał starając się nie urazić w plecy, starając się nie myśleć o bólu, który zaczął pulsować w czole,

wpatrując się w żebrowanie kamiennego sklepienia. Myślał tylko:

„Jestem tu. A tu to właściwie nigdzie.”

Kiedy ojciec Adam odezwał się znowu, głos jego nie był już skrzypiący jak przedtem. Słowa padały z jego ust jak drobne kamyki.

- A więc to wszystko?

Od okna padło więcej światła, gdy zakonnik się od niego odsunął. Stał teraz blisko, a jego następne pytanie nie miało żadnego sensu.

- I kiedy słyszycie coś, czy widzicie to równocześnie? Leżał czując, że nie leży nigdzie, obracając bolącą głowę z boku na bok, jakby mógł strząsnąć z niej ból. Za oknem rozległy się kroki i wesoly gwizd. Pełen ponurych myśli słuchał, jak gwizdanie cichło za rogiem.

- Co to ma za znaczenie?

- Nic was to nie nauczyło? Te wszystkie minione lata?

„Czego się nauczyłem? Orzeł spadł na mnie nad morzem. To wystarczyło. A potem...”

- Słyszeliście, co mówiła. Wiecie, jak to było. Ojciec Adam szeptał żarliwie:

- ...takiemu lepiej byłoby kamień młyński zawiesić u szyi...

„0, nie - pomyślał. - To zbyt proste. Jak każde wyjaśnienie. To nigdzie nie sięga korzeni.”

Ojciec Adam spytał teraz z wyraźnym zdumieniem:

- Nigdy nie nauczono was się modlić?

Włosy zwiane do tyłu przez wiatr ducha. Otwarte usta, z których nie płynie woda deszczowa, lecz okrzyki:

Hosanna!” Uśmiechnął się z przymusem do swego kapelana.

- To dawne czasy.

Lecz ojciec Adam nie odwzajemnił uśmiechu. Stał z rękami zaciśniętymi na piersi. Patrzył w bok, spuściwszy głowę o nijakiej twarzy i rzadkich włosach. W głosie jego był teraz przestach, jakby dojrzał roślinę i poczuł lekkie dotknięcie jej pędu na policzku.

- Wasz spowiednik...

- Anzelm?

“Zawsze Anzelm - myślał. - W tym, i wciąż nie w tym. I jeszcze ta pieczęć.” Mówił do zebrowatego sklepienia:

- Powiem wam coś, ojcie Adamie. Jestem teraz pewny, że kochałem ich wszystkich. Może dlatego ona mnie

**prześladuje. Chybaście o niebo lepsi od nich - może nie ma zresztą ludzi naprawdę niegodziwych, zasługujących na piekło - a jednak nie jesteście przy mnie blisko, nie omotują was gałęzie. To opętanie. To musi być opętanie. W przeciwnym razie jak on i ona mogliby stanąć tak zdecydowanie pomiędzy mną a niebem?**

**Usłyszał oddech tuż przy sobie. Oderwał oczy od sklepienia i od przeszłości i zobaczył, że ojciec Adam klęczy przy łóżku. Twarz miał zakrytą rękami i dygotał cały. Słowa też padały drżące spomiędzy palców, gdy rzucał je w szybkim szepcie:**

**- Boże, zlituj się nad nami!**

**Opuścił ręce i przeżegnał się. Jocelin spostrzegł nagle jak bardzo się mylili ci, co uważali, że ojciec Anonim nie ma twarzy. Po prostu to, co zostało na niej wypisane<sup>^</sup> wypisane było drobnymi literkami, których łatwo mogło się nie dojrzeć, chyba że ktoś zajął się tym specjalnie lub patrzył w nią z konieczności, jak musi patrzeć z łóżka człowiek chory. Krzyknął do tej twarzy,, zanim zdążył pomyśleć:**

**- Pomóż mi!**

**Słowa te były jakby kluczem. Poczuł, że wstrząsnęły nim, tak jak i ojcem Adamem. Bolesne drżenie przebiegało**

mu przez głowę i plecy. Równocześnie niezmiernie morze smutku wyciągnęło swoje ramię, by go nim napęlić; smutek spłynął w obfitych łzach, którym Jocelin pozwalał płynąć nie zwracając na nie uwagi. A wtedy wysunęło się inne ramię, sięgnęło mu przez pierś i ręka zacisnęła się na jego ramieniu. Druga ocierała mu delikatnie twarz.

Po chwili drzenie ustało, łzy przestały płynąć. Głos, równie łagodny jak twarz, zaczął szeptać przy nim:

- Zacniemy teraz od początku. Niegdyś znałeś wszystkie stopnie modlitwy, aleś o nich zapomniał. To dobrze. Większość z nich nie jest przeznaczona dla zwykłych grzesznych ludzi. To był u ciebie rodzaj cnoty. Najniższy stopień to modlitwa słowna. Od niej zacniemy, jak dzieci, bośmy nimi obaj...

- A moja modlitwa, ojczy? Moja... wizja? Zapadła chwila ciszy. "Mój czarny anioł powróci - myślał. - Wiem o tym, czuję to. Spiesz się, póki czas."

- Moja modlitwa? Moja wieża modlitwy? Jak to wyjaśnić?

Inna wilgoć wydobywała się teraz z jego skóry. Poczł rękę odgarniającą mu włosy z czoła. Ale strach przed powrotem anioła nie opuszczał go.

**- Szybko!**

**- Tuż nad modlitwą słowną znajduje się następny stopień, bardzo niski. To tam otrzymujemy zachętę, ciepło, wzruszenie. Tak jak daje się łyżkę miodu dziecku, żeby było grzeczne, albo po prostu dlatego, że się je kocha. Twoja modlitwa była z pewnością dobrą modlitwą, ale jeszcze nie najlepszą.**

**Obrócił się na łóżku próbując uciec. Tylko coś, co musiało leżeć głęboko, blisko korzenia rośliny, kazało mu krzyknąć do kamiennego sklepienia i do pochylonej nad nim z niepokojem twarzy:**

**- Moja wieża przebijała te wszystkie stopnie, od dołu do samej góry!**

**I w tejże chwili czarny anioł uderzył go.**

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

**Co pewien czas ból słabł i Jocelin mógł myśleć. I zawsze pierwsze słowa, jakie kierował do ojca Adama, to było pytanie:**

**- Nie runęła jeszcze?**

**A odpowiedź była też zawsze ta sama:**

**- Jeszcze nie, mój synu.**

**Budował w głowie, zastanawiał się, jakie fundamenty trzeba by położyć, aby mógł wiedzieć to, co chciał wiedzieć.**

**- Póki nie rozbiorą katedry, nie dowiem się prawdy, nie rozszyfruję tej łamigłówki.**

**Ojciec Adam musiał pomyśleć, że chory bredzi, bo nie odpowiedział. Jocelin idąc drogą własnych myśli wyraził następną konkluzję:**

**- A i wtedy nawet nie będę nic wiedział. Pewnego dnia posłał po Anzelma i czekał nieskończenie długo pod ciemnym sklepieniem, póki nie przypomniał sobie, jaka jest teraz jego pozycja. Posłał więc powtórnie, prosząc Anzelma, by okazał mu miłosierdzie i przyszedł. Anzelm zjawił się w końcu bardzo sztywny. Godzina była popołudniowa; pokój tonął już w mroku, bo jedyne okno**

wychodziło na wschód i na katedrę. Usłyszał, że ojciec Adam schodzi po schodach, by zostawić ich samych, usłyszał skrzypnięcie krzesła, gdy usiadł na nim Anzelm. Jocelin zwrócił wzrok w jego stronę i z uwagą przyjrzał się szlachetnej głowie z grzywką srebrnych włosów nad czołem. Ojciec Anzelm nie odwzajemnił spojrzenia. Patrzył uparcie w okno i nie odezwał się.

- Anzelmie! Przyszedłem w końcu na miejsce opuszczenia...

Anzelm spojrział szybko w bok, a potem odwrócił oczy, jakby zobaczył coś nieprzyzwoitego. Powiedział to, czego można się było spodziewać; ale słowa były suche i sztywne jak jego postawa.

- Wszyscy ludzie prędzej czy później...

“Nie - pomyślał Jocelin. - Tak się nie mówi do prawdziwych ludzi. On mnie nie widzi. Nie jestem prawdziwy. Ale się uczę.”

- Wróciłem w myślach - jakże boleśnie - do czasów, kiedy byłeś moim opiekunem.

Anzelm nie odwrócił wzroku. Był w nim jakiś chłód i skrepowanie. Tak samo zabrzmiały wypowiedziane słowa;

- W połowie życia...

- **Życie!** - zamknął oczy i rozmyślał nad nim chwilę. - **Oczywiście wiem. Moje życie potoczyło się zupełnie inaczej, niż myślałem. Ale przecież kiedyś na przylądku morskim podszedłem do ciebie, do mistrza nowicjatu, bo myślałem, że wybrał nas Duch Święty.** - **Znów podniósł wzrok na sklepienie. Widział poza nim piaszczysty brzeg i oślepiające w słońcu morze.** - **Przybiegłem do ciebie.**

**Anzelm poruszył się, na twarzy jego ukazał się nikły uśmiech, ale nie był to uśmiech pogodny.**

- **Łasiłeś się do mnie jak pies.**

- **Co ty potrafisz zrozumieć, Anzelmie? Anzelm znowu patrzył w okno. Na jego policzkach ukazały się rumieńce. Głos miał stłumiony.**

- **Dlaczego musisz mieć zawsze jakiegoś najbliższego przyjaciela, jak głupia dziewczyna? Dlaczego ja byłem przedmiotem tych młodocianych względów?**

**Jocelin miał zupełny chaos w głowie.**

- **Ja? Jak to...?**

- **Anzelm mówił cicho i bardzo cierpko.**

- **Nie wiesz. Nigdy nie wiedziałeś, jaki jesteś niezdolny. Niezdolny.**

**Jocelin oblizwał suche wargi.**

**- Jestem... byłem zawsze człowiekiem skłonnym do silnych przywiązań. Choć może nie umiałem tego okazać.**

**Zaczekał, aż żal jego osłabnie trochę, a potem spytał patrząc w sufit:**

**- A ty, Anzelmie, co powiesz?**

**Anzelm wstał i zaczął chodzić w kółko po pokoju. Na koniec zatrzymał się zasłaniając Jocelinowi sklepienie. Odwrócił zeszywniały kark, popatrzył mu w oczy i cofnął się.**

**- To było tak dawno. Może nigdy nie miało wielkiego znaczenia... I potem tak wiele się zdarzyło. Nie potrafię powiedzieć nic więcej. Śmieszyło mnie to i wzruszało. I irytowało. Byłeś tak wrażliwy.**

**- Wrażliwy... Tylko wrażliwy. Nic więcej. Nie widziałeś nic i nic nie rozumiałeś.**

**- A ty potrafisz zrozumieć! - krzyknął gwałtownie Anzelm. - Gnębiłeś nas wszystkich, gnębiłeś mnie - latami!**

**- To było nasze zadanie, które musieliśmy wykonać. Tak mi się przynajmniej zdawało. Teraz już sam nie wiem, co myśleć...**

- Ten klasztor mi odpowiadał, choć może nie był ściśle tym, co miał na myśli nasz założyciel. A potem ty się zjawiłeś... Przyleciałeś jak wielki ptak...

- ...do mistrza nowicjatu.

- Jestem, jaki jestem. Ale widzieć ciebie pnącego się w górę drogą czysto nominalną: akolita, potem diakon, potem kapłan... I dziekan tej katedry, gdy zaledwie umiałeś przeczytać „Ojcze nasz” po łacinie!... I być nakłanianym, nakłanianym - bo za koniem musi iść wóz, no i przyznać trzeba, że wielki świat jest potrzebny, skoro nikt z nas nie jest święty - być nakłanianym do czegoś, co okazało się klęską... Przyznaję się do niej szczerze... Mogłem pozostać tam, gdzie byłem, i działać coś dobrego. Namówiłeś mnie i uległem.

- I co dalej?

- Co dalej? Wiesz przecież, co się stało. Stary król umarł i przestałeś awansować.

- Rozumiem.

- A potem musiałem wysłuchiwać twoich spowiedzi, twoich niepełnych spowiedzi, w których się przechwalałeś...

- Co z ciebie za kapłan?! - zdumiał się Jocelin.

**- Powinieneś wiedzieć. Taki sam jak ty. Bardzo marny. Wiem o tym. No a Iwo, Jocelinie? Chłopiec mianowany kanonikiem. Tylko dlatego, że ojciec jego dał drewno na budowę. Rozumiesz? On ma takie same prawa w kościele jak ty. Lub ja. Ale wyrządzi mniej szkody. Spędza czas na dzwonieniu. Ciężyleś nad nami jak jakieś nieszczęście. Nieraz widok ciebie u władzy ścisnął mi serce i pozbawiał tchu. I jeszcze ci coś powiem. Choć nad naszymi obradami ciąży ta kamienna machina, w kapitule panuje spokój i nastrój przyjaźni, jakby rozlano tam balsam - bo ciebie nie ma.**

**- Anzelm!**

**- Pamiętasz, co powiedziałeś na zebraniu kapituły, gdy ja się wypowiadałem przeciwko budowie wieży? Bo robiłem to. Nigdy tego nie zapomnę. Wobec wszystkich powiedziałeś: "Siadaj, Anzelmie!" Pamiętasz? "Siadaj, Anzelmie..."**

**- Dajmy temu spokój. Nie ma nic więcej do zrobienia ani do powiedzenia.**

**- I jeszcze sprawa świec.**

**-- Wiem.**

**- I wreszcie, Jocelinie, jeśli chcesz, by o wszystkim :  
mówić otwarcie, jest jeszcze sprawa katedry.**

**- Czy nie możesz już pójść sobie?**

**- Musisz przyznać, że to był szczyt wszystkiego -  
próbować zmuszać człowieka w moim wieku, by pilnował  
pomocnika murarza.**

**- Przebacz mi.**

**- Naturalnie, że ci przebaczam. Przebaczam ci.**

**- Proszę cię, nie przebaczaj tego czy tamtego, świecy  
czy obrazy. Przebacz mi, że jestem, jaki jestem.**

**- Powiedziałem, że ci przebaczam.**

**- Czy naprawdę tak czujesz, Anzelmie? Powiedz, że  
tak.**

**Kroki oddaliły się po schodach. Potem zaległa cisza.  
Upłynęło wiele czasu, nim poczuł, że coś się koło niego  
zmieniło. Ludzie przychodzili i tańczyli mu przed oczami,  
przewijali się i znikali. Nie widział wśród nich wyraźnie  
nikogo prócz ojca Adama.**

**- Pomóż mi, ojcze! - zawołał.**

**Ojciec Adam podszedł bliżej i zaczął rozplątywać  
sprawy i wyjaśniać. Ale to do niczego nie prowadziło: były  
one zbyt zaplątane, a zła roślina wyrastała wśród tego i**

ponad tym wszystkim. W końcu Jocelin nie czuł już nic prócz bólu w plecach, piekącego jak ogień, gdy obracali go i opatulali w owczą wełnę, i roztopiającego się we łzach smutku, który ścisnął go za gardło. Ojciec Adam nie rozumiał nic z jego gestów, ale mówił mu, że jest słaby i omamiony i że jedynie ważna jest dobra wola. Nie pojmował, jak ważne jest uzyskanie przebaczenia od tych, co nie są prawdziwymi chrześcijanami, i jak wobec tego konieczne jest zrozumienie ich; ani jak bardzo jest to niemożliwe.

Jocelin zrobił się teraz przebiegły: wiedział, że będzie musiał wymknąć się ojcu Adamowi. Czekał na odpowiedni dzień, bo zdarzały się dni, kiedy blask słoneczny kładł się jasną plamą na podłodze, a on wiedział dokładnie, gdzie jest. W jeden więc z takich dni udawał, że śpi wyczerpany, słysząc, jak ojciec Adam krząta się po pokoju. Otworzył ukradkiem jedno oko i obserwował plecy małego człowieka, kiedy skierował się ku schodom. Zebrał siły, z trudem wstał spuściwszy nogi z łóżka i zaczekał, aż minie mu zawrót głowy. Zrobił parę kroków trzymając się ściany, włożył na głowę piuskę, a na ramiona płaszcz. Zwłókł się po schodach na drżących z osłabienia nogach. Wielka się

była pusta. Nie płonął już tu ogień ani świece. Ale było dużo światła, a nad oknami poruszały się cienie. Jakaś świeżość w powietrzu wzbudziła smutek w jego sercu. Wyciągnął ze stosu drewna ułożonego na palenisku kij i wsparł się na nim. Stał chwilę namyślając się. "Wyjdę drzwiami od tyłu i nikt mnie nie zobaczy. I nie będę musiał oglądać kamiennej iglicy."

Za drzwiami na gęstej trawie leżał stos drewna. Jakiś silny zapach odurzył go, więc nie bacząc na swoje plecy oparł się o ten stos i czekał, aż przepelniający go smutek spłynie łzami. Poczul ruch nad głową i przez chwilę ogarnęła go szalona nadzieja. Wykręcił szyję i spojrzal w góre. Chmura aniołów, różowych, białych i złotych, jaśniała w słońcu. To one napelniały powietrze ową słodką wonią, ciesząc się słońcem i światłem. Unosiły się w koronie jasnych liści, spośród których sterczało coś wysokiego i ciemnego. Głowa jego kołysała się wraz z aniołami i nagle pojął, że to jabłoń o więcej niż jednej gałęzi. Rosła za murem, wznosząc się ku górze w obłoku kwiatów i spadających płatków. Fontanna, cud, drzewo jabłoni. Zapłakał na ten widok jak dziecko i nie umiałby powiedzieć, czy cieszy się, czy smuci. W miejscu, gdzie

dziedziniec opadał ku rzece i gdzie nad wodą wyrastały drzewa, ujrzał całą niebieskość nieba skondensowaną w uskrzydłonym szafirze, który przemknął i zniknął.

- Wracaj! - krzyknął.

Ale zimorodek uleciał jak strzała. "Nigdy już nie wróci - pomyślał. - Choćbym tu siedział cały dzień." Zaczął się bawić myślą, że ptak mógłby wrócić, usiąść na słupie o parę jardów w całej swojej krasie, w duchu wiedział jednak, że tak się nie stanie.

- Żaden ptak nie wróci do mnie.

"Swoją drogą miałem szczęście, że go zobaczyłem - powiedział sobie. - Nikt inny go nie widział. - Podniósł się i ruszył ku wyjściu na ulicę. Patrzył na zakurzony koniec kija i swoje poruszające się wolno nogi.

Muszę wyglądać jak stara wrona - myślał posuwając się wolniutko i zgięty prawie w pół. Dlaczego idę szukać czegoś, czego nie ma? Choć to zbyt proste. Idę 2; wielu przyczyn, bardzo złożonych. Ojciec Adam miał rację. Zanadto się przejmuję. I robię zamieszanie wśród jabłoni i zimorodków." Kiedy doszedł do Bramy Królewskiej, usiadł wygodnie na kamieniu i wpatrywał się w piaszczystą ziemię. Choć tyle stóp po niej deptało, pozostała zwykłym

piaskiem: wszystko wydawało się przez to smutniejsze. Odpoczął i powłócząc nogami szedł teraz przed siebie, aż ujrzał tuż przed sobą rynsztok, płynący główną ulicą, i bawiącą się w nim gołą dziewczynkę.

- Gdzie jest Roger Mason, dziecko? - zapytał ją.

- "Kto by uwierzył - pomyślał - że mogę mieć głos tak starego człowieka?"

W tej chwili dziewczynka, rozbryzgując wodę, wyskoczyła z rynsztoka i uciekła. Nie mając innego sposobu przejścia na drugą stronę, przeszedł przez rynsztok. Spostrzegł jakiegoś mężczyznę do wysokości pasa i zapytał go:

- Gdzie jest Roger Mason, synu? Ktoś splunął nad nim, ślina spadła na brzeg jego płaszcza. Usłyszał burkliwą odpowiedź;

- Na ulicy Nowej.

Nogi się oddaliły.

Zwrócił kij i własne nogi w prawo i ruszył po bruku., "Ulica Nowa jest bardzo długa" - pomyślał. I w tej chwili zrozumiał, że nie ma siły iść dalej. Rozejrzał się za jakimś kamieniem, lecz nie zobaczył żadnego. Opadł pod ścianę jakiejś lepianki, okryty płaszczem. Naciągnął go na twarz,

**tak że się znalazł jakby w namiocie. Czuł jednak ich obecność nawet poprzez namiot. Po chwili wyjrzał i zobaczył bose dziecinne nogi.**

**- Gdzie jest Roger Mason, moje dziecko? Nogi oddaliły się rozchlapując wodę z rynsztoka. Kamień upadł koło jego nogi. "Lepiej pójdę stąd - pomyślał. - Pójdę gdziekolwiek." Posuwał się z trudem przy ścianie. Nagle przypomniał sobie, że Roger Mason może być w gospodzie. Wlókł się z kijem wyciągniętym w lewo, z ręką na ścianie w prawo. Na koniec zobaczył gospodę z wymalowaną na szyldzie gwiazdą i kamień, na którym można było usiąść przed wejściem. Siadł bez tchu prawie, mówiąc sobie: "No dobrze, bo już nie mogę iść dalej."**

**- Roger Mason...**

**Nogi się oddaliły i powróciły w towarzystwie innych.**

**A on powtarzał:**

**- Roger Mason? Roger Mason?**

**Aż wreszcie wśród innych stóp ukazały się nogi kobiece i rąbek czerwonej sukni. Kobieta krzyknęła i zaczęła mówić coś szybko. Lecz słowa jej, jak zawsze, łatwo było ignorować. "Żal mi jej - pomyślał - ale nie bardzo. To jakiś mój brak, że nie umiałem i jej zawrzeć w moim smutku."**

**-Czyjeś ręce ujęły go pod pachy i dźwignęły z kamienia wlokąc kij i nogi po ziemi. Zobaczył zbliżające się drzwi i schody; nogi jego dotykały ich stopień po stopniu, kij stukał miarowo. Inne drzwi w półmroku otworzyły się szeroko. Te same ręce złożyły go na ławie, po czym się oddaliły i zamknęły drzwi. W półomdleniu, z zamkniętymi oczami czekał na powrót przytomności. Najpierw do uszu jego doszły odgłosy chrząkania, pokasływania i spluwania. Otworzył oczy. Po drugiej stronie dogasającego ognia, naprzeciw okna, stało duże łóżko ze zgniecioną pościelą i zagłówkiem. Leżał na nim Roger Mason, wsparty na łokciu, całkowicie ubrany, tylko bez butów. Śmiał się całą obrzmiałą twarzą, aż wreszcie usta jego rozwarły się szerzej, śmiech zabrzmiał jak krzyk i majster padł na wznak. Jocelin patrzył, jak pierś jego wznosi się i opada. Roger przewrócił się na bok wraz z pościelą. Wsparł się znów ciężko na łokciu i w uśmiechu wyszczerzył zęby do Jocelina jak pies. Twarz jego pokrywał pot. Jocelin, patrząc w oczy w czerwonych obwódkach, spostrzegł, że twarz majstra się wykrzywiła. Roger odwrócił głowę w bok i splunął niezbyt celnie w ogień.**

**- Cuchniesz jak trup.**

**Jocelin roztrząsał w myśli te słowa i wspomnienie twarzy pochylonych nad jego łóżkiem. "Możliwe - myślał. - Tak, to możliwe." Usłyszał własny głos powtarzający te słowa - głupawy starczy głos.**

**- Możliwe, Roger, tak, to możliwe. Roger Mason pochylił się do przodu, opierając się na łokciu. Powiedział z głębokim zadowoleniem:**

**- I tobie też dogodzili.**

**Czknął, po brodzie pociekła mu czerwona strużka.**

**- Ona się jeszcze nie zwała, Roger. Tak powiedział mi ojciec Adam. Mówił, że runie pewnego dnia, choćbyśmy nawet zbudowali ją z diamentu i przymocowali do korzeni ziemi.**

**Majster zaczął się dźwigać z łóżka. Wyszarpnął gwałtownie nogę z pościeli i zataczając się przeszedł przez pokój. Jocelin usłyszał, że klnie i wali w okno. Rozległ się trzask i brzęk szkła. Roger warknął:**

**- Wal się, kiedy chcesz, stary kutasie!**

**- Nie ma dziś dużego wiatru. Zaledwie drży kwiat jabłoni.**

Majster ślaniając się wrócił do łóżka. Padł ciężko na kolana przy nim i uczepił się go rękami. Zrezygnowany osunął się na bok i znów wybuchnął śmiechem.

- Podoba mi się, że tak cuchniesz, Jocelinie. Dobrze mi to robi. Nie myślałem, że są jeszcze rzeczy, które mi dobrze robią.

Ale Jocelin był już daleko w jakichś rojeniach i odpowiedział z roztargnieniem:

- Widziałem zimorodka.

A potem pojawiło się więcej stóp i czerwona suknia. I ktoś mówił, mówił i mówił. Dźwignięto Rogera na łóżko. Głos jakiś zbliżył się i przemawiał do Joceina, a potem oddalił się znów w kierunku łóżka.

- Nie rozumiesz, głupcze? Wiedzą, że on tu jest. Głos i suknia znikły za drzwiami. Spojrzał w stronę łóżka, ale widział tylko pierś unoszącą się i opadającą.. słyszał przerywane sapanie.

- Roger! Roger! Słyszysz mnie? Nic, tylko ciężkie sapanie.

- Wyobraź sobie, myślałem, że robię wielką rzecz. A powodowałem tylko zniszczenie i rodziłem nienawiść. Roger?

**Patrzył uważnie, lecz jedyny ruch, jaki zdołał dostrzec poza unoszeniem się i opadaniem piersi, to lekkie drżenie ręki przy każdym oddechu. Odwrócił oczy i wpatrywał się teraz w żarzące węgle. Wydawały się żywsze, gdy cienie się rozpełzły po kątach.**

**- Kochać wszystkich ludzi świętą miłością... A potem...  
Roger, słyszysz mnie?**

**Ale Roger ani drgnął. Jocelin zrezygnował ze swoich usiłowań i czekał. Ręka znieruchomiła pośród ciężkiego sapania, ogień płonął w ciemności, a on badał niekształtną, nie dającą się opisać bryłę, która tkwiła mu w mózgu.**

**Na koniec postać na łóżku poruszyła się. Roger Mason leżał bezwładnie, z głową wspartą na zagłówku, wpatrując się w Jocelina z twarzą bez wyrazu.**

**- A więc jesteśmy tu, my dwaj.**

**- To nieprawda, że starzy ludzie nie cierpią. Cierpią tak samo jak młodzi, a mają mniej siły, by się z cierpieniem uporać.**

**- Górnolotne słowa.**

**- Najpierw rzekoma świętość, a potem opętanie przez zmarłą kobietę...**

**- Szalony jesteś. Zawsze to mówiłem.**

- Może. Zajęty byłem przez cały czas budową tej wysokiej wieży. A o niej nic nie wiedziałem. Czy to chciała wyrazić w moim... moim marzeniu, przemawiając do mnie, a raczej nie przemawiając, a nucąc mi coś niemymi usty? Wiesz, nawet tego nie jestem pewny. Alison powiedziała, że ona mnie opętała. I na tym koniec, prawda, Roger? Cóż by to mogło być innego? A jednak widzisz... może to prawdziwy Gwóźdź. Tylko że nie ma sposobu, by się tego dowiedzieć.

Majster krzyknął nagle:

- Niech cię diabli wezmą, Jocelinie! Wieża runie, a ja będę musiał na to patrzeć. Zabrałeś mi mój talent, moich ludzi, zabrałeś mi wszystko! Obyś z piekła nie wylazł! - Zaszlochał wśród czkawki. - Ty i ta twoja sieć... Wciągnąłeś mnie za wysoko.

- I ja zostałem wciągnięty. I ja znajdowałem się w jakiejś sieci. Usłyszał, że Roger pociąga nosem w poduszkę.

- Za wysoko. Za wysoko.

Naraz rozjaśniło mu się w głowie. Ujrzał wyraźnie, jak można się pozbyć uciskającego mózg nieokreślonego' ciężaru.

- Słuchaj! Przyszedłem tu w jednym tylko celu. Szarpał klamrę tak długo, aż płaszcz spadł z niego, zsunął z głowy piuskę, a krzyż zerwany z piersi położył na ławie. .

- Żałuję, że mam tę tonsurę. Przydała mi się jak umarłemu kadzidło. Nie. Herezja. Sam nie wiem, co mówię.

Podniósł się i powłócząc nogami przeszedł przez pokój. Ukląkł, ale nie miał dość siły w krzyżu, by udźwignąć własny ciężar, i upadł wspierając się na rękach. "To będzie musiało wystarczyć" - pomyślał.

- Powiedziałeś kiedyś, że jestem wcielonym szatanem. To nieprawda. Jestem szalony. I jestem też chyba domem z dużą piwnicą, w której żyją szczury... A w rękach moich jest jakieś nieszczęście. Wyrządzam krzywdę każdemu, kogo dotknę, zwłaszcza tym, których kocham. A teraz w bólu i wstydzie przyszedłem prosić cię o przebaczenie.

Zaległo długie milczenie. Ogień trzaskał, okno skrzypiało w zawiasach, na dworze poruszyły się liście. Patrzył na deski podłogi pomiędzy swymi dłońmi. „Jestem tutaj - myślał. - Nic więcej zrobić nie mogę.”

Podłoga jęknęła głucho, gdy obok spoczywającej tam jego ręki uderzyło w nią kolano. Ujęty za ramiona podciągnięty został w górę. Roger obejmował go wśród pa-

lącego bólu pleców. Czuł, jak trzęsie mu się głowa i całe ciało, gdy majster szlochał przeklinając. Każdy jego szloch był konwulsyjnym drgnieniem, które odczuwali obaj. A potem wśród łkań zaczęły padać słowa i Jocelin spostrzegł, że i on czepia się majstra kurczowo jak tonący. Głowa Pokera spoczywała na jego ramieniu. Uprzytomnił sobie, że plecie jakieś głupstwa o jabłoni, że mówi niemądre, dziecinne rzeczy i głaszcze szerokie rozedrgane plecy. "To taki dobry człowiek - myślał. - Taki dobry mimo wszystko. Coś się tu rodzi w domu pod malowanym, chwiejącym się na wietrze szyldem."

Po chwili Roger dźwignął się. Trzymał ciągle jeszcze jedną rękę na ramieniu Jocelina, a drugą ocierał sobie twarz.

-- Rozbeczałem się jak dzieciak. To przez alkohol. Ławo płacę, kiedy jestem pijany.

Jocelin spostrzegł, że się słania pod ciężką ręką.

- Czy myślisz, Roger, że zdołałbyś pomóc mi się podnieść?

Majster wybuchnął głośnym śmiechem. Na wpół zaniósł Jocelina na ławę, a potem sam się osunął na brzeg łóżka. Przez cały czas Jocelin wyjaśniał:

**- Nie mam wiele siły w krzyżu ostatnimi czasy. Mógłbyś przewrócić mnie jednym palcem. Czasem myślę, że przytłacza mnie ciężar kamiennej iglicy.**

**- Proszę! Na podtrzymanie! Pij!**

**- To nie dla mnie. Nie, dziękuję.**

**Jakiś kawałek patyka zajął się ogniem i zapłonął żółtym płomieniem. Majster- sięgnął po dzbanek i pociągnął z niego łyk.**

**- Zrobiliśmy, co było można.**

**- Tam na wierzchołku było okropnie. Istny obłęd.**

**- Nie mów o tym.**

**- Napięcie, odprężenie... Napięcie, odprężenie...**

**- Dobrze już, dobrze! - krzyknął majster. Jocelin badał znów niekształtną bryłę we własnej głowie.**

**- Jest w tym jeszcze coś więcej, oczywiście. Ona runie pewnego dnia. Ale mimo uginających się filarów, pochylonej wieży, sypiącego się gruzu... Sam nie wiem... Są we mnie jeszcze resztki, powiedzmy, niedowierzania... Widzisz, możliwe, że to było nasze wspólne przeznaczenie. On powiedział, że jestem jak dziewczyna, że zawsze muszę mieć kogoś bliskiego. Ale to chyba nic złego, prawda? Oddałem się więc wieży. Co ją dźwiga w górę, Roger? Ja?**

**Gwóźdź? Ona? Czy ty? Czy może biedny Pangall, skulony na skrzyżowaniu naw?**

**Roger Mason podszedł tak cicho, że zdawał się drgać w blasku płomieni, jakby był częścią ściany. I jeszcze coś innego poruszało się w pokoju. Jocelin czuł bijące wokół siebie czarne skrzydła. Odezwał się, zaledwie wiedząc, że wydobywa z siebie głos:**

**- Możesz jeszcze coś zrobić, mój synu. Możesz. Twarz Rogera pociemniała od nabiegłej do niej krwi. Głos miał ochrypły.**

**-- Po to tu przyszedłeś, prawda, Jocelinie? Oko za oko, ząb za ząb. Jak nie zrobię tego - powiesz.**

**- Nie! Nie! Nigdy tak nie myślałem.**

**- Rozumiem. Czułem, że to haczyk.**

**Pośród czarnych skrzydeł ogarnął Jocelina strach.**

**- Ja nie myślałem...**

**- Powiedziałem, że rozumiem.**

**- Coś zmusiło mnie, by to powiedzieć- Coś, nad czym nie panowałem.**

**Roger opadł gwałtownie na łóżko.**

**- Jak przyjdzie następna wichura, będę pamiętał. Oko za oko.**

**-- Mógłbyś pójść gdzie indziej. Jesteś jeszcze młody.**

**-- Kto mnie zatrudni? Kto zechce ze mną pracować?**

**Ty pragniesz mieć wszystko, czy nie tak, Jocelinie?**

**Bóg jest dla nas wszystkim. Wiedziałem o tym... Ale wiem i co innego. To znaczy - nie wiem nic. Czym jest mózg człowieka, Roger? Czy to cała budowla z piwnicami i tak dalej?**

**W pokoju pojawiła się kobieta o ciemnych oczach i obrotnym języku. Kiedy wyszła, usłyszał inne głosy i śmiech.**

**- Kto tam jest za drzwiami?**

**- Ludzie.**

**-Widzisz... Jeśli ona wiedziała... Cóż mogę ci powiedzieć? Cały kłopot w tym, Roger, że ja w najskrytszej głębi znałem prawdę o nim... to znaczy wiedziałem, że to impotent... i skojarzyłem to małżeństwo. To wszystko przez jej włosy chyba. Patrzyłem nieraz na nie, rozwiane chmurą wokół szczupłej bladej twarzy. Potem już oczywiście nie. Ale jeszcze później, gdy stała pod filarem wpatrzona w ciebie. Wryły mi się w oczy. Wtedy mnie opętała. Chyba tak, prawda? Dlatego muszę wiedzieć, jaka naprawdę była. Bo jeśli wiedziała, wiedziała, co znosił jej mąż, i może nawet**

**z tym się godziła... to trudno sobie wyobrazić coś okropniejszego... I oczywiście nic dziwnego, że opętała mnie taka istota.**

**- O czym ty mówisz?**

**- O niej oczywiście. Musiałem jej szukać. Wbiegała i przystawała. Owiązałem jej kiedyś skaleczone kolano kawałkiem płótna oddartym z własnej... Później, kiedy wiedziałem, jak głęboko jest już w sieci, starałem się ją zobaczyć, próbowałem wyjaśnić jej...**

**- Ty!**

**- Mówiła ci kiedy o mnie? Mniejsza zresztą o to, Poświęciłem i ją także. Świadomie. Wiesz, Roger, modlitwy są czasem wysłuchiwane. I to jest straszne. Więc kiedy umarła, prześladowała mnie, opętała. Zęby w modlitwie przeszkadzały włosy! Nieżyjąca już kobieta. Dobry żart, co?**

**- Żart!**

**- Powinien być jakiś rodzaj życia, w którym każda miłość jest dobra, w którym jedna nie współzawodniczy z drugą, tylko ją potęguje. Co to za dziwna rzecz to ludzkie serce, Roger!**

**- Załatwiłeś, coś miał załatwić. Idź stąd!**

**- Muszę się tylko dowiedzieć...**

**- Co nam teraz z tego przyjdzie?**

**- Mam taki chaos w głowie. Kochałem ją jak córkę, zanim mnie opętała. Kiedy umarła...**

**- Dość już! Wyjdź!**

**- Potrzeba mi trzech języków, by mówić trzy rzeczy naraz. Byłem tam. Pamiętasz? Chciałem tylko pomóc. Może już wtedy rozumiałem coś niecoś. Kiedy podniosła oczy, zobaczyła mnie w drzwiach w stroju dziekana, zobaczyła księdza, oskarżyciela. Chciałem pomóc, a zabiłem ją. Zabiłem na pewno, jakbym własnoręcznie poderżnął jej gardło.**

**Usłyszał stopy majstra przy swoich. Poczuł na twarzy gorący przesycony winem oddech.**

**- Wyjdź stąd!**

**- Nie możesz zrozumieć? Dlatego właśnie muszę się dowiedzieć... Ja ją zabiłem!**

**- Wyjdź stąd! Wyjdź! - krzyknął majster. Odepchnął rękami Jocelina. Drzwi się otworzyły z trzaskiem i te same ręce wyrzuciły go z pokoju. Ujrzał schody zbliżające się zbyt prędko; uczepił się poręczy, upadł na kolana.**

**- Ty cuchnący truposzu!**

**Dzbanek przeleciał mu koło głowy i rozbił się o ścianę. Jocelin zszedł na czworakach na śliski bruk. Usłyszał jeszcze, jak Roger krzyknął za nim:**

**- Mam nadzieję, że obedrą cię ze skóry!**

**Ale głos ten zginął w burzy innych głosów, które krzyczały, wyły, wyśmiewały, szczyły. Stał przy ścianie; głosy wirowały wokół niego, ręce, nogi i niewyraźne twarze zbliżały się do jego twarzy. Dojrzał ciemny ką i wcisnął się weń, rozdzierając sobie sutannę na plecach. Nie mógł się położyć, bo niosły go jakieś ręce. Słyszał ryk i skowyt; widział wyszczerzone, oślinione gęby. Krzyknął:**

**- Dzieci moje! Dzieci!**

**Ryk i natłok wzmagał się, a z nim morze klątw i nienawiści. Ręce zmieniły się w pięści. Zdawało mu się, że ponad tym wszystkim, gdzieś w górze, słyszy lwa i jego towarzyszy, po nasyłających psy gończe:**

**- Hu! Hu! Hu!**

**Upadł na twarz; przed sobą widział nogi i światła padające na brudny rynsztok. Stopniowo zalegała cisza. Nogi pomału oddalały się od niego. Wśród ciszy usłyszał kobiecy głos: - Matko Boska! Spójrzcie na jego plecy! Stopy zatupały szybciej. Znikły mu z oczu, słyszał, jak szły, biegły,**

**pędziły, potykały się na bruku. Oświetlone drzwi zamknęły się z hałasem.**

**Leżał przez chwilę drżąc. Potem zaczął się czołgać ku ścianie. "Jestem nagi - myślał - tego można się było spodziewać." Zebrał siły i począł iść chyłkiem ku nikłym światłom ulicy Głównej. Co jakiś czas zataczał się w rynsztok i znów wspierał o mur; raz wpadł w wodę. "Okazuje się, czym jestem" - pomyślał i wygramolił się z rynsztoka. W miejscu, gdzie uliczka zbiegała się z ulicą Główną, upadł i już się nie poruszył. Zaledwie zdawał sobie sprawę, że okrywają mu plecy, że ma przed sobą rąbek spódnicy Racheli i obute w sandały nogi ojca Adama. Zajęły się nim delikatne ręce. Głos jakiś szemrał jak rywna w zimie. A potem Jocelin pogrążył się w mrok.**

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

**Wpatrywał się znów w kamienne żebro sklepienia. Nie zmieniło się wcale, ale on wstąpił w jakieś nowe życie. Było to uczucie zawieszenia ponad ciałem, które co jakiś czas ogarniała fala nagłego omdlenia, a towarzyszył jej bezpodstawny strach. A gdy przychodził do siebie, zapadał w próżnię. Potem spostrzegał, że znów jest świadom swego istnienia, i dziwił się mgliście, co się z nim działo. Mówił bezdźwięcznie do siebie ponad własnym ciałem:**

**“Gdzie ja byłem?” I zawsze przychodziła bezdźwięczna odpowiedź: “Nigdzie”.**

**Pił coś gorzkiego, może wywar z maku, który, jak mu się czasami zdawało, sprawiał, że unosił się tak nad swym leżącym na wznak ciałem. Ukazywały się też twarze: jedna podawała mu napój, drugą, ojca Adama, widział tuż przed sobą. Nie umiałby powiedzieć, jak długo trwały chwile, gdy zapadał w próżnię, i okresy zawieszenia i unoszenia się w powietrzu. Spostrzegał tylko bez zdziwienia pomiędzy jednym rzutem oka a drugim, jak światło i cień odmierzały godziny na żebrowanym sklepieniu. Niekiedy uświadamiał sobie lepiej obecność tej rzeczy, tego mechanizmu leżącego**

pod nim. Zajęty był on głównie rozciąganiem i kurczeniem żeber i robił to z wysiłkiem, lecz nieustannie, a zamknięte w nim serce trzepotało 'jak ptak schwytyany w oknie. Jocelin wstępował w swoje ciało tylko wtedy, gdy pielęgniarze dotykali go wykonując przy nim jakąś konieczną usługę. Raz usłyszał wyraźnie rozmowę i zrozumiał z niej tylko ostatnie słowa:

- To wyniszczenie. Gruźlica kręgosłupa... - I po chwili:
- Nie. Żadnej. Serce, rozumiesz...

Ale przez większość tego dziwnie zmieniającego się czasu zawieszony był ponad własnym ciałem albo w próżni. Myśli jego trwały wiek lub sekundę. Widział obrazy, wobec których był teraz całkowicie obojętny. Nie mówił prawie nic, bo mówienie wydawało się rzeczą zbyt skomplikowaną, nawet jeśli się miało jedno tylko usta. I wstrzymywała go przed tym obawa schwywania w pułapkę ciała w dole i wpadnięcia w próżnię, która tak często na niego czatowała. Mimo to co parę stuleci, pośród zamroczeń i rzeczowych obserwacji sklepienia, czynił duży wysiłek. Spuszczał się w dół i rzucał pytanie:

- Runęła?

Znajdująca się w ognisku jego wzroku twarz ojca Adama przybliżała się, pochylała, uśmiechnięta.

- Jeszcze nie.

Przyglądał się niebieskim oczom i ustom rozciągniętym lekko w uśmiechu w fałdy policzków. Kiedy twarz znikła mu z oczu, spostrzegął, że przygląda się czemuśkolwiek, co zajęło jej miejsce - kamiennemu zebru na przykład, na którym siedząca do góry nogami mucha zajęta była jakimiś swoimi sprawami.

W pewnej chwili przyszedł mu na myśl własny grób i zdołał wytłumaczyć, by posłano po niemowę. W niekończących się nawrotach poczucia czasu i zapadania w próżnię wyjaśniał mu, czego chce od niego: własnej postaci w kamieniu, bez ozdobnych strojów, leżącej po śmierci nago jako płaski obciągnięty skórą szkielet, z głową odrzuconą do tyłu i otwartymi ustami. Szarpał pościel i na koniec ręce pojęły. Rozebrali go dla rzeźbiarza, który rysował zafascynowany i przejęty wstrętem. A Jocelin odpłynął znów w dal. Po stu latach lub dwustu młodzieniec wyszedł, a mucha na suficie czyściła teraz łapki.

A raz były świece, szemrzące głosy, maźnięcie olejem. Unosił się ponad tym namaszczeniem, które nie miało

związku z niczym prócz ciężkiego jak ołów ciała; znów zatonął w próżni. Lecz gdy się ocknął unosząc się w powietrzu, poczuł, że dzieje się coś nowego. Słyszał deszcz, wiatr i bębnienie w okno. Przypomniawszy sobie piwnicę ze szczurami i strach przed nią rzucił go znów w/ ciężko dyszące ciało.

- Mason! Roger Mason!

Nachyliły się nad nim twarze, pytające uniesionymi brwiami i wypowiadające długie, niezrozumiałe zdania.

- Roger Mason!

Nagle brak tchu przerwał słowa i myśli. Serce odmówiło pracy, tak że popędził je w przestkach. Poczuł, że jakieś ręce unoszą go do pozycji siedzącej. A potem znowu leżał na wznak, wpatrując się w kamienne sklepienie, na którym igrały słoneczne błyski. "Gdzie ja byłem?" Jakaś twarz odgrodziła go od słońca, pochyliła się nad nim, twarz rozdygotana, o zaczerwienionych powiekach; czarne włosy spadały w węzowych splotach, które go omiatały, usta otwierały s'." i zamykały. To gwałtowne natarcie przyjął obojętnie, bo nie mógł pojąć, o co jej chodzi.

- W szopie, pomiędzy stosem cebuli a workiem pszenicy...

**“Kiedy wreszcie przestanie być taka żywotna? Straszliwa gaduła, ale dobra kobieta.”**

**- ...na czworakach. Szyję miał okręconą sznurem, którego drugi koniec przywiązany był do ułamanej krokwi. Zawsze mówił, że najtrudniejsza rzecz w jego zawodzie to ocena siły wytrzymałości. Choć Bóg raczy wiedzieć...**

**“Bóg - myślał Jocelin, a umysł jego widział wszystko w pomniejszeniu. - Bóg? Gdybym mógł zawrócić, szukałbym Boga wśród ludzi. A teraz moje opętanie kryje go przede mną.”**

**- Siedzi przy ogniu, z przechyloną na bok głową, ślepy i niemy. Muszę przy nim wszystko robić. Rozumiecie? Jest jak dziecko. Zauważył obojętnie, że ręce ojca Adama odciągnęły ją, słyszał cichy szloch w pokoju, a potem na schodach. Ujrzał gdzieś daleko twarz Rogera, dzieci na trawie, Pangalla skulonego na straży. Ujrzał ciężkie pomosty wieży i niezdarne, unieruchomione ośmioboki. Czuł ich ciężar. “Już nigdy więcej. Nigdy więcej - myślał. - Nawet mi ich nie żal. Ani siebie.”**

**W pokoju ktoś szeptał, rozległ się jakiś brzęk. Twarz ojca Adama przybliżyła się znowu. Patrzył na wargi, które**

coś mówiły, lecz był zbyt wyczerpany, by skupić na nich uwagę.

Niebieskie oczy zamrugały. Ukazały się wokół nich zmarszczki. Wargi otwierały się i zamykały. Tym razem nastawione uszy uchwyciły słowo, zanim znikło pod sklepieniem.

- Jocelinie!

Wiedział teraz, że skończył się pełny obrót jego zegara. Śmierć wydawała się łatwa jak jedzenie, picie lub ulżenie sobie, jeszcze jedna rzecz, którą trzeba wykonać po innej.

Tylko że ta świadomość była teraz wyzwoleniem, więc myśli jego odbiegały jak koń wyprzęgnięty z wozu. Popatrzył w górę, by się przekonać, czy w tej ostatniej godzinie uwolniony został z opętania. Lecz pod gwiazdami płonęły rude sploty, a maczuga jego wieży wznosiła się ku nim. "To wyjaśnienie - pomyślał - gdybym miał jeszcze czas". Wydobył z siebie słowo dla ojca Adama:

- Berenika...

Odpowiedział mu zdziwiony uśmiech, pełen niepokoju. Potem się rozpogodził.

- Święta?

**Zwalczając osłabienie umęczone ciało wstrzymało oddech, próbując się roześmiać. I znieruchomiło w strachu, chwiejąc się na krawędzi życia jak kuglarz. Poczuł nagłą sympatię do ojca Adama i zapragnął go czymś obdarować. Znalazłszy się we właściwej równowadze, wyrzucił z siebie następne słowo dla niego:**

**- Święta.**

**Śmierć jest rzeczą bardziej naturalną niż życie, bo cóż może być mniej naturalne niż ta owładnięta panicznym lękiem rzecz, skacząca pod zebrami w górę i w dół jak gasnący płomień?**

**- Jocelinie...**

**“To moje imię” - myślał i spojrzał na ojca Adama ze spokojnym zainteresowaniem. Bo on także umrze. Jutro lub kiedy indziej jakiś głos wyrzeknie: “Adamie!” takim tonem, jakim się mówi do dziecka. Bez względu na to, jak wysoko wzniesie się w godnościach kościelnych, jutro lub później srebrny młoteczek zastuka trzy razy w gładki pergamin tego czoła. Myśl znów odbiegła i ujrzał, co to za niezwykły stwór ten ojciec Adam, pokryty pergaminową skórą, z osobliwymi sterczącymi na głowie włosami i dziwną konstrukcją kości, które ta skóra obciąga. A**

zaraz potem, jak we śnie, który pojawił się między nim a twarzą kapelana, zobaczył wszystkich ludzi nagich, okrytych jedynie jasnobrażową wyschłą skórą opiętą na piszczelach i goleniach. Widział, jak spacerowali lub skakali na skórach martwych zwierząt. Zaczął się rzucać i łapać oddech, i by uwolnić się od tego obrazu, wydyszał słowa, które nigdy nie stały się słyszalne:

“Jak dumna jest ich nadzieja na piekło. Nie ma pracy bezgrzesznej. Bóg wie, gdzie przebywa.”

Ręce mocowały się z nim, aż ułożyły go na posłaniu; zapadł znów w próżnię. Ale zaraz wrócił w przestרחu, by dotrzeć do końca.

- Pomożemy ci wejść do nieba, Jocelinie.

“Niebo - myślał z trudem, przejęty lękiem. - Co wy wiecie o niebie, wy, którzy mnie pętacie, którzy umrzecie dopiero jutro? Niebo, piekło i czyściec są jak małe lśniące klejnoty w kieszeni, które się wyjmuje i nosi tylko od święta. A umiera się w szary dzień, jeden z wielu. I co znaczy dla mnie niebo, jeśli nie wejdę tam trzymając za rękę jego i ją? Przehandlowałem kamienną iglicę na czworo ludzi.”

**Spostrzegł nagle, że musi gryźć powietrze, gryźć, gryźć i chwytać. Ręce dźwignęły go do pozycji siedzącej, tak że łapał przez chwilę bez wysiłku dech w płuca. Strach opuścił go, ale stał w pobliżu. Dwoje oczu wpatrywało się w niego z lękiem. One jedynie były niezawodne, bo jego przyrównać można było do budynku, który za chwilę runie. Wpatrywały się z napięciem, oko w oko. Znowu gryzł powietrze i przywierał oczami do tamtych oczu, pewnych i niezawodnych. A potem oczy zlały się razem.**

**Widział teraz okno, jasne, otwarte. Coś je przedzielało. Wokół tej przegrody było błękitne niebo. A ona sama, cicha i milcząca, wystrzelała w niebotyczne wyżyny z bezgłośnym krzykiem. Była smukła jak dziewczyna, na pół przezroczysta. Wyrastała z jakiegoś nasienia różowej materii, połyskującej jak bijący w górę wodospad, rozpryskującej się w swojej drodze do nieskończoności w kaskadach radosnego uniesienia, którego nic nie mogło stłumić. Strach wtargnął, rozbił okno w plamy, które tańczyły mu przed oczyma. Lecz ani strach, ani oślepienie nie zdołały zmniejszyć pełnej zdumienia zgrozy:**

**“Już nic nie wiem...”**

**Ręce spychały ten strach i to zdumienie, spychały je w dół, w dół. Nagła myśl rozdarła ciemność. "Kamienie wołać będą..."**

**- Wierzę... Wierzę...**

**Czym jest strach i radość, w jaki sposób się łączą, dlaczego są tym samym - krótkim błyskiem w przerażającej ciemności, jak błękitny zimorodek nad wodą? Leciał jak zimorodek, unoszony falą, szamocąc się, krzycząc, wołając, rzucając ostatnie, dziwne, niepojęte słowa:**

**- Jak kwitnąca jabłoń...**

**Ojciec Adam pochylił się, ale już nic nie usłyszał. Zobaczył tylko drzenie warg, które można było zrozumieć jako krzyk: "Boże! Boże! Boże!" Więc w miłosierdziu, którym mógł szafować, złożył Hostię na języku martwego już człowieka.**